Czy miłość ma przyszłość? • Deszymonizacja • Autyzm – coraz szersze spektrum
Tajemnice Arche • Dramat „ołowianych dzieci” • Jaki koniec świata nas czeka

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 7 (3551), 11.02–17.02.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

© STUDIO P

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Archipelag Epsteina

Kogo jeszcze zatopi globalne tsunami?

ISSN 0032-3500

07

9 770032 350602

Wydanie w sprzedaży do 17.02.2026

SKI team ®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Sale!

NA ASORTYMENT ZIMOWY

Przygotuj się na ferie w Ski Team



od -15% do -50%

W TYM NAJNOWSZE KOLEKCJE
ODZIEŻY / BUTÓW / NART / DESEK / WIĄZAŃ

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Sklepy stacjonarne Ski Team w Poznaniu i Katowicach są otwarte w najbliższą niedzielę (15.02.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl 22434338fa



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

14
Jak dziś wygląda miłość

Tematy tygodnia

10 Tomasz Zalewski
Akta Epsteina: elity na widelcu
14 Rozmowa z **Piotrem Mosakiem** o tym, czy miłość ma przyszłość

Polityka

18 Rafał Kalukin
Co zostało z Polski 2050
21 Ewa Siedlecka **Lekcja Żurka**

Społeczeństwo

24 Joanna Cieśla **Diagnoza: autyzm**
28 Katarzyna Kaczorowska
Śmierć na torach – kto zawinił?
31 Zbigniew Borek **Myśliwi na granicy parku narodowego**
34 Juliusz Ćwieluch
Co dalej z kopalnią Wujek

Rynek

38 Joanna Solska
Kto stoi za największą siecią hotelową w kraju – i dlaczego gościł braunistów
42 Marcin Piątek
Polska magazynem Europy

Świat

46 Łukasz Wójcik
Czy Iran się rozpadnie?
50 Paweł Reszka UKRAINA
Posłaniec śmierci
53 Rozmowa z **Łukaszem Pawłowskim** o tym, czy nasza miłość do Ameryki przetrzyma trumpizm

Nauka/projektpulsar.pl

56 **Agata Kaźmierska** i **Wojciech Brzeziński** o możliwych końcach świata i tym, jak się na nie przygotować
59 Andrzej Hołdys
Arktyczna arka Noego zaczyna pękać
62 **Jak nazywać ptaki i ssaki – ciąg dalszy dyskusji**

Historia

64 Marcin Żyła
Katastrofa Challengera
67 Rafał Kalukin
20 lat po słynnym „pakcie stabilizacyjnym" PiS z Samoobroną i LPR

Kultura

74 Bartek Chaciński
Nowe „Wichrowe Wzgórza" i Charlie XCX: kto tu kogo promuje?
77 Aneta Kyzioł
„Ołowiane dzieci": tę historię trzeba przypominać
80 Rozmowa z kompozytorką **Aleksandrą Słyż**, laureatką Paszportu POLITYKI w kategorii muzyka poważna
84 **Sławek Gortych** o tym, jak się pisze bestsellerowe górskie kryminały
88 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Miłosne red flagi**
- **Nowa lepsza para Ameryki**
- **Zwapniałe unce**
- **Jak żyją rysie**
- **Pączek z kapustą**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **70** Afisz • **89** Witkowski
- **90** Sulej • **91** Lis • **92** Mizerski
- **16**, **20**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 22434338fa



Tydzień św. Walentego

Jerzy Baczyński

Walentynki, jeśli dobrze pamiętam, zaczęły być obchodzone w Polsce dopiero w latach 90. jako transfer z amerykańskiej popkultury (wyprzedzając zresztą o kilka lat Halloween). Ale święto zakochanych, podchwycone i podkręcane przez handel, przyjęło się u nas nadzwyczajnie. W swej serduszkowo-pocztówkowej formie było odwołaniem do ckliwej estetyki wypełniającej od dekad hollywoodzkie i disneyowskie produkcje.

Teraz, akurat w tygodniu walentynkowym, cały świat odkrywa aferę Epsteina (nasz temat tygodnia na s. 10), obnażającą drugą stronę tej, sprzedawanej światu, czułostkowości. Dostajemy obrazki zepsucia, cynizmu, bezkarności amerykańskich elit pieniądza, polityki, prestiżu, splecionych w węzeł show-biznesu, seksbiznesu, biznespolityki. To kolejna fala demitologizacji Ameryki, przez dekady postrzeganej jako prawdziwe „państwo środka", centrum globalnej cywilizacji, wyjątkowe połączenie chrześcijańskich i oświeceniowych wartości, pragmatyzmu i romantyzmu, postępu i uroczego konserwatyzmu. Ten wizerunek zawsze był idealizowany, retuszowany, ale Donald Trump rozbił go na kawałki.

Dla Polaków, którzy Amerykę kochali, to szczególnie przykre doświadczenie. Zawierzenie Stanom było podstawą polityki zagranicznej wszystkich rządów III RP. Byliśmy wzorcowym sojusznikiem (Afganistan, Irak, Kiejkuty), ale odkąd Polska weszła do Unii, zaczęła się też od Ameryki emocjonalnie odsuwać („Kochać czy rzucać", s. 53). Stany przestały być najbardziej atrakcyjnym kierunkiem zarobkowej emigracji, a przez ostatnie dwie dekady nasze poziomy życia bardzo się wyrównały, a pod wieloma względami (np. usług społecznych, nawet jakości edukacji, ochrony zdrowia czy środowiska) już byśmy się z Ameryką nie zamienili. Teraz patrzymy ze zgrozą, jak podziwiane przez nas instytucje amerykańskiej demokracji są zastępowane rządami nowej oligarchii, zblazowanych miliarderów w epsteinowskim stylu. Już wiemy, że amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa są równie stabilne jak nastroje Donalda Trumpa, że można nas kupić-sprzedać jak działkę deweloperską. Nasz miłosny związek z Ameryką okazuje się w najlepszym razie patriarchalny, jeśli nie przemocowy.

Premier Kanady Mark Carney, zwracając się w Davos do „średnich potęg", takich jak Polska czy państwa Unii Europejskiej, mówił, że wobec mocarstwowego, egoistycznego zwrotu w polityce USA pozostaje nam wybór: albo umizgi do protektora, albo budowa własnej zbiorowej „siły słabych". Ten dylemat Carneya w polskich warunkach oznacza albo niezachwiane (cytując prezydenta Nawrockiego) poparcie dla Donalda Trumpa w zamian za obietnicę ochrony – albo inwestycje w europejskie zdolności samoobrony. Tę alternatywę mocno podkreśla zwłaszcza prawica, dumna ze swojego „realizmu". W jej narracji tylko Stany Zjednoczone mogą powstrzymać ewentualną agresję Rosji – europejskie siły zbrojne to mrzonka, odbudowa przemysłu wojskowego potrwa tu lata, a i tak najwięcej skorzystają na tym Niemcy. I last but not least, Unia Europejska to projekt ideologicznie lewicowy, a Ameryka Trumpa to ostoja zdrowego, narodowego konserwatyzmu. Wniosek: przekonać wyborców, że tylko prawica pisowska, dzięki specjalnym stosunkom z Trumpem, może zapewnić Polsce bezpieczeństwo. Bo rząd koalicji 13 grudnia będzie przez Amerykę bojkotowany.

Wzmocnieniu tego przekazu miało zapewne służyć zwołanie przez Nawrockiego Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Intencje były jasne: każdy z trzech zapowiedzianych tematów to forma donosu do Białego Domu o nielojalności Tuska i jego ekipy.

Pkt 1 – unijny program SAFE, z którego Polska miałaby otrzymać aż 47 mld euro na inwestycje w przemysł zbrojeniowy. Program atakowany przez PiS i ludzi prezydenta za to, że 65 proc. wydatków ma być ulokowanych w Europie (MON twierdzi, że ogromna większość w Polsce), co miałoby obniżyć poziom zakupów w przemyśle USA, a więc i poziom przyjaźni polsko-amerykańskiej. W tej sprawie bardzo aktywni są rozmaici lobbyści, w tym byli politycy, jawnie optujący za opcją „America first".

Pkt 2 – Rada Pokoju, czyli wymierzony w istniejące instytucje i prawo międzynarodowe prywatny ONZ Donalda Trumpa. Państwa unijne odmówiły udziału; Tusk z Nawrockim wydawali się dogadani, aby temat przeciągać; nie drażnić Trumpa, ale też nie autoryzować dziwacznego projektu. Chyba poradzono prezydentowi, aby jednak zwalił na rząd winę za tę nieobecność.

Wreszcie pkt 3 – Włodzimierz Czarzasty i jego dawne „związki towarzysko-biznesowe" z pewną Rosjanką. Kuriozalny punkt w agendzie Rady Bezpieczeństwa, w której nie znalazł się temat Ukrainy proszącej Polskę o pilną pomoc w przetrwaniu dramatu humanitarnego i udostępnienie broni rakietowej dla obrony resztek infrastruktury energetycznej. „Sprawa Czarzastego" ewidentnie ma ilustrować tezę, że Polską rządzą postkomuniści, a sam marszałek, jakby w imieniu koalicji 13 grudnia, obraża prezydenta Trumpa.

Arogancki wpis ambasadora USA – ogłaszającego zerwanie kontaktów z marszałkiem polskiego Sejmu, za odmowę poparcia dla kandydatury Trumpa do pokojowego Nobla – był na tyle dziwaczny, że zrodził podejrzenia albo o propagandową ustawkę z ludźmi Nawrockiego przed posiedzeniem RBN, albo działanie lobbystyczne, wymierzone w lewicowy projekt nałożenia podatku na amerykańskie giganty technologiczne. Atakujące Czarzastego wypowiedzi czołowych polityków PiS brzmiały tak wiernopoddańczo wobec prezydenta Trumpa i jego ambasadora, że na ową zamianę „suwerenistów w serwilistów" (wykpiwaną zresztą przez obie Konfederacje) musiał zareagować sam Kaczyński (miał powiedzieć, że „nasi wyborcy nie lubią służalczej postawy").

Pewnie się obawia, że serduszka wysyłane Trumpowi (którego popiera tylko 27 proc. Polaków) mogą się zmienić w wyborczy horror, prawicowe walentynki w Halloween.

eprasa.pl 22434338fa

Albatros travel

DANISH TRAVEL AWARDS 2025



Maroko i Hiszpania
– śladami Maurów

Wspaniała architektura, historyczne miasta i zapierające dech w piersiach widoki podczas wycieczki po imperium Maurów z Maroka do Hiszpanii.

Odkryj fascynujące dziedzictwo Maurów podczas podróży z Maroka do Andaluzji. Od czerwonego Marakeszu i błękitnego Chefchaouen, aż po hiszpańską Alhambrę – poznaj architekturę, sztukę i historię złotego wieku. To wyprawa dla miłośników piękna, pragnących poczuć niezwykłą atmosferę zabytków wpisanych w kamień i ogrody.

11 dni
Wyloty z Warszawy
24/10 2026, 06/03 2027

od **9.998,-**

Nowa trasa





5/5

Japonia – królestwo słońca

Klasyczna Japonia dla każdego! Nowa i dawna Japonia – od nowoczesnego Tokio do historycznego Kioto.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tokio, Japonia. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, Ginza, Tokyo International Forum i park Pałacu Cesarskiego. **Dz. 4** Tokio na własną rękę. **Dz. 5** Przejazd pociągiem Shinkansen do Kioto. Świątynia shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i czarująca dzielnica gejsz Gion. **Dz. 6** Kioto. Złoty Pawilon, Zamek Nijo, ogród Zen i bambusowa ścieżka w dzielnicy Kioto – Arashiyama. **Dz. 7** Kioto. Wycieczka do Nary. **Dz. 8** Kioto na własną rękę. Kolacja pożegnalna z wołowiną wagyu w menu. **Dz. 9** Przejazd z Kioto na lotnisko w Tokio i powrót do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 15/10, 06/11 2026 | od **13.498,-**



2 posiłki dziennie

Jezioro Garda i Północne Włochy

Cudowna wycieczka nad słynne jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno. **Dz. 2** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 3** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 6** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/10, 18/10 2026 | od **5.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL05**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 22434338fa

Kto kogo może ostrzykiwać



Wybuch emocji w branży beauty po komunikacie Ministerstwa Zdrowia na temat zabiegów medycyny estetyczno-naprawczej wskazuje na to, że spora część kosmetologów i kosmetyczek przez lata nie czytała przepisów. W dokumencie resort zdrowia przypomina, że procedury, takie jak choćby wstrzykiwanie botoksu, są świadczeniami zdrowotnymi: mogą je wykonywać wyłącznie lekarze specjaliści lub tacy, którzy przeszli dodatkowe szkolenia i zdobyli certyfikaty. Jeśli wnioskować na podstawie ruchu na Instagramie i TikToku, w świecie beauty nastąpił szok. „Kiedy protest!? Ile jeszcze będziemy czekać?"; „Studiujemy, szkolimy się, rozwijamy firmy i teraz to wszystko jest warte nic!?"; „Czy jest to zgodne z konstytucją i nie narusza praw człowieka?" – to przykładowe reakcje. Mogłyby dziwić, bo komunikat tylko wyjaśnia obowiązujące przepisy. Nie wprowadza żadnych nowych regulacji. Potwierdza to nawet stanowisko nieformalnej branżowej organizacji Beauty Razem. W Polsce od lat obowiązuje zakaz udzielania świadczeń zdrowotnych, czyli m.in. wykonywania zastrzyków z preparatów medycznych przez osoby, które nie są lekarzami lub pielęgniarkami leczącymi pacjentów. Formalnie grozi za to grzywna lub więzienie, do roku.

Skąd więc te nerwy? Ano stąd, że tysiące kosmetolożek i kosmetyczek wstrzykuje klientkom botoks, różnorakie kwasy i inne substancje. Zawiadomienia do prokuratur wpływają pojedyncze; nie ma kto ścigać tego procederu. Co jakiś czas trochę on hamuje, gdy władze wydają rozmaite stanowiska i jakaś część środowiska słyszy, że ostrzykiwać nie wolno. Ostatnio tak było latem, po komunikatach Głównego Inspektora Sanitarnego i prezesa Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Bezpośrednim powodem ich wystąpień było masowe zatrucie nierejestrowanym preparatem botoksu w Wielkiej Brytanii.

Toksyna botulinowa i kwas hialuronowy to substancje medyczne wydawane na receptę, kto nie jest lekarzem, nie ma do nich legalnego dostępu. Kosmetolożki często kupują więc nielegalnie preparaty, nie wiadomo jak produkowane i przechowywane (również to polskie służby ścigają raczej rzadko). Tyle że bywa i tak, że recepty na preparaty do zabiegów wystawiają kosmetolożkom znajomi lekarze. Co więcej, te „zakazane" umiejętności wiele nieuprawnionych osób zdobywa na kursach, na które państwo… przyznaje im dofinansowania. Więc w sumie trudno się dziwić, że obywatelki i obywatele gubią się w tym, co mogą, a czego nie, skoro samo państwo nie może się zdecydować. (J.CIEŚL.)

Boje i stroje



Zimowe igrzyska olimpijskie rozkręcają się powoli, jak na razie z symbolicznym udziałem Polaków. Blisko strefy medalowej w snowboardowym gigancie równoległym była **Aleksandra Król-Walas**, ale udział w półfinale przegrała minimalnie. Do zawodowego sportu wróciła niespełna półtora roku temu po przerwie macierzyńskiej, zdobyła brąz mistrzostw świata i chciała na zwieńczenie długiej kariery dorzucić olimpijski krążek. W ćwierćfinale tuż przed metą straciła dobry rytm jazdy, najwyraźniej z powodu jakiejś nierówności na trasie, i dała się wyprzedzić rywalce. Prolongowanie kariery do kolejnych igrzysk jest w jej wypadku mało prawdopodobne. W jednym z wywiadów opowiadała, że wyjazdy na zgrupowania i zawody są udręką; dwuletnia córeczka wyjmuje rzeczy z bagażu i prosi: „Mamo, zostań".

Na tle dość niezauważalnych występów innych polskich olimpijczyków najmocniej „błyszczy" prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz. Najpierw bardzo starał się włączyć w proces kandydatury Warszawy na gospodarza letnich igrzysk 2044. W tym celu załatwił spotkanie z nową szefową światowego olimpizmu Kirsty Coventry. Ściągnął na nie obecnego na igrzyskach prezydenta Nawrockiego, który szybko wyczuł, że na tej idei – oficjalnie lansowanej przez rząd – też może zbić polityczny kapitał.

Obok wyścigu o to, kto bardziej będzie załatwiał dla Warszawy igrzyska, zaczął się inny: kto lepiej dba o polskie firmy. Po ceremonii otwarcia podniosły się głosy, że polska ekipa wyglądała w defiladowych strojach Adidasa dość blado, a minister sportu Jakub Rutnicki poinformował, że on woli polską markę 4F (poprzedniego sponsora olimpijczyków). Piesiewicz odparował ujawnieniem faktury na 3,5 mln zł, z której miało wynikać, że wcześniej PKOl musiał za stroje z 4F płacić, a kontrakt z Adidasem jest bardziej korzystny. Jak to ma w zwyczaju, prezes Piesiewicz skłamał. 4F faktycznie otrzymało taką kwotę, jednak nie był to rachunek za stroje, ale rządowa pomoc w czasie pandemii.

O tym, że Piesiewicz bez konsultacji w gronie działaczy PKOl wybrał na sponsora olimpijskiej reprezentacji Adidasa, mimo że podbita przez 4F na ostatniej prostej oferta była bardziej korzystna, POLITYKA poinformowała jako pierwsza już we wrześniu 2024 r., niedługo po igrzyskach w Paryżu. Na apel szefa 4F Igora Klai, by Piesiewicz ujawnił obie oferty, prezes PKOl nie zareagował. Ale ciąg dalszy zapewne nastąpi. (MP)

© SHUTTERSTOCK (2), MARCX NIEMEYER/IMAGO SPORT/EAST NEWS

eprasa.pl 22434338fa

Szczęście Czarzastego

Przemysław Sadura
Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej



Na wojnie nic tak nie boli jak straty w wyniku przyjacielskiego ostrzału. W polityce nic tak nie cieszy jak pomoc ze strony tych, których trudno byłoby o nią podejrzewać. Zwłaszcza kiedy jest ona zupełnie niezamierzona. To właśnie stało się udziałem marszałka Czarzastego. Postawiony w krzyżowym ogniu pytań po publikacjach „Gazety Polskiej" dotyczących rosyjskich powiązań biznesowych nieoczekiwanie doczekał odsieczy kawalerii w postaci ślepej szarży ambasadora USA Toma Rose'a. Ten ogłosił mianowicie, że Stany zrywają ze skutkiem natychmiastowym stosunki dyplomatyczne z Włodzimierzem Czarzastym.

Ale po kolei. Najpierw prawicowe media przez tydzień z okładem serwowały swoim odbiorcom opowieść o rzekomo nowych ustaleniach na temat rosyjskich powiązań biznesowych małżeństwa Czarzastych. Zdaniem liberalnych komentatorów sprawa była dęta, a materiał nie wnosił niczego nowego, powtarzając tylko to, co wiadomo od dawna. Tak czy inaczej sprawa mogła mieć nieprzyjemne konsekwencje. Skoro polityka jak muchę można zabić zwykłą gazetą, to co dopiero nieświeżym kotletem. Do gry włączył się prezydent Nawrocki, ogłaszając, że tematem najbliższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego będą „podjęte przez organy państwa działania" dotyczące wyjaśnienia „wschodnich kontaktów towarzysko-biznesowych". Kto pamięta aferę Olina, czyli fałszywe oskarżenia o agenturalną działalność premiera Oleksego, które złamały mu polityczną karierę, ten wie, że zrobiło się poważnie. I wtedy właśnie z kapelusza wyskoczył nie królik, ale ambasador Rose.

Gdyby atak ambasadora dotyczył biznesowych powiązań marszałka Sejmu, mógłby być szkodliwy. Tymczasem dotyczył wypowiedzi Czarzastego na temat kuriozalnych ambicji noblowskich nowego wcielenia Króla Ubu, czyli prezydenta Trumpa. To był tzw. plot twist. Nikt już nie mówił o rosyjskich biznesach marszałka, tylko o tym, czy namiestnik obcego kraju może obsobaczać drugą osobę w Polsce, kraju w końcu sojuszniczym. Murem za marszałkiem stanęli nie tylko premier Tusk i minister Sikorski, liberalne media i komentatorzy, ale – jak pokazały sondaże – większość rodaków. Jesteśmy dumnym narodem i nie lubimy, żeby obcy pluł nam w twarz. Nieważne, czy to Niemiec, Rosjanin, czy Amerykanin.

W tej sytuacji Nowogrodzka zmieniła instrukcje: sfora mająca dorwać Czarzastego została odwołana, a politycy prawicy zaczęli wykazywać powściągliwość w manifestowaniu serwilizmu w relacjach z administracją Trumpa. Dwa zero. Mogło być jeszcze lepiej. Gdyby tak uznać Rose'a za persona non grata, to Trump nie mógłby w ramach retorsji odwołać naszego ambasadora, bo takowego nie mamy. Byłoby już całkiem wesoło. W każdym razie mogłoby być, gdybyśmy graniczyli np. z Hiszpanią, nie zaś z Rosją. Ponieważ jednak jest inaczej, to dobrze, żeby afera Czarzasty–Rose nie miała dalszego ciągu.

Co do samego Czarzastego, to powinien być zadowolony. Jeśli jego wypowiedź o Trumpie była celowym manewrem w reakcji na atak prawicy, świadczy to o niesamowitej zręczności. Jeśli nie – to o niebywałym szczęściu. Jedno i drugie pomaga w polityce. A Wielki Kanion można zobaczyć w internecie.

Tatry nocą już nie dla turystów

Ważna zmiana dla miłośników górskich wędrówek. Od lutego szlaki turystyczne Tatrzańskiego Parku Narodowego są całkowicie niedostępne dla turystów między 22 a 5 rano. Nowy przepis zamyka lukę w dotychczasowych regulacjach, rozciągając sezonowe restrykcje na cały rok. I nie chodzi tylko o kwestie bezpieczeństwa i trudniejszą logistykę zimowych akcji ratunkowych. Zmiana przepisów jest odpowiedzią na rosnącą presję turystyczną i potrzebę ochrony unikalnej tatrzańskiej przyrody. W 2025 r. nasze najwyższe góry odwiedziło ponad 5,26 mln turystów – najwięcej w historii, choć trzeba przyznać, że taki rekord pada w ostatnich latach co roku. Tylko do Morskiego Oka dotarło 1,1 mln osób, a kolejką na Kasprowy Wierch wjechało ich ponad 573 tys.

Ta lawina turystów koncentruje się wokół kilku najatrakcyjniejszych tras, degradując tym samym najcenniejsze przyrodniczo tereny. Efekt? Wydeptane murawy, erozja podłoża, skażona gleba, śmieci, fekalizacja okolic szlaków i tras narciarskich, tłok i hałas – uciążliwe nawet dla samych turystów. Grożące za wykroczenia mandaty (nawet do 1 tys. zł) nie przemawiają do wyobraźni odwiedzających. Polak potrafi. Gorzej nam idzie z ochroną przyrody – a mamy co chronić. Niewielka powierzchnia (211 km kw.) TPN to obszar o wyjątkowym na skalę Europy bogactwie przyrodniczym, dom tysięcy gatunków roślin i zwierząt, nie tylko emblematycznych dla TPN kozic i świstaków. Szczątki pierwotnych lasów zamieszkują przecież najwięksi przedstawiciele puszczańskiej fauny: niedźwiedź, wilk czy ryś. Ich obszar bytowania pod naporem masowej turystyki skurczył się dramatycznie, co widać coraz częściej na rolkach i zdjęciach niefrasobliwych turystów, dokarmiających zwierzęta przy szlaku lub ryzykujących życie dla atrakcyjnej fotki.

Czy zakaz nocnej turystyki pozwoli zwierzętom odetchnąć? Noc jest kluczowym czasem aktywności wielu gatunków i nawet sporadyczna obecność ludzi na szlaku zaburza ich naturalny rytm. Nocne wypady na szlak są wyjątkowo dotkliwe dla ekosystemu i cóż, coraz popularniejsze. Problemem stały się wyprawy na wschody i zachody słońca, które zamieniły Tatry w plener do sesji zdjęciowych. Selfie na tle różowiejącego nieba? Świetne na Instagram, ale czy warte ceny, jaką płaci za nie przyroda? Park właśnie rozpoczął prace nad nowym planem ochrony, który ma uwzględnić zmiany klimatu i presję turystyczną. Proces potrwa do 2028 r. (AKOW)



eprasa.pl 22434338fa

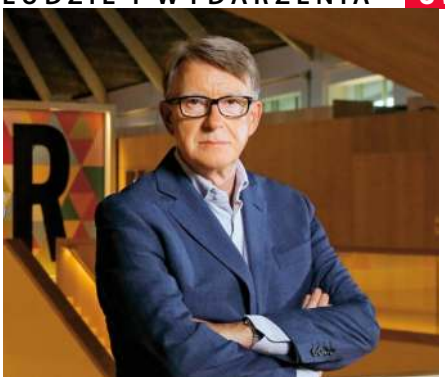

Wymarsz Mandelsona

Czy nowe dokumenty ze śledztwa w sprawie amerykańskiego finansisty i przestępcy seksualnego mogą obalić rząd w Londynie? Premier Keir Starmer jest w kłopotach nie od dziś, bo choć jego Partia Pracy w 2024 r. osiągnęła jeden z najlepszych wyników w historii brytyjskich wyborów, to od tamtej pory jego popularność dramatycznie spadła. A teraz przyszła sprawa **Petera Mandelsona**, bliskiego przyjaciela Starmera i… Jeffreya Epsteina.

72-letni Mandelson to jeden z twórców tzw. New Labour, która w latach 90. wyniosła do władzy Tony'ego Blaira. Jako mentor całego pokolenia polityków lewicy często formalnie zajmował stanowiska, które nie odpowiadały jego realnym wpływom. Starmer, gdy został premierem, mianował Mandelsona ambasadorem w Stanach Zjednoczonych, ale już po kilku miesiącach musiał go odwołać, gdy wyszły na jaw jego kontakty z Epsteinem. Ostatnio wypuszczona transza dokumentów dopełnia zniszczenia (więcej na ten temat na s. 10).

Mandelson, choć nie korzystał z usług sutenerskich Epsteina (deklaruje się jako homoseksualista), to widnieje na wielu odtajnionych zdjęciach w sytuacjach co najmniej prywatnych. W latach 2003–04 miał dostać od Amerykanina 75 tys. dol. Gdy ten został po raz pierwszy skazany, Brytyjczyk „wspierał go emocjonalnie", a potem, będąc ministrem w trakcie kryzysu finansowego 2009–10, miał udzielać Epsteinowi poufnych informacji, które mogły posłużyć szybkiemu wzbogaceniu się. Niektórzy brytyjscy politycy mówią wręcz o zdradzie stanu.

Na Wyspach natychmiast pojawiły się pytania o relacje między Mandelsonem a Starmerem, który przecież wiedział o „problemie Epsteina" długo przed wysłaniem go do Waszyngtonu. Coraz więcej członków Partii Pracy zaczęło sugerować wymianę szefa rządu. W niedzielę ze stanowiska szefa jego kancelarii zrezygnował Morgan McSweeney, najważniejszy doradca premiera ds. komunikacji i główny architekt jego zwycięstwa wyborczego. McSweeney wziął na siebie odpowiedzialność za ambasadorską nominację Mandelsona.

Czy to uratuje Starmera? W Wielkiej Brytanii zapowiada się nerwowa końcówka lutego. Pod koniec miesiąca dojdzie do przyspieszonych wyborów w okręgu Gorton and Denton pod Manchesterem, który jest matecznikiem Partii Pracy – nigdy tam nie przegrała wyborów, a teraz zapowiada się na katastrofę i zwycięstwo Partii Reformy Nigela Farage'a. Komentując zbliżające się głosowanie, jeden z ministrów Starmera, który miał go bronić, swoje wystąpienie zaczął od słów: „Jeśli premier zostanie na stanowisku…".

Bomby niekontrolowane?

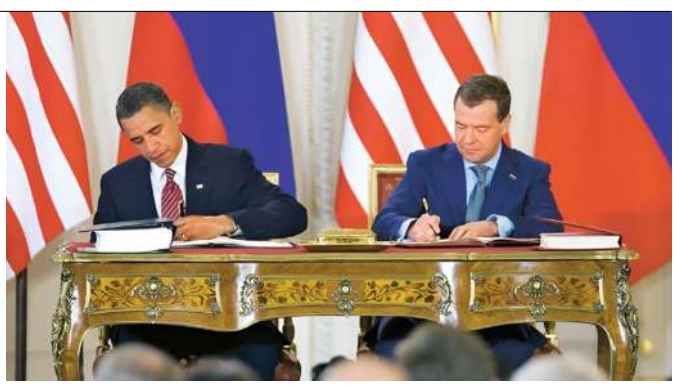

Od 5 lutego zbrojenia nuklearne są poza wszelką kontrolą. Tego dnia wygasł New START, ostatni obowiązujący układ między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, ograniczający liczbę aktywnych głowic jądrowych, tzn. takich, które może relatywnie szybko odpalić, do 1550 po każdej ze stron. Wynegocjowany przez **Baracka Obamę** i **Dmitrija Miedwiediewa**, był finałem procesu zapoczątkowanego jeszcze w latach 60. XX w., gdy sami Amerykanie mieli takich głowic aż 31 tys.

Wcześniejsze wcielenia New START były narzędziami budowania zaufania między mocarstwami, szczególnie nadszarpniętego w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 r. Strach przed niespodziewaną agresją drugiej strony prowadził do absurdalnych zbrojeń jądrowych, a przecież nawet te obecne 1550 głowic, gdyby zostały użyte, unicestwiłyby ludzkość. Zachodziło też ryzyko, że przy tak licznych arsenałach jakaś „zabłąkana" bomba mogłaby trafić w niepowołane ręce. Dlatego wypracowano cały system wzajemnych kontroli. W finale procesu rozbrojenia doszedł jeszcze czynnik ekonomiczny – Rosji w latach 90. po prostu nie było stać na utrzymywanie tylu bomb.

Teraz Rosja ma podobne problemy. Dlatego gdy zbliżał się termin wygaśnięcia New START, z Moskwy zaczęły płynąć wezwania do zawarcia nowego układu – Rosjanie ewidentnie obawiają się kolejnego wyścigu zbrojeń. A prezydent Donald Trump chyba wręcz przeciwnie. Zapytany niedawno o New START odpowiedział: „Jak wygaśnie, to wygaśnie". To, że uważa, iż wynegocjuje lepszą umowę niż ta Obamy, to jedna sprawa. Jednak amerykańscy eksperci od lat sygnalizują, że nie ma sensu zawieranie kolejnego układu, który ograniczałaby się do największych bomb – coraz więcej państw (w tym Rosja) buduje mniejsze, też niebezpieczne. Przede wszystkim nie ma jednak sensu umowa bez udziału Chin, które nuklearnie zbroją się na potęgę.

W 2012 r. Pekin miał zaledwie 240 aktywnych głowic i wątpliwej jakości systemy przenoszenia. Dziś – według CIA – chińskich głowic jest co najmniej 600, a do 2030 r. ma być tysiąc. Cały czas mowa o tzw. wielkich bombach, ale Chiny szybko rozwijają też mniejsze, które w zupełności wystarczą przy ataku na Tajwan czy na amerykańskie bazy na Pacyfiku. Pytanie tylko, czy z punktu widzenia Amerykanów nie lepiej jednak dogadać się z Rosją, która jest chętna, a potem rozmawiać z Chińczykami? Taka refleksja pojawiła się chyba w Białym Domu i gdy kilka dni temu Amerykanie i Rosjanie rozmawiali w Abu Zabi w sprawie Ukrainy, to – według portalu Axios – miał też wypłynąć temat rozbrojenia. Podobno obie strony zobowiązały się z dobrej woli przestrzegać zasad New START aż do wynegocjowania nowego układu.

© MATT WRITTLE/EVENING STANDARD/EAST NEWS, GETTY IMAGES, AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 22434338fa

Wieje wiatr Takaichi



W Japonii wyborów od pół wieku nie urządzano zimą, a teraz okazała się szczególnie sroga, w wyborczą niedzielę były zaspy, wyłączenia prądu, odwołane pociągi i samoloty, śnieg spadł nawet w Tokio. Wybory były przyspieszone, ogłoszone ledwie po stu dniach urzędowania premier **Sanae Takaichi**, pierwszej kobiety na tym stanowisku. Mówiło się o niej, że jest nudna i bez charyzmy, a rządząca od lat (w koalicji) konserwatywna Partia Liberalno-Demokratyczna (PLD), w której należała do twardego skrzydła, była w głębokim kryzysie i utraciła większość w parlamencie. Takaichi, kierując się popularnością w sondażach sięgającą 70 proc., zagrała va banque – i wygrała. PLD zdobyła 316 z 465 miejsc w niższej izbie parlamentu, w pojedynkę będzie ich mieć ponad dwie trzecie – i bardzo silny mandat do rządzenia. To wynik historyczny.

Okazało się bowiem, że pani premier jednak ma osobowość, a jej styl (różowe długopisy i czarne torebki Hamano), zaangażowanie i osobisty ton zyskały jej 2,6 mln obserwujących na platformie X i szczególną popularność wśród młodych kobiet i konserwatywnych wyborców miejskich. Umiała – przynajmniej na początku rządzenia – odpowiedzieć na społeczne lęki i tęsknoty. Zawieszenie VAT na żywność, potężny zastrzyk finansowy na ożywienie gospodarki (nie w stylu Margaret Thatcher, której jest wielbicielką), uporządkowanie polityki migracyjnej w kraju, gdzie wskutek kryzysu demograficznego nie sposób obejść się bez milionów cudzoziemców.

Ze współczesnych polityków jest admiratorką Donalda Trumpa, zresztą z wzajemnością, bo dostała od niego wsparcie w kampanii. Razem podzielają pogląd o konieczności zwiększenia wydatków na obronę. Na razie do 2 proc. PKB, ale Takaichi wspomina także o rewizji pacyfistycznej konstytucji. Zapowiedziała też, że w razie chińskiej napaści Japonia mogłaby wesprzeć Tajwan zbrojnie, czym wywołała gwałtowną reakcję Pekinu. Ta „linia nieokazywania uległości" owocuje w sondażach. A młodym nie przeszkadza jej silny konserwatyzm obyczajowy: w kwestii małżeństw, dziedziczenia tronu czy praktycznego obowiązku żony, żeby przyjąć nazwisko męża. Mówi się tu, że „wieje wiatr Takaichi", czyli miękkość w obejściu i twarda ręka w działaniu. Miodowe miesiące mogą się skończyć, kiedy przyjdzie oceniać konkrety, ale japoński eksperyment pani premier warto śledzić z zainteresowaniem.

Małżeństwo bez obowiązku pożycia

Francuskie Zgromadzenie Narodowe jednomyślnie uchwaliło ustawę, która precyzuje znaczenie jednego z obowiązków w małżeństwie. Według nowego prawa *communauté de vie* (dosłownie „wspólnota życia") nie oznacza współżycia seksualnego. Posłowie przyjęli, że zawarcie związku małżeńskiego nie stwarza żadnego obowiązku zgody na stosunki seksualne. Wprowadzenie takiej normy ma zapobiegać aktom przemocy w małżeństwie i wykorzenić archaiczne rozumienie „obowiązku małżeńskiego" jako gotowości do współżycia płciowego. Jak wiadomo, spotykano w społeczeństwie pogląd, że w małżeństwie gwałt jest z samej definicji niemożliwy.

Ustawa, którą jeszcze zajmie się Senat, jest m.in. reakcją na orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka sprzed roku. Pewna Francuzka się poskarżyła, że francuski sąd orzekł rozwód małżeństwa z jej winy, a za winę uznał to, iż kobieta nie utrzymywała z mężem stosunków intymnych. Trybunał ukarał Francję za takie orzeczenie, bo naruszało prawo do „ochrony życia prywatnego". Upraszczając: orzeczenia winy za rozwód nie można oprzeć jedynie na odmowie współżycia seksualnego. Niewątpliwie wpływ na zmianę prawa miał też sensacyjny proces karny w sprawie, w której mąż odurzał swoją żonę lekami i zapraszał wielu mężczyzn, by ją gwałcili. Ustawa ma silniej zapobiegać aktom przemocy. Z badań opinii wynika, że co czwarty mężczyzna we Francji uważa za normalne, iż kobieta utrzymuje stosunki seksualne z obowiązku, a nie z chęci.



We Francji kodeks cywilny – podobnie jak polski Kodeks rodzinny – formułuje cztery obowiązki w małżeństwie: wierność, wzajemne wsparcie, pomoc wzajemna i owa wspólnota życia. O ile pierwsze trzy, zwłaszcza wsparcie i pomoc, są skonkretyzowane w szerokim orzecznictwie, o tyle współżycie małżeńskie pozostawało pojęciem świadomie nieostrym. Prawnicy tłumaczyli, że małżeństwo jest instytucją ewoluującą i legislator pozostawia sędziemu ocenę postawienia obowiązków małżeńskich w kontekście społecznym i zmieniających się obyczajów.

Jedna z inicjatorek ustawy, posłanka Zielonych Marie-Charlotte Garin, zwróciła uwagę, że przyzwalając na archaiczne rozumienie „obowiązku małżeńskiego", wspólnie popieraliśmy system dominacji mężczyzny nad kobietą. Taki „obowiązek" – powiedziała – nie powinien istnieć ani w prawie, ani w mentalności społeczeństwa. Małżeństwo nie może być glejtem, w którym zgoda na stosunki seksualne została uzyskana z góry, definitywnie i raz na zawsze.

Wsypa elit

ILUSTRACJA ARKADIUSZ CUDNY



Tony dokumentów z archiwum Jeffreya Epsteina to materiał, jakiego jeszcze nie było. Potężna kompromitacja amerykańskich i globalnych elit. I służby specjalne w tle.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Departament Sprawiedliwości USA ujawnił obszerne partie kartoteki Jeffreya Epsteina. To w sumie 3 mln stron dokumentów pisanych i tysiące materiałów wizualnych związanych ze zmarłym w 2019 r. w więzieniu finansistą playboyem, który miał dostarczać przyjaciołom i znajomym kobiety w celach seksualnych. Kolejne rewelacje o nim i osobach, z którymi korespondował, spotykał się i imprezował, wręcz oszałamiają globalną skalą kontaktów Epsteina.

Wyczyny miliardera stręczyciela to nie tylko jeszcze jeden skandal seksualny, w którym wykorzystywane były 14–15-letnie dziewczęta, przewożone w tym celu na jego prywatną wyspę na Morzu Karaibskim. Historia Epsteina i jego towarzyskiego kręgu obejmującego prominentów polityki, biznesu, nauki i sztuki, opowiada daleko więcej niż tylko o ich erotycznych obyczajach.

Wiedział o dziewczynach

Jeffrey Epstein – przypomnijmy – był przyjacielem Donalda Trumpa. W czasach, gdy obecny prezydent brylował jeszcze jako magnat nieruchomości, obaj mieszkali w Nowym Jorku. Łączyły ich więzi biznesowe i zainteresowania kobietami. Trump podkreśla, że dawno z nim zerwał, ale przyczyną rozstania najwyraźniej był konflikt na tle handlowego dealu, a nie seksualne ekscesy. Z pakietu dokumentów z akt Epsteina upublicznionych w grudniu dowiedzieliśmy się, że prezydent „wiedział o dziewczynach" miliardera.

Najnowsze materiały dostarczają świeżych informacji o związkach obu panów. Nieletnie dziewczęta miały np. świadczyć usługi seksualne na terenie pól golfowych Trumpa w Palo Alto w Kalifornii. Prominentnym gościom oferowała je wspólniczka Epsteina, odsiadująca karę 20-letniego więzienia, Ghislaine Maxwell.

Trump oczywiście wszystkiemu zaprzecza. Ale poważne media relacjonują rozmowy i maile z niepochlebnymi opiniami o prezydencie. „Poznałem wielu złych ludzi, ale nikt nie był tak zły jak Trump. On nie ma w ciele ani jednej przyzwoitej komórki. Jest niebezpieczny" – napisał Epstein w mailu do byłego sekretarza skarbu w gabinecie Billa Clintona, Lawrence'a Summersa. A ten ostatni miał powiedzieć o prezydencie: „Świat nie wie, jak on jest głupi".

Najnowszy pakiet dokumentów potwierdza też bliskie związki Epsteina z byłym doradcą Trumpa Steve'em Bannonem. Epstein użyczał mu swego mieszkania w Paryżu, domu na Florydzie i prywatnego samolotu. Obaj dowcipkowali o Trumpie, którego finansista pedofil nazwał „notorycznym oszustem". Nową postacią w orbicie bankiera drapieżcy okazał się też obecny sekretarz handlu Howard Lutnick, były biznesmen i kolega Epsteina z Wall Street oraz jego sąsiad na Manhattanie. Lutnick był nawet zapraszany na sekswyspę, ale nie wiadomo, czy tam pojechał. Związki z Epsteinem miał utrzymywać także Elon Musk.

Sieć kontaktów Epsteina nie ograniczała się do trumpistów. Należał do niej słynący z damskich podbojów Bill Clinton, choć nie wiadomo, czy korzystał z jego stręczycielskich usług. Ich wspólne zdjęcia Trump wykorzystuje do narracji, że akta miliardera to tylko „problem Demokratów". Posłuszny mu republikański Kongres wezwał Clintona i jego żonę Hillary do złożenia zeznań przed komisją nadzoru rządu. Była para prezydencka będzie zeznawać na Kapitolu 26 i 27 lutego.

Rzeczywiście, do towarzyskiego kręgu Epsteina należała też cała galeria postaci z obozu liberalno-demokratycznego. Doradczyni Baracka Obamy Kathryn Ruemmler w 2014 r. konsultowała się z pedofilem, jak dostać od ówczesnego prezydenta wymarzoną posadę generalnego prokuratora. Jednym z najbliższych znajomych i najczęstszych partnerów mailowego dialogu był wspomniany sekretarz skarbu u Clintona Lawrence Summers. Z sutenerem korespondował również lingwista i guru radykalnej lewicy Noam Chomsky. W Nowym Jorku wiedziano, że aby skontaktować się z Woodym Allenem, warto poprosić o pośrednictwo Epsteina. Z finansistą spotykał się także Bill Gates. Według dokumentów założyciel Microsoftu miał go prosić o leki na choroby weneryczne, którymi mógł się zarazić od „rosyjskich dziewcząt". Gates twierdzi, że materiały na ten temat to falsyfikat.

Epstein do Pałacu Buckingham

Epstein miał licznych znajomych w Europie, nieproporcjonalnie dużo w Norwegii. Zgodnie z ujawnionymi dokumentami księżna Mette-Marit, następczyni norweskiego tronu, wymieniła ze skazanym już przestępcą seksualnym ponad sto zażyłych maili. Były szef norweskiego MSZ Børge Brende, dziś dyrektor Światowego Forum Ekonomicznego (Davos), kilkakrotnie stołował się z Epsteinem. A były premier Norwegii Thorbjørn Jagland planował rodzinne wakacje na jego wyspie.

Epsteinowi ewidentnie imponowały pałace. Stąd również jego bliska znajomość z Andrew Mountbattenem Windsorem, bratem króla Karola III, z racji rozwiązłego stylu życia znanego jako Randy Andy (Jurny Andrzejek). W najnowszym pakiecie z dossier znalazło się jego zdjęcie na czworakach, pochylonego nad sylwetką kobiety, której twarzy nie widać. Były już książę Andrew – monarchia odebrała mu ten tytuł – zapraszał nawet Epsteina do Pałacu Buckingham w 2010 r., czyli już po jego sądowym oskarżeniu o handel kobietami.

Bliskim znajomym pedofila był czołowy polityk Partii Pracy Peter Mandelson, członek gabinetu premiera Gordona Browna, przez obecnego premiera Keira Starmera mianowany ambasadorem w USA. Podczas światowego kryzysu finansowego w latach 2008–09 przekazywał Epsteinowi poufne informacje o planach ekonomicznych rządu Browna, m.in. o tajnym raporcie o ewentualnej sprzedaży brytyjskich aktywów państwowych. We wrześniu 2025 r. Starmer odwołał Mandelsona z waszyngtońskiej placówki. Usunięto go również z Izby Lordów. Grozi mu proces i wyrok dożywotniego więzienia.

Polityczne burze wywołane kontaktami Epsteina wzbierają na całym Starym Kontynencie. Dawny francuski minister kultury Jack Lang, wielokrotnie występujący w archiwaliach, zrezygnował z kierowania Instytutem Świata Arabskiego, a jego córka Caroline, która czerpała ze środków Epsteina (poza fiskusem), ustąpiła z kierowania Związkiem Producentów Niezależnych. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego premiera Słowacji Miroslav Lajcak podał się do dymisji po ujawnieniu jego zdjęć z finansistą stręczycielem i rozmów na temat kobiet. Jak się okazało, tropy peregrynacji pedofila prowadzą jeszcze dalej na wschód.

W mailach wymienianych ze wspomnianym premierem Norwegii Jaglandem nalegał na załatwienie mu wizy do Rosji i spotkania z Władimirem Putinem. Pisał, że może ułatwić rosyjskiemu prezydentowi ściągnięcie więcej zachodnich inwestorów. Epstein zainteresowany był również „rosyjskimi dziewczynami". ▶

© SHUTTERSTOCK (2), GETTY (11), BE&W, REPORTER

eprasa.pl 22434338fa

▶ Według ujawnionych maili jego harem liczył ok. 350 kobiet, które miały być oferowane prominentom z polityki i biznesu. A nagrania z ich schadzek mogły posłużyć do szantażu. Pasuje to do znanych z historii metod działania sowieckich i rosyjskich służb specjalnych. Z maili wiadomo, że Epstein kontaktował się z niejakim Siergiejem Bieliakowem, rosyjskim wiceministrem ds. rozwoju ekonomicznego i szpiegiem.

Tezę o dostarczaniu przez Epsteina kompromatów na zachodnich polityków lansuje były agent brytyjskiego kontrwywiadu Christopher Steele. To autor słynnego – choć niepotwierdzonego – dossier na temat nocnego programu wizyty Trumpa w Moskwie prawie 40 lat temu. Steele stawia tezę, że od tego czasu KGB mogła szantażować przyszłego prezydenta. Jego zdaniem sam Epstein został zwerbowany przez rosyjskie specsłużby już w latach 70., gdy za pośrednictwem rosyjskiej mafii w nowojorskiej Brighton Beach nawiązał kontakt z sowiecką misją przy ONZ i dzięki temu się wzbogacił.

Brytyjskie media sugerują jeszcze jeden trop. Kluczową postacią byłby tu ojciec wspólniczki Epsteina Ghislaine, zmarły w 1991 r. w tajemniczym wypadku brytyjski magnat medialny Robert Maxwell. Uczestniczył w negocjacjach z ZSRR na temat wypuszczenia stamtąd rosyjskich Żydów i pomagał w ich emigracji do Izraela. Według niektórych mediów brał w tym udział również Epstein i ceną za sowieckie ustępstwa mogła być współpraca z KGB. Za bardzo prawdopodobną uchodzi teza o współpracy finansisty pedofila ze służbami Izraela.

Polscy łącznicy

W aferze z Epsteinem są też polskie wątki. W kartotece pedofila nie ma nazwisk celebrytów, poza Wojciechem Fibakiem. Ale mistrz tenisa i kolekcjoner obrazów zapewnia, że byli tylko sąsiadami w Nowym Jorku i łączyło ich zainteresowanie sztuką. Pozostałe polskie postaci w aktach to współpracownicy Epsteina w jego rezydencjach i biurach oraz modelki, które namawiał do przyjazdu do Ameryki.

Epstein miał polską asystentkę Adriannę Mucińską. Pomagała Maxwell w werbowaniu nastolatek z Europy Wschodniej, kuszonych wizją kariery modelek. Do bliskiego kręgu trafiła najwyraźniej modelka Marianna Idźkowska, bo jej ujawniona w aktach korespondencja z pedofilem ma charakter osobisty, np. zwierzała mu się, że jej się śnił. Ujawnienie nazwiska wskazuje, że nie uznano jej za ofiarę. Ale w mailach Idźkowskiej pojawiło się też nazwisko wielkoruskiego szowinisty Aleksandra Dugina, z którego poglądami modelka, nie wiedzieć czemu, radzi Epsteinowi się zapoznać.

Inny Polak, Janusz Banasiak, był przez 20 lat zarządcą nieruchomości Epsteina w Nowym Jorku i na Florydzie. Miał też zajmować się logistyką i transportem „gości" z Polski i krajów Europy Wschodniej. Były to przeważnie młode kobiety rekrutowane do pracy przy „masażach". Banasiakowi nie postawiono kryminalnych zarzutów, bo współpracował z władzami – na procesie zeznawał jako świadek oskarżenia, opisując schadzki dziewcząt z Epsteinem.

Donald Tusk zapowiedział gruntowne zbadanie polskich śladów w jego kartotece. Być może skłoniła go do tego lektura korespondencji modelek z Epsteinem z dziwnymi fragmentami o polityce. Bankier stręczyciel przekazywał uzyskane w ten sposób informacje swoim domniemanym mocodawcom z Kremla? Oświadczenie premiera RP, że ta „bezprecedensowa afera pedofilska była współorganizowana przez rosyjskie służby specjalne", wzbudziło w każdym razie sensację w amerykańskich mediach.

Cudzy ból

W komentarzach na temat kartoteki Epsteina pojawia się pytanie, jak to się stało, że bezkarnie uprawiał swój kryminalny proceder tak długo. Odpowiedź może być banalna: historie seksualnych nadużyć, zwłaszcza na szczytach społecznej piramidy, często ciągną się latami, zanim przestępstwa wyjdą na jaw i eksplodują skandalami. Wielcy tego świata i ich ofiary niechętnie zdradzają publicznie swoje tajemnice.

Ale istotny jest też czynnik historyczny. Epstein i jego kompani imprezowali przez kilka dziesięcioleci, a 40 i nawet jeszcze 20 lat temu pobłażanie dla erotycznych ekscesów mężczyzn i traktowania kobiet jak obiektów zaspokajania ich libido było znacznie większe niż dzisiaj. W 1998 r. upublicznienie romansu Clintona z Moniką Lewinsky w Białym Domu znormalizowało niejako seksskandale. Łatwiej niż dziś tolerowano nawet seks z nieletnimi, orientując się, że w środowiskach takich jak show-biznes i świat mody normy w relacjach męsko-damskich dalekie są od standardów purytańskich.

Seksualni drapieżcy ze współczesnego panteonu uważali prawdopodobnie, że nie robią nic specjalnie złego. „Zwykli" ludzie sądzili, że inaczej być nie może, bo tak ułożony jest świat. Kres – choć wcale nie całkowity – położył temu ruch #MeToo, bunt kobiet przeciw samowoli i bezkarności mężczyzn, dopuszczających się molestowania, seksnapaści i gwałtów. Odwaga ofiar seksualnej agresji doprowadziła do zdemaskowania, społecznej degradacji i czasem odpowiedzialności karnej dziesiątków potężnych dotąd samców alfa, prominentów polityki i biznesu. Najbardziej dobitną tego ilustracją był proces czołowego producenta z Hollywood Harveya Weinsteina i skazanie go na 23 lata więzienia.

Zmiany społecznych ocen seksualnych ekscesów potwierdza też chronologia ścigania przez aparat sprawiedliwości Epsteina. W 2007 r. bankier sutener został oskarżony na Florydzie o handel kobietami i seks z nieletnimi, za co w USA grożą surowe wyroki. Epstein otrzymał karę tylko 13 miesięcy więzienia i odbywał ją, głównie pracując, na wolności. Dopiero 12 lat później – już po narodzinach #MeToo – został ponownie aresztowany, postawiono mu podobne zarzuty i wiadomo było, że tym razem grozi mu dożywocie. Miesiąc po aresztowaniu, w lipcu 2019 r., znaleziono Epsteina w celi powieszonego. Władze stwierdziły samobójstwo, chociaż wielu wątpi w tę wersję.

Wyrok dla Epsteina w 2007 r. był łagodny, ale został on zarejestrowany jako seksualny przestępca. Mimo to prawie nikt nie zerwał z nim kontaktów. Nie przestano go zapraszać na salony, karuzela imprez z jego udziałem kręciła się jak dawniej. Maile dowodzą, że niektórzy wciąż chcieli odwiedzać jego karaibską wyspę. Dlaczego nie spotkał go ostracyzm, wyjaśnia lektura jego korespondencji, ukazująca świat elit władzy, prestiżu i pieniądza. Epstein pozostał jego pełnoprawnym mieszkańcem, bo był potrzebny innym. Nie tylko jako dostawca kobiet czy organizator rozrywkowych przyjęć.

Większość ujawnionych maili nie dotyczy seksu. Ich tematyka obraca się wokół biznesu, polityki i personalnych powiązań między aktorami obu tych scen. Epstein wymienia z nimi informacje o faktach nieznanych zwykłym śmiertelnikom, jak w przypadku *insider trading*, gdy owe informacje mogły posłużyć do szybkiego

eprasa.pl 22434338fa

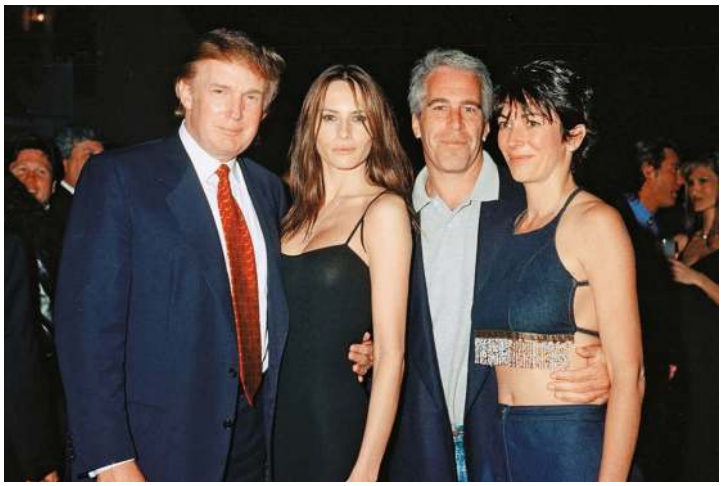



Jeffrey Epstein i jego wspólniczka Ghislaine Maxwell z Donaldem Trumpem i Melanią w ich rezydencji Mar-a-Lago, 2000 r. Obok: **książę Andrzej z Virginią Giuffre w londyńskim mieszkaniu Maxwell (w tle), 2001 r. W 2025 r. wykorzystywana seksualnie jako nastolatka Virginia popełniła samobójstwo.**

wzbogacenia się. Taka właśnie wyłania się z tych tysięcy dokumentów istota jego działań: był handlarzem informacji, kupował i sprzedawał.

Na swój sposób Epstein był geniuszem, nie tylko na polu matematyki, jak to ujawnił w młodości i potrafił później wykorzystać w biznesie; był wielkim empatykiem, mistrzem komunikacji, potrafił każdemu z tysięcy znajomych z różnych kręgów elity dać to, na czym tamtym najbardziej zależało, również w sferze wstydliwej. Był doradcą i powiernikiem w wielu przyziemnych sprawach. Poza rozmiarem seksoholizmu, którego obsłudze poświęcał wiele czasu i energii, imponuje skalą korespondencji i zainteresowań.

W powodzi tylu ważnych spraw i wydarzeń omawianych z Epsteinem przez XXI-wiecznych panów wszechświata zdaje się ginąć taki drobiazg, jak mroczna działalność ich interlokutora i partnera. Tak tłumaczy przemilczanie przez nich losu nastoletnich ofiar pedofila były dziennikarz „New York Timesa" Adnan Giridharadas. „Kiedy Jeffrey Epstein potrzebował przyjaciół, by się zrehabilitować, wiedział, gdzie się zwrócić: do elit władzy wytrenowanych w lekceważeniu cudzego bólu".

Giridharadas podsumowuje: „To jest opowieść o potężnej towarzyskiej sieci, której uczestnicy potrafili może odwrócić wzrok dlatego, że nauczyli się go odwracać od tak wielu innych nadużyć i cierpień: finansowego kryzysu, jaki niektórzy z nich pomogli spowodować, niepotrzebnych wojen, jakie niektórzy wywołali, epidemii narkomanii, do jakich się przyczynili, monopoli, których bronili, nierówności, które nakręcali, kryzysów mieszkaniowych, na których zarabiali, i technologii, przed którymi ludzi nie ochronili".

Nad głową Trumpa

Administracja Trumpa oznajmiła, że ujawnione 3 mln nowych dokumentów to już ostatnia udostępniona publiczności partia kartoteki finansisty pedofila. 2 mln pozostają nadal w szufladach Departamentu Sprawiedliwości. Opozycja domaga się ich otworzenia. Jeśli tyle już dowiedzieliśmy się z ujawnionych materiałów, można sobie wyobrazić, co jest w pozostałych, wciąż tajnych – alarmują internauci. Ale odtajnienia ich raczej się nie doczekamy.

Ustawa Kongresu zobowiązuje rząd do ujawnienia wszystkich akt, zawiera jednak wyjątki. Nie będą opublikowane materiały dotyczące nakazanego przez prezydenta śledztwa w sprawie udziału Demokratów w aferze – hucpa w celu blokowania transparentności – ani dokumenty narażające prywatność uwikłanych w skandal osób. Trumpiści obiecali nie ujawniać tożsamości wykorzystanych przez pedofila kobiet, ale w kartotece znalazło się wiele ich nazwisk. Argument prywatności służy zapewne ukryciu tożsamości uwikłanych w ten proceder wybranych prominentów. Udostępnione opinii publicznej materiały są ocenzurowane, a część początkowo umieszczonych na portalu Departamentu Sprawiedliwości usunięto.

Zapowiada to, że serial z kartoteką może się przeciągnąć. Ofiary Epsteina naciskają, by ich krzywdziciele odpowiedzieli za swe przestępstwa, przynajmniej z oskarżeń cywilnych. Demokraci zadbają, by Amerykanie nie zapomnieli o aferze. – *Skandal z Epsteinem to miecz wiszący nad głową Trumpa, który może przesłonić wszystko, co jego rząd stara się zrobić pozytywnego* – mówi politolog z Uniwersytetu Columbia Robert Shapiro.

Na rewelacje z dossier pedofila szczególnie ostro zareagowali sojusznicy Trumpa z MAGA, którzy na serio wzięli jego obietnice z kampanii wyborczej, że zdemaskuje nieprawości zdemoralizowanych elit i ich krzywdy wyrządzane prostym ludziom. Zbuntowana przeciw prezydentowi republikańska kongresmenka Marjorie Taylor Greene powiedziała, że jego i całego MAGA retoryka była wielkim kłamstwem.

Co jakiś czas od sprawy Epsteina odwracają uwagę inne kompromitujące Trumpa wydarzenia, jak zastrzelenie dwojga Amerykanów przez agentów ICE w Minneapolis. Albo promowany przez chwilę przez prezydenta USA mem przedstawiający Baracka i Michelle Obamów jako małpy, potępiony przez wielu Republikanów w Kongresie. Wszystko to kumuluje się jako mało chwalebny dorobek prezydenta i jego partii.

Co prawda, giełda zwyżkuje, Dow Jones przekroczył psychologiczną granicę 50 tys. pkt. Ale giełda nie jest miernikiem materialnego położenia milionów Amerykanów, bo utrzymuje się drożyzna i powoli rośnie bezrobocie. Wyborcy wystawiają Trumpowi złe noty za politykę gospodarczą – dobrze ocenia ją już tylko niewiele ponad 30 proc. Sondaże wskazują, że Republikanie z kretesem przegrają tegoroczne wybory połówkowe do Kongresu. I rewelacje z akt Epsteina mogą się walnie przyczynić do tej porażki.

TOMASZ ZALEWSKI

© DAVIDOFF STUDIOS/GETTY IMAGES, AN

eprasa.pl 22434338fa

Czar pikselowego serca

Rozmowa z terapeutą Piotrem Mosakiem o tym, czy miłość ma przyszłość i jak zwiększyć jej szanse.

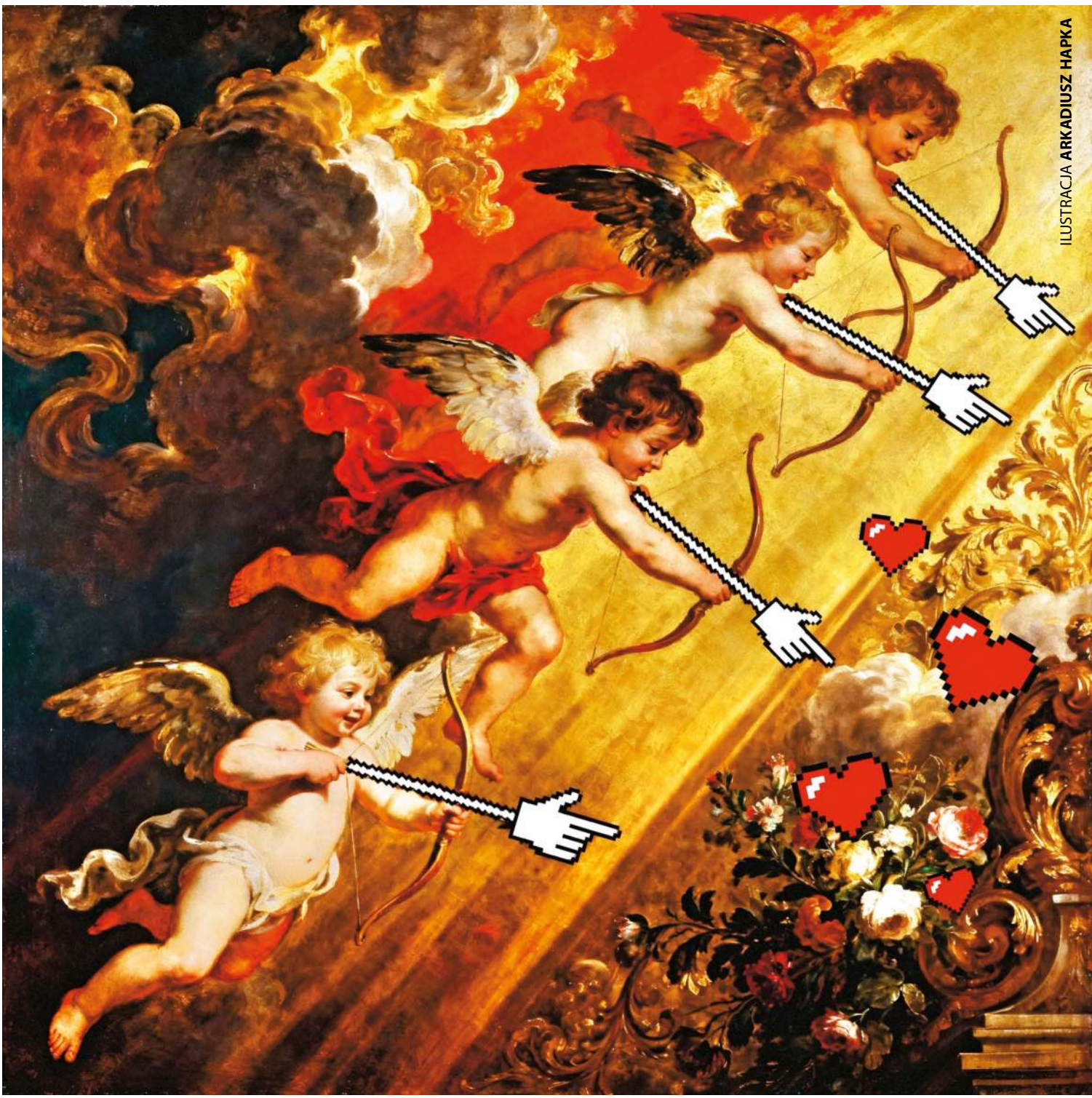

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl 22434338fa

JOANNA CIEŚLA: **– Co pan robi 14 lutego?**

PIOTR MOSAK: – Nic szczególnego. Nie traktujemy z żoną zbyt poważnie walentynek. Nie widzimy sensu w uleganiu presji na wydawanie pieniędzy i nakręcanie przemysłu gadżetowo-serduszkowego. Może zjemy wspólnie jakąś słodkość albo pójdziemy na dłuższy spacer, a po nim będzie herbata i film. Wszystko to, co lubimy na co dzień.

A jednak ludzie są chętni, żeby poszaleć. W ubiegłym roku według Barometru Providenta Polacy wydawali na walentynki średnio 290 zł. Wśród najmłodszych dorosłych, od 18 do 24 lat, 60 proc. deklaruje, że w jakiś sposób celebruje ten dzień. Co ciekawe, świętujących jest więcej niż osób w stałych związkach – bo partnera albo partnerkę ma tylko co druga osoba w tym wieku.

Ci, którzy nie są w relacjach miłosnych, czasem spotykają się w ten dzień z przyjaciółmi, rodziną, rodzeństwem albo ich obdarowują. Przypominają sobie nawzajem o ciepłych uczuciach, cieszą się, że dobrze im razem. Od pewnego czasu walentynki obchodzi się też przecież w szkołach, dzieciaki dają sobie kartki albo jakieś drobiazgi. Walentynki nie budzą mojego sprzeciwu jako okazja, żeby celebrować różne rodzaje miłości, czułości, życzliwości i dobrych relacji. Znam szefów, którzy wręczają walentynki pracownikom, bo uważają, że mają super zespół.

Czy rosnąca popularność tego święta może świadczyć też o jakimś braku, niedostatku? Bo z miłością romantyczną podobno coraz gorzej – i na świecie, i w Polsce.

Czasem pewnie odbija się w tym też tęsknota za miłością, uczuciem. Czasem silne zaangażowanie. Ludzie rozpoczynają związki i chcą sobie nawzajem pokazać, że to dla nich bardzo istotne. Inne osoby, które mają problemy w relacji, łapią w walentynkach okazję, żeby wyprostować sytuację, przeprosić. Przypuszczam, że zwłaszcza te dwie ostatnie grupy wyrabiają finansowy wynik walentynek, o którym pani mówiła. Trafia się święto, są gadżety, można je dopasować do aktualnych potrzeb. Bywa i tak, że singielki i single świętują sami. Rezerwują stolik i idą celebrować miłość do siebie.

„Ustanowiono" na tę okazję osobne święto 13 lutego – dzień miłości do samego siebie. W tym roku bardzo promuje je między innymi sieć drogerii.



Piotr Mosak, psycholog, terapeuta par i trener biznesu z 30-letnim doświadczeniem, specjalista od komunikacji w relacjach.

© LESZEK ZYCH

Prawdopodobnie to też ma sens marketingowy. Ale pamiętam nawet już z zeszłego roku instagramowe relacje z samotnych kolacji w fajnych miejscach, np. z widokiem na Warszawę. Jakiś talerzyk, przekąska, kieliszek wina i podpis: „A dlaczego miałabym nie świętować? Kocham siebie". Niektórzy odczytywali w tym też sygnał dla świata o gotowości na nowy związek.

I jak pan to spostrzega?

Dobrze. Po co siedzieć w domu w starym dresie i oglądać „Bridget Jones"?

Marzenia o miłości, zakochanie, przez setki lat dawały napęd kulturze i cywilizacji. A teraz popkultura i cywilizacja odbierają nam szanse na spełnienie tych marzeń, przez to, że zalewa nas wyidealizowanymi opowieściami o relacjach.

Ja inaczej widzę tę zależność. Po raz pierwszy w historii zwykli ludzie mogą rozwijać coś innego niż kulturę. Do tej pory ktoś, kto nie miał żadnych zasobów, mógł na przykład pisać wiersze. W tym sensie rozwijanie kultury, choćby w skali mikro, było w zasięgu twórczych jednostek. Dziś możliwości jest więcej – każdy może szybko rozwijać biznes, start-upy, „zarabiać w socialach". Nieliczni marzą o karierze artysty albo otwieraniu teatrów, wydawaniu książek. Młodzi ludzie nadal interesują się kulturą i sztuką, wykorzystują też technologię, żeby ją tworzyć. Ale z przełomem wieków zmieniły się akcenty.

I jak to wpływa na miłość?

Ludzie uciekli od słowa. Nie mówią, nie piszą – wysyłają memy, emotikony, robią ilustracje, nagrywają filmy. Nie wszyscy, oczywiście, część osób jeszcze pisze i to jest cudowne. Ale przez to, że jesteśmy w świecie tego, co się sprzedaje, doświadczamy mniej intymności. Jak już mam potrzebę, żeby coś napisać, ma się to podobać nie tylko mojej dziewczynie. Więc tworzę w popularnym gatunku, na przykład stand-up. A to taki gatunek z założenia usiany wulgaryzmami. Czasem to jest bardzo śmieszne, natomiast raczej rzadko udają się wyznania miłości przeplatane bluzgami.

A co z aplikacjami randkowymi? Socjolog prof. Tomasz Szlendak, badacz zmian obyczajowych, mówił niedawno, m.in. na łamach POLITYKI, że to aplikacje ostatecznie niszczą miłość.

Z perspektywy gabinetu nie wygląda mi na to. Przecież za sprawą technologii jesteśmy zamknięci w domach. Nie ma konieczności wychodzić ani do pracy, ani na zakupy. W kolejce czekają wirtualny trener personalny i oczywiście pornografia, więc i seks można sobie załatwić, nie opuszczając własnego mieszkania. W tym sensie te aplikacje to jedyna szansa na dostęp do innych ludzi.

Albo do ich wymyślonej wersji.

Pewnie, że każdy może zmyślać coś na swój temat. Ale gdy ludzie poznają się na przyjęciu, takie ryzyko też istnieje. Poza tym profesjonalne platformy do łączenia ludzi w pary weryfikują użytkowników dowodem osobistym, co zwiększa bezpieczeństwo i wiarygodność. Te wersje są płatne, ale to nie są wielkie koszty. Z moich obserwacji wynika, że za pośrednictwem tych serwisów powstaje sporo związków, a nawet małżeństw.

Może wbrew intencjom twórców platform? Na logikę – więcej stałych związków, to mniejsza szansa dla serwisów. Może chodzi tylko o strzały dopaminowe przy przesuwaniu kolejnych kont i sprawdzaniu kolejnych opcji?

Nie wiem, jakie są intencje twórców platform. Na pewno natomiast dużo zależy od intencji użytkowników. Jeśli ktoś szuka dopaminy i seksu, to tego właśnie będzie szukał, aż w końcu dostanie. Ale na miłość, poważną relację też można trafić, natomiast lepiej ich szukać tam, gdzie istnieje pewien próg wejścia.

Nie uważa pan, że miłość się kończy?

Nie. Ewoluuje, jak wszystko. Inaczej się ją przeżywa przez to, że nie ma tych form romantycznych, wierszy itd. Nasz system emocjonalny nie nadąża za natłokiem bodźców i przez to też trudniej tę miłość rozpoznać. Widzę to zwłaszcza wśród młodych ludzi. W życiu zalanym serduszkami, gifami i wszechobecną wyjątkowością zdarza im się w gabinecie pytać: „Co to jest miłość i po czym ją poznać?".

I co pan mówi?

Że po tęsknocie. Że to jest osoba, z którą pierwszą chcę się czymś dzielić, choćby ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ tego mema wysłać jako pierwszej. Spłyciło się to wszystko, nie da się ukryć. Ale próbuję namawiać młodych ludzi, żeby przyglądali się swoim wrażeniom i odczuciom, i zwracali uwagę na te, które są choć ciut silniejsze albo odmienne od reszty. Bo mogą być sygnałem, że jestem zakochany, zakochana.

A może problemem przy tworzeniu związków nie jest technologia tylko ludzka niecierpliwość? Jeśli coś od razu nie klika, to znaczy, że już nie warto ciągnąć, głębiej wchodzić.

Myślę, że to już minęło. Bardziej uderzało, krótko po 1989 r., gdy zaczęły dorastać osoby, które nigdy nie stały w kolejkach, od początku miały natychmiastowy dostęp do wielu rzeczy. Przez to nie wykształciły cierpliwości. Ale mam wrażenie, że nastąpiła zmiana. Być może pandemia sprawiła, że ludzie teraz tak szybko nie rezygnują; widzą, że mogą coś stracić. Kiedyś od razu szli do łóżka. Teraz klientka opowiada mi, o czym pisze ze swoją wirtualną sympatią. Pytam, czy już się z tym mężczyzną widziała. Odpowiada, że nie, właśnie się umawiają. „A ile do siebie piszecie?" – pytam dalej. „Trzy miesiące". Ta pani logicznie tłumaczy, że ona ma pracę, on ma pracę. Może umówią się w jakimś fajnym mieście, żeby przy okazji coś ciekawego zrobić, a nie tylko siedzieć przy obiedzie w restauracji. Jeszcze raz zastrzegam, że inaczej to wygląda, jeśli ktoś po prostu szuka seksu. Ale jeśli ktoś jest zainteresowany związkiem, to – zwłaszcza w pokoleniu najmłodszych dorosłych, tzw. zetek – teraz spokojniej do tego podchodzi.

A starsze związki, z dłuższym stażem? Co im pomaga, a co szkodzi? Na liście potencjalnie istotnych czynników mam na przykład pornografię.

Jeżeli obydwu osobom w związku odpowiada korzystanie z pornografii, to nie widzę w niej żadnego zagrożenia. Natomiast jeśli jedna z osób ogranicza swoje życie erotyczne tylko do pornografii i masturbacji i ta druga osoba z tego powodu cierpi, no to wiadomo, że to szkodzi relacji. I teraz pytanie, czy tę osobę zanurzoną w porno to pogorszenie martwi i czy jest chęć, żeby wrócić do bliskości, żeby realizować libido we dwoje. Dziś głównym problemem związanym z pornografią nie jest już tworzenie nierealistycznych wyobrażeń na temat seksu, jak to było w przeszłości. Granica przesunęła się. Przez to, że treści porno za sprawą AI stały się tak doskonałe, część ludzi realistycznego seksu już w ogóle nie chce. Bo trzeba się umyć, bo nie ma czasu, bo to niewygodne, nieestetyczne. A gdy jednak pojawia się pomysł czy potrzeba, żeby wrócić do realu, bo żona, bo mąż, to organizm nie reaguje, bodźców jest za mało albo są drażniące. On drapie nieobciętym paznokciem, ona nasmarowała się kremem, którego zapachu on nie lubi.

I jak z tego wybrnąć?

Zazwyczaj w pierwszym kroku terapeuta namawia taką osobę do masturbacji do wyobraźni. Wyłącza się sztuczne, wciągające bodźce. Początki są trudne – wyobraźnia nie zapewnia tego samego co filmy. Ale z czasem okazuje się, że bodźce fizyczne od partnera, partnerki – dotyk, odpowiedni zapach – są w stanie uzupełnić tę stymulację. To daje szanse wrócić do realnego seksu.

Następne na liście mam smartfony. Pomagają czy przeszkadzają relacjom?

Odpowiem podobnie – mogą pomagać, mogą psuć. Jeśli wysyłamy sobie w związku – niech będzie już – te serduszka, memy, zdjęcia, to super. Nie ma czasu zadzwonić, poopowiadać, ale idzie do partnera czy partnerki jakiś sygnał, że się o tej osobie myśli. W tym sensie może to być nawet narzędzie do pielęgnowania więzi. On jej wysyła zdjęcie sukienki z podpisem „Fajnie byś w tym wyglądała", ona jemu link do kursu sushi, bo mówił, że chciałby na taki pójść. To są współczesne oznaki uczuć i miłości. Gorzej, kiedy nikt nic nie wysyła, a siedzi w telefonie godzinami także wtedy, gdy jest z partnerem.

To teraz pytanie drażliwe: psychoterapia indywidualna – czy może być źródłem kłopotów w relacjach?

Oczywiście, że może. Uściślijmy: fachowo prowadzona psychoterapia pomaga ludziom być w związkach. Stają się lepszymi partnerami, rodzicami itd. Ale niestety sam zauważam, że jeżeli prowadzę terapię pary, a któraś z tych osób zaczyna psychoterapię indywidualną, to często prowadzi do kłopotów. W naszym kraju wciąż można trafić na pomagaczy, którzy zamiast terapeutyzować pompują klientom ego. Często taki związek jest nie do uratowania, ponieważ osoba z napompowanym ego stawia coraz to wyższe wymagania partnerowi, albo co gorsza zaczyna go diagnozować. Bo wcześniej zdiagnozowała go – albo ją – z tym swoim pseudoterapeutą. I oświadcza nam na spotkaniu, że „mąż miał po prostu złą relację z matką". Albo że „żona ma zaburzenia narcystyczne".

Ale przecież w terapii indywidualnej trudno nie mówić o partnerze albo partnerce.

To prawda. W indywidualnej pracy trzeba się skupiać na potrzebach, przeżyciach, zdolnościach i umiejętnościach osoby, która jest klientem czy pacjentem. Kontekst drugiej osoby będzie się pojawiał, ale nie

GALERIA POLITYKI



BASIA DZIEDZIC

eprasa.pl 22434338fa

należy się zajmować jej diagnozą. Można dawać informację zwrotną typu, jeżeli mąż tak mówi, to może wskazywać, że... Jeżeli prawdą jest, że zachowuje się w takiej sytuacji w ten sposób, to być może... Oczywiście klientka czy klient usłyszy, co usłyszy. Ale żaden dobry psycholog nie powie „pani mąż na pewno jest narcyzem" ani nie będzie urządzał jazdy po żonie.

Czy pary, które do pana się zgłaszają, zmagają się z innymi problemami niż w przeszłości?

Najwyraźniejsze zmiany obserwowałem w latach 2000–10. Po wejściu do Unii Europejskiej, gdy ludzie masowo zaczęli wyjeżdżać za granicę, pojawiło się inne rozumienie związków, znaczenia równouprawnienia, na terapie przychodziły też pierwsze pary LGBT. Nie ma już takich rewolucji. Ale teraz obserwuję, że tym, co zabija wiele par, choć one na wejściu nie zdają sobie z tego sprawy, jest logistyka życia codziennego.

Jak człowiek wystoi dwie godziny w korku i w domu trafia na drugiego, który też tyle wystał i jest wściekły, a jeszcze okazuje się, że trzeba zawieźć młode na pływanie, to przepalają się bezpieczniki?

Właśnie tak. Jedno do drugiego ma pretensje, że nie ma czasu dla partnera i faktycznie go nie ma. Wyrzucają sobie nawzajem pracoholizm albo zbytnie pochłonięcie dziećmi czy domem. Dlatego ja pracę z parami zawsze zaczynam od sprawdzenia, jak działa ta logistyka. I od ułożenia zajęć tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Jak to się robi?

Najpierw dzieli się czynności na części pierwsze. Bo na przykład za hasłem „pranie" kryje się pięć działań – pakowanie do pralki, rozwieszanie, zdejmowanie i segregowanie ubrań oraz chowanie ich do szaf. I okazuje się, że to wcale nie jest mało, chociaż najważniejszą część roboty wykonuje maszyna. W kolejnym kroku każda osoba z pary wybiera to, co lubi robić albo co jej nie przeszkadza. A potem sprawiedliwie dzielimy resztę, uwzględniając okoliczności pracy, plan lekcji dzieci, pasje itd. Moja obserwacja jest taka, że mniej więcej połowa problemów par jest związana z chaosem, zmęczeniem, stresem i niedostrzeganiem zaangażowania drugiej strony oraz jej potrzeb. I czasem samo ułożenie tych klocków – oczywiście trzeba je od czasu do czasu korygować – ujawnia, że para nie ma problemów do terapii. A czasem po uporządkowaniu tego obszaru wychodzą te problemy, które są prawdziwe. I wiadomo, nad czym pracować.

Jak tworzyć relacje w dzisiejszych czasach?

Szczerze. Pozwalać poznać prawdziwych siebie partnerowi czy partnerce.

Ludzie w dzisiejszych czasach sami do końca nie wiedzą, kim są naprawdę.

Chodzi o proste rzeczy. Czy smakują mi lody jedzone na randce, czy nie bardzo? Czy podoba mi się koncert, na który poszliśmy? To, czy można sobie pozwalać na szczerość w takich zwykłych sprawach, jest też ważnym początkowym sygnałem, czy znajomość ma przyszłość, czy nie. Czy przy tej osobie czuję się swobodnie, że nie muszę nic ukrywać? Nie zachęcam na starcie do wyznań typu: „Cześć, jestem Marian i mam brata w więzieniu" ani do pytań o jakieś dramatyczne rzeczy. Ale relacji, które nie są potencjalnie romantyczne, też przecież w ten sposób się nie zaczyna. I oczywiście trzeba też słuchać. Patrzeć na podobieństwo poglądów, tych, które są dla kogoś ważne. A kiedy zaiskrzy, ludzie nauczą się relacji, znajdują w niej relaks i przyjemność, to tematu brata w więzieniu już nie warto ukrywać. Jeśli wszystko jest w związku OK, partner czy partnerka powie „O rany! No trudno – ważne, że ty jesteś super". Tak jakby powiedział przyjaciel czy przyjaciółka, której można zaufać. Niekoniecznie ze zrozumieniem, ale z akceptacją.

Pomyślałam sobie, że na takiej próbie ułożenia wspólnego grafiku, podziału zadań też można spędzić walentynki.

To może być ryzykowne, bo czasem przy tym układaniu klocków trochę iskrzy. Ale jako inwestycja w przyszłość związku ma sens – moim zdaniem większy niż kupowanie przypadkowych gadżetów, których nawet samemu się nie pakuje, tylko zleca w sklepie. Ja nie lubię tego przemysłu walentynkowego. Wręcz namawiam ludzi, żeby – jeśli chcą podarować coś osobie bliskiej – kupili na przykład poduszkę w kształcie serca i własnoręcznie wyszyli na niej „Kocham Cię". Taki prezent, zrobiony wysiłkiem własnych pokłutych palców, niesie konkretne znaczenie.

Ale jego przygotowanie wymaga czasu.

I właśnie o to też chodzi.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI"
ZAPRASZA NA 2 NOWE PAKIETY POBYTOWE

Zadbaj o swoje zdrowie. Spędź ferie z bliskimi. U nas możesz mieć jedno i drugie.

www.podtezniami.pl



FERIE DLA DUŻYCH I MAŁYCH

7-dniowy pobyt rodzinny pomiędzy 14.02-1.03.2026

- 20 zabiegów w trakcie pobytu
- pełne wyżywienie, 3 posiłki dziennie oraz bufet szwedzki
- wellness & spa aż do 90 min dziennie
- basen solankowy, siłownia, FIT Park
- **pakiet junior z atrakcjami dla dzieci**
- animacje i wydarzenia kulturalne

Przy rezerwacji dłuższej niż 7 dni, każdy kolejny tydzień 30% taniej!



KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY

7-dniowy pobyt zdrowotny pomiędzy 14.02-29.03.2026

- opieka dietetyka i analiza składu ciała
- indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
- 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
- ćwiczenia grupowe, FIT Park
- basen, sauny, łaźnie, grota solna
- konsultacje i badania lekarskie

Przy rezerwacji dłuższej niż 7 dni, każdy kolejny tydzień 30% taniej!

54 416 70 00 **rezerwacja@podtezniami.pl** **ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek**

eprasa.pl 22434338fa



Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Szymon Hołownia

Deszymonizacja

Wbrew sceptykom Polska 2050 dopięła swego i przetrwała wybory. Co prawda jedynie własne, a nie powszechne, niemniej w obecnej sytuacji to też nie lada wyczyn. Pytanie, czy po głównych wstrząsach nie nadejdą wtórne.

RAFAŁ KALUKIN

Polska 2050 pozostaje najbardziej kruchym ogniwem rządzącej koalicji. Nowa szefowa jest osobiście skonfliktowana z premierem, a do tego jej pomysł na funkcjonowanie w koalicji sprowadza się do utrwalenia konfliktu programowego. Niezależnie od intencji Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz jest to strategia niebezpieczna dla stabilności całego układu politycznego. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić jej praktyczną realizację w sytuacji, kiedy stojąca za liderką formacja jest tak słaba i podzielona.

Pełczyńska-Nałęcz wygrała partyjne wybory niewielką przewagą nad Pauliną Hennig-Kloską, co nie daje jej silnego mandatu. W sumie Polska 2050 podzieliła się pół na pół. W jakiejś mierze ów podział przebiegał wzdłuż personalnych sympatii bądź antypatii, chociaż przy okazji wyłonił się w trakcie rywalizacji również spór programowy.

Z lansowanym przez Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz konceptem formacji „sprawczej", która wykorzystując swoje wpływy w rządzie, forsuje własne projekty. Bez czytelnego ideologicznego klucza, gdyż kryterium ma być społeczna użyteczność. Alternatywę stanowił projekt ideologiczny partii reprezentującej głównie przedsiębiorców, która broni swobód gospodarczych.

Ale w głębszej warstwie był to tak naprawdę spór o sposób funkcjonowania w koalicji. Zwyciężył model antagonistyczny, polegający na ciągłym przepychaniu się, naciskaniu na Donalda Tuska i jego ministrów, publicznym obnażaniu jego skłonności do programowej mimikry, wiecznym odróżnianiu się. Nic dziwnego, że premier sprzyjał nieporównanie lojalniejszej Hennig-Klosce, która po nieudanej samowolce z ustawą wiatrakową na początku urzędowania w resorcie klimatu postawiła na współpracę. Nieprzypadkowo Pełczyńskiej-Nałęcz tak bardzo zależy na stanowisku wicepremiera. Najczęściej przypisuje się to jej osobistym ambicjom, chociaż chyba w większym stopniu

eprasa.pl 22434338fa

jest to cel polityczny. Po prostu wicepremierowi więcej wolno, jego asertywność jest bardziej uzasadniona, szczególnie w polemikach ze „zwyczajnymi" ministrami. Głównie w oczach opinii publicznej, gdyż w naszym modelu władzy to do premiera należy ostateczne słowo.

Tusk długo ignorował pretensje Pełczyńskiej-Nałęcz do awansu w strukturze władzy. Tyleż z powodu nagromadzonej osobistej niechęci, co z troski o spójność polityki całego gabinetu. Bo szefowa Ministerstwa Funduszy, używając do tej pory swojej roli nadzorczyni ponadresortowego KPO, już wiele razy ingerowała w pracę innych resortów, potęgując wewnętrzne konflikty. Premier najwyraźniej nie ma ochoty dostarczać jej kolejnych argumentów.

Do spotkania Tuska z Pełczyńską-Nałęcz ma wkrótce dojść, co jej ludzie komunikowali jako sukces. Faktycznie, po kilku miesiącach absolutnej ciszy na łączach to niewątpliwie postęp, chociaż sprawa wiele mówi o ich relacji. Skądinąd szefowa resortu funduszy z podobną obojętnością traktuje swoich wiceministrów z koalicyjnych ugrupowań, okrajając im kompetencje i nie dopuszczając do zaufanego grona.

Tusk może oczywiście teraz spełnić żądanie Pełczyńskiej-Nałęcz, tłumacząc to elementarną sprawiedliwością. Bo skoro pozostałe partie mają swoich wicepremierów, to dlaczego Polska 2050 jest dyskryminowana? Chociaż nie musi, gdyż w umowie koalicyjnej – wskutek zaniedbania Szymona Hołowni, który po wyborach w 2023 r. skupił się wyłącznie na załatwieniu sobie stanowiska marszałka Sejmu – takiego parytetu nie ma. Zdecyduje więc polityczna kalkulacja premiera.

Jeśli pójdzie na rękę Pełczyńskiej-Nałęcz, będzie to oznaczać, że na razie akceptuje autonomię partnera i daje mu czas na ponowne ułożenie się. Jeżeli odmówi, najpewniej szykuje się do ostrej konfrontacji, w której zamierza wykorzystać wewnętrzne pęknięcia w Polsce 2050. W razie eskalacji drugiej strony można się spodziewać jakiegoś pojedynczego transferu do klubu KO, co byłoby na razie ostrzeżeniem.

Bo na poważny rozbiór klubu chyba jednak jest za wcześnie. Partie są skomplikowanymi układami, w których istotna jest wewnętrzna hierarchia. Nagłe przejęcie większej grupy uchodźców stałoby się źródłem niepokoju w Koalicji Obywatelskiej, gdyż jakaś część jej obecnych posłów – tych znanych głównie lokalnie – poczułaby się zagrożona konkurencją o biorące miejsca w ich okręgach. To głównie z tego powodu okienka transferowe w partyjnej polityce otwierają się niedługo przed wyborami, kiedy już nie ma czasu na intrygowanie, gdyż trzeba się mobilizować do kampanii.

Ale można też sobie wyobrazić rozwiązania pośrednie. Czyli dalsze zwlekanie z podjęciem przez premiera decyzji, obwarowanie jej dodatkowymi warunkami. Ewentualnie awans Pełczyńskiej-Nałęcz, ale w wersji rozwodnionej, czyli w pakiecie z analogicznym podniesieniem choćby ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Co prawda rząd z pięcioma wicepremierami ocierałby się już o polityczną groteskę, ale polityczne znaczenie tej funkcji byłoby tylko symboliczne.

Już w nowej roli Pełczyńska-Nałęcz sprecyzowała, o co konkretnie zamierza teraz walczyć. A listę tych projektów oficjalnie przyklepała Rada Krajowa Polski 2050. Część z nich już od dawna znajduje się zresztą w partyjnej agendzie. To asystencja dla osób z niepełnosprawnościami, zakaz używania smartfonów w szkołach oraz wstępnie na razie zarysowana regulacja najmu krótkoterminowego.

A do tego właśnie doszło zaostrzenie zakazu reklamy alkoholu, inspirowane powszechnym oburzeniem na reklamę z piwną choinką i pijanym św. Mikołajem. I jeszcze podwyżka akcyzy na alkohol, ale w wersji postulowanej przez Karola Nawrockiego, czyli z gwarancją przeznaczenia wynikających z tego wpływów budżetowych na ochronę zdrowia. Kolejny z najświeższych postulatów to skokowa podwyżka górnego pułapu dochodowego dla osób rozliczających się w pierwszym progu podatkowym – wyraz troski o klasę średnią. Przy napiętym do granic budżecie jest oczywiste, że skończy się to ostrym konfliktem z resortem finansów.

Bez ideologicznego mianownika łączy owe projekty to, iż mają szanse zostać dostrzeżone przez opinię publiczną. Chociaż o systemowym znaczeniu można mówić już wyłącznie w przypadku asystencji oraz ewentualnie regulacji najmu. Każdy opór materii Pełczyńska-Nałęcz będzie jednak mogła wykorzystywać do własnej politycznej ekspozycji jako niepokornej rzeczniczki „ludzkich" spraw w starciu z bezdusznym Domańskim (i stojącym za nim Tuskiem) bądź niepopularnymi lobby (branży alkoholowej, deweloperów itd.).

I na tym zapewne ma polegać proklamowane przez nową liderkę Polski 2050 „wyraziste centrum". Czyli hybryda starego sentymentu do umiarkowania i zgody, pochodzącego jeszcze z czasów Okrągłego Stołu, oraz zdolności do odróżniania się, koniecznej w epoce polityki spolaryzowanej i poddanej cyfrowym algorytmom. W sumie więc oksymoron i można wręcz powątpiewać, czy pojęcie centrum w ogóle ma jeszcze sens. Oznacza ono bycie pomiędzy biegunami i szukanie elementów wspólnych. Problem w tym, że w ostrym podziale pole do kompromisu praktycznie nie istnieje, gdyż każda kwestia już została zideologizowana.

Meldujący się w polityce Hołownia nie tylko chciał być pomiędzy, lecz stanąć ponad „duopolem". Ustanowić osobny biegun, który byłby antytezą starych sił. Była to więc koncepcja radykalna i zarazem pretensjonalna, gdyż prezentował ją lider bez politycznego doświadczenia, stojący na czele pospolitego ruszenia. Nie miał więc siły i możliwości, żeby zrealizować tak ambitny projekt, stopniowo wikłając się w zastaną sieć zależności, którą obiecywał znieść. A ponieważ chyba nigdy tego do końca nie zrozumiał, stał się na koniec figurą komiczną.

Pełczyńska-Nałęcz chce zastąpić retorykę konkretnym działaniem. Jej ulubionym słowem jest „sprawczość", która zastąpiła górnolotne deklaracje poprzednika. I słusznie, bo partii jednoprocentowej trudno snuć mocarstwowe narracje bez narażania się na śmieszność. Pułap aspiracji został wyraźnie obniżony, a celem jest ciułanie punktów, żeby jakoś wydobyć się ze strefy spadkowej i utrzymać w politycznej ekstraklasie.

To z perspektywy interesu tej formacji jest racjonalne, a jednocześnie problematyczne dla całej koalicji. Jej zwolennicy muszą się przygotować na to, że będzie przybywać doniesień bądź spekulacji o wychodzeniu Polski 2050 z koalicji, jej konszachtach z opozycją, tajnych wizytach w Pałacu Prezydenckim. Co niekoniecznie nawet musi być zgodne z prawdą. Po prostu zdolność do odwrócenia koalicji to jedyny atut tego środowiska. Pozbawiona wyborców formacja nie ma jak w inny sposób wymuszać szacunku. Mistrzem takiej gry jest od dawna PSL, który nieprzypadkowo trzyma w swoich szeregach Marka Sawickiego. W odpowiednich momentach jest on wypuszczany do mediów ▶

© HUBERT MATHIS/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 22434338fa

GALERIA POLITYKI



MAX SKORWIDER

▶ z typowym dla tego polityka prawoskrętnym przekazem i odpowiednią dozą sceptycyzmu wobec Tuska. Tylko że ludowcy dwukrotnie w przeszłości już się sparzyli nazbyt konfrontacyjną linią wobec własnego rządu (w koalicjach z SLD) i zdążyli nabrać wyczucia. Potrafią więc doskonale zasiać wątpliwość partnerów co do swojej lojalności (chociaż tak naprawdę śmiertelnie boją się współpracy z PiS), unikając wszakże pręgierza krytyki.

Inaczej Hołownia, mający niezwykły wręcz dar prowokowania twardego elektoratu KO, co chyba w większym stopniu było efektem osobliwej psychologicznej fiksacji na punkcie Tuska niż przemyślanej strategii. Pełczyńska-Nałęcz również ma problem z premierem, podobnie jak z własną emocjonalnością. Trudno więc wróżyć jej sukcesy w wymuszaniu czegokolwiek na wyrachowanym politycznym pokerzyście, jakim jest Tusk.

Brakuje zresztą przykładów znanych ekspertów, którzy później sprawdzili się jako polityczni liderzy. Na ogół grzeszyli pychą, przeceniając własne kompetencje oraz zdolności diagnostyczne. Zakładali, że wiedzą lepiej, i nie dbali specjalnie o to, żeby do swoich racji przekonywać. Kiepsko zarazem rozumiejąc meandry gry politycznej oraz partyjnej polityki, ewentualnie ignorując ich znaczenie. Stojący na czele Unii Wolności Leszek Balcerowicz wręcz programowo gardził kategorią partyjnego interesu i było mu obojętne, że jego partia była kojarzona wyłącznie z cięciami budżetowymi. Zytę Gilowską niewątpliwie zafascynowała nowoczesna polityczna komunikacja, ale ostatecznie stała się tylko przedmiotem w rozkręcającej się wojnie Tuska z Kaczyńskim. Z kolei Ryszard Petru może mieć pretensje tylko do siebie, że zniweczony został potencjał Nowoczesnej.

Pełczyńską-Nałęcz pchają ogromne ambicje, które jednak zdają się przesłaniać pole widzenia i nie pozwalają dostrzec ograniczeń. Tak samo własnych, jak swojego schyłkowego najpewniej środowiska. Kiedy wiązała się z Hołownią, nie miała politycznego doświadczenia. Wyróżniał ją zatem silny rys idealizmu. Pod koniec rządów PiS skłoniła Hołownię do wyłamania się z frontu ówczesnej opozycji, która poparła pisowską ustawę o Sądzie Najwyższym. Projekt był na bakier z konstytucją, ale wystarczający dla Komisji Europejskiej, która uzależniała od jego przyjęcia odblokowanie pieniędzy z KPO (teraz wydawanymi przez resort Pełczyńskiej-Nałęcz). W 2023 r., będąc szefową kampanii, sama nie zdecydowała się kandydować, uznając to za konflikt interesów. Od tamtej pory z pewnością zdążyła już nabrać wyrachowania, chociaż wciąż daleko jej pod tym względem do średniej. A z idealistami jest taki problem, że nie chodzą na kompromisy.

Przez całą zawodową karierę potwierdzała, że nie potrafi budować relacji z większymi zespołami. Przekonana o swoich racjach, nieustępliwa, niekiedy arogancka. Tak została zapamiętana w Ośrodku Studiów Wschodnich, następnie w MSZ za pierwszych rządów Tuska, w ambasadzie w Moskwie, wreszcie w Fundacji Batorego. I takie same zarzuty podnoszą teraz jej współpracownicy z rządu, liderzy pozostałych stronnictw koalicyjnych, a nawet macierzysta partia, która spolaryzowała się głównie w ocenie jej kandydatury. Świadoma tego rozdarcia próbowała w ubiegłym tygodniu załagodzić konflikty, co jednak udało się najwyżej połowicznie.

Dowartościowała antagonistów, zapraszając niedawną konkurentkę do zarządu partii i obiecując kolektywny model przywództwa. Ale jednocześnie kolejny raz rozsierdziła swoje środowisko, powołując na sekretarza generalnego niepopularnego Roberta Sitnika, który na domiar złego dźwiga stygmat afery w schronisku w Sobolewie. Sobotnie posiedzenie Rady Krajowej o tyle było sukcesem, że udało się bez awantur i trzaskania drzwiami obsadzić resztę miejsc w kierownictwie.

Do przewidywanego rozłamu na razie więc nie doszło, chociaż źródła napięć pozostały. Niezależnie bowiem od różnic ideowych spór w Polsce 2050 tak naprawdę jest przede wszystkim egzystencjalny. Z zasadniczym pytaniem, czy tę formację w ogóle jeszcze stać na podjęcie autonomicznej gry, która wcześniej czy później najpewniej naprowadzi ją wprost na skały. Dla oponentów Pełczyńskiej-Nałęcz to szkodliwa iluzja, która zamyka drogę do bardziej realistycznego planowania politycznej przyszłości w ramach szerszych sojuszy. Jeśli więc Polska 2050 nie odbije szybko w sondażach – a nie wydaje się to możliwe – konflikt wkrótce powróci ze zdwojoną siłą.

No i pozostaje wreszcie drażliwa kwestia założyciela Polski 2050 Szymona Hołowni, bo tak przecież nadal brzmi oficjalna nazwa partii. I nie jest to tylko kwestia ewentualnej korekty w sądowym rejestrze, gdyż szyld podkreślał przecież naturę ruchu opartego na charyzmacie założyciela. W sumie byłoby więc lepiej, gdyby Hołownia spełnił obietnice i odszedł z polityki, czego nie zrobił. Niedawny marszałek Sejmu i przewodniczący Polski 2050 dzisiaj jest wicemarszałkiem oraz wiceprzewodniczącym. Tyle że już tylko jednym z wielu, na czym jego ego wyraźnie cierpi. A co gorsza fatalnie się kojarzącym (w niedawnym sondażu United Surveys 80 proc. badanych uznało go za „przegrywa") i antagonizującym również własne środowisko.

Najlepiej chyba dla partii byłoby więc zrobić Hołownię honorowym przewodniczącym i trzymać go jak najdalej od realnej polityki. Bo siłą rzeczy to on nadal będzie skupiał uwagę mediów, w czym jest dużo bieglejszy od szefowej partii. Zawsze grał głównie na siebie, utożsamiając własny interes z partyjnym, ze szkodą dla jednego i drugiego. Z poharatanymi ambicjami stanie się jeszcze bardziej niestabilny. Jak ostatnio, kiedy pozwalał sobie w telewizyjnym programie swobodnie spekulować o wyprowadzaniu swoich zwolenników z koalicji. Bez najmniejszego politycznego sensu, kontekstu, konkretnej stawki do ugrania. Tak po prostu, żeby się z Hołownią liczono. Gdyby pomyślał o swojej formacji, dałby wyborcom na jakiś czas od siebie odpocząć.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 22434338fa

Węzeł sądowy



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Po ponad dwóch latach od upadku rządów PiS system, który w wymiarze sprawiedliwości stworzył Zbigniew Ziobro, trzyma się mocno. Jego gwarantem jest prezydent Nawrocki. Ustawy proponowane przez ministra Żurka to chyba ostatnia próba zmiany. Uda się?

EWA SIEDLECKA

Politycy nie potrafią lub nie chcą porozumieć się w sprawie uporządkowania wymiaru sprawiedliwości. Tylko jak długo potrwa system, w którym można kwestionować wyroki jednej trzeciej sędziów w Polsce? Prof. Ewa Łętowska: – *Jeżeli nie nastąpi skuteczna zmiana prawa, to tak długo, aż ludzie nie wyjdą na ulice przeciw sądom i nie zmiotą tego, kto aktualnie rządzi.*

Nowa KRS

Na podpis prezydenta czeka rządowa ustawa zmieniająca tryb powołania sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa z wyboru przez Sejm na wybór przez sędziów. Uchwalono ją w iście pisowskim tempie: od pierwszego czytania w Sejmie do przekazania przez Senat ustawy prezydentowi minęło sześć dni.

Jest to ta sama ustawa, którą do Trybunału Konstytucyjnego posłał swego czasu przed podpisaniem prezydent Andrzej Duda. Trybunał – w listopadzie zeszłego roku – uznał, że narusza ona konstytucję. W ustawie, którą dostał teraz do podpisu prezydent Nawrocki, zniesiono wpisany do poprzedniej ustawy zakaz głosowania w wyborach do KRS przez neosędziów, a jeśli chodzi o możliwość kandydowania do niej, wprowadzono wymóg stażu: co najmniej 10-letni sędziowski, w tym co najmniej pięcioletni staż na aktualnie zajmowanym stanowisku. Ten drugi wymóg praktycznie eliminuje z kandydowania sędziów, którzy awansowali dzięki poparciu neoKRS.

W sprawie wymaganego stażu na zajmowanym stanowisku było pole do negocjacji z prezydentem. Bo powrót do zasady, że sędziów do KRS wybierają sędziowie, a nie posłowie, może być bardziej atrakcyjny dla prezydenta i jego politycznego środowiska niż wybór dokonany przez posłów obecnej koalicji rządzącej. Gdyby wybierali sędziowie, z których jedna trzecia to dzisiaj neosędziowie, do nowej KRS mogłoby wejść kilku neosędziów.

Zwłaszcza że Biuro Legislacyjne Senatu przedstawiło senackim komisjom opinię, w której wymóg stażu dla sędziów uznało za naruszający konstytucję. Przywołano wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2007 r., w którym stwierdził on, że konstytucja odsyła do ustawy tylko co do uregulowania „organizacji, zakresu działania i trybu pracy KRS", a ustanawianie dodatkowych reguł, kto może kandydować, wykracza poza konstytucyjne upoważnienie. Biuro Legislacyjne oceniło też, że wymogi 10-letniego stażu sędziowskiego i pięcioletniego na aktualnym stanowisku „mogą być uznane za nieproporcjonalne i w istocie arbitralne".

Zaproponowane przez BL poprawki przejął senator Marek Borowski, ale połączone senackie komisje ustawodawcza i praw człowieka bez dyskusji przegłosowały rekomendowane Senatowi przyjęcie ustawy bez poprawek. I tak się stało.

Próby rozmów z prezydentem nie było, mimo że jeszcze w połowie grudnia minister sprawiedliwości Waldemar Żurek mówił w wywiadzie dla Onetu: „Ja przy tym stażu się nie upieram. Jeżeli to będzie wymóg prezydenta, to – proszę pamiętać, że mamy proces legislacyjny – byłbym w stanie tutaj ustąpić". Teraz minister Żurek jedynie „wzywa" prezydenta do „szybkiej naprawy KRS". ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶Dlaczego nie było próby porozumienia się z prezydentem? Parlamentarzyści Koalicji, z którymi rozmawialiśmy, są zdania, że na szczeblu rządowym uznano, że politycznie – w perspektywie wyborów parlamentarnych w 2027 r. – bardziej opłaci się pryncypialna postawa, niechodzenie na kompromisy z prezydentem i niedopuszczanie go do procesu legislacyjnego. Bo – *ci, którzy walczyli o wolne sądy na ulicy, nam tego* [negocjacji z prezydentem] *nie wybaczą*. Z kolei wiceminister Dariusz Mazur (skądinąd sędzia „walczący na ulicy") wskazuje, że ludzie z otoczenia prezydenta wykluczali możliwość prezydenckiej zgody na rozwiązanie, w którym sędziowie wybierają sędziów. Mogłoby być więc tak, że pozostałoby wrażenie o dogadywaniu się z prezydentem Nawrockim, z czego i tak by nic nie wyszło.

Tak czy siak

Brak próby zawarcia kompromisu z prezydentem nie jest zresztą krytycznie ważny, bo 13 maja i tak kończy się kadencja sędziów w obecnej Krajowej Radzie, a jeśli prezydent zablokuje ustawę, to wybory odbędą się na podstawie przepisów uchwalonych przez PiS. Żeby zachować zgodność z konstytucją, posłowie powinni po prostu zatwierdzić do KRS tych spośród kandydatów, którzy zbiorą najwięcej podpisów sędziów.

Przypuszczalnie uda się więc wybrać nowych 15 sędziowskich członków KRS. Zahamuje to dopływ nowych neosędziów do systemu wymiaru sprawiedliwości, ale nie rozwiąże problemu ich statusu. I statusu ich orzeczeń.

Ten problem ma rozwiązać kolejna rządowa ustawa, tzw. praworządnościowa, nad którą pracuje Sejm. Przewiduje ona, że od momentu wejścia w życie ustawy wydane wcześniej przez neosędziów orzeczenia pozostają w mocy (z wyjątkiem orzeczeń Sądu Najwyższego i przypadków orzeczeń wcześniej zakwestionowanych). Sędziowie, którzy uzyskali awans przy udziale neoKRS, formalnie wracają do macierzystych sądów, ale faktycznie otrzymują dwuletnią delegację do sądu, do którego awansowali, aby mogli dokończyć prowadzone tam sprawy i wziąć udział w powtórzonych konkursach przed przyszłą legalną KRS. Wyjątkiem są neosędziowie z Sądu Najwyższego (56 osób), którzy nie mają możliwości pozostania w SN. Ustawa znosi też Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, uznaną m.in. przez TSUE za pozbawioną cech sądu.

Prezydent Nawrocki już na początku urzędowania zapowiedział, że nie podpisze żadnej ustawy kwestionującej status sędziów powołanych przez prezydenta. Ale być może, gdyby ustawę podzielono na dwie: jedną o statusie neosędziów, drugą o statusie ich wyroków, udałoby się przekonać prezydenta do podpisania tej drugiej. W końcu gwarantuje ona niewzruszalność orzeczeń neosędziów, wyjątek przewidując jedynie dla spraw będących już w toku.

Na razie jest to jednak jedna ustawa i prezydent Nawrocki najpewniej jej nie podpisze.

Chaos i wyroki widma

A to oznacza narastanie chaosu w sądownictwie. Winą za ten chaos obarczany będzie raczej rząd niż opozycja, która wprowadziła do systemu neosędziów, czy prezydent, który blokuje rządowe ustawy. Bo w końcu to rząd – tak według konstytucji, jak według społecznych oczekiwań – odpowiada za sprawne funkcjonowanie systemu wymiaru sprawiedliwości.

Bez uregulowania statusu neosędziów ich orzeczenia mogą być podważane, nawet po wielu latach, wbrew interesowi stron. Chaos, jaki to powoduje w wymiarze sprawiedliwości, uświadomiła opinii publicznej niedawno nagłośniona sprawa z Giżycka, kiedy to sąd, który miał dokonać podziału majątku po rozwodzie, uznał ów rozwód za nieistniejący, ponieważ był orzeczony przez neosędziego. Strony z rozwodu były zadowolone i nie skarżyły go, ale sędzia z Giżycka zbadał jego status „z urzędu", bo takie ma prawo. I zebrał głosy krytyki od prawników, bynajmniej nie propisowskich.

W sprawie giżyckiej sytuację stron dodatkowo pogorszyło użycie przez sąd formuły, że wyrok rozwodowy „nie istnieje". „Koncepcja non existens oznacza, że tych orzeczeń nie ma w obrocie prawnym. Rozwiedzeni są ponownie małżonkami, majątki z powrotem wspólne, spadki nienabyte i niepodzielone, własność, pieniądze wracają do tego, kto przegrał proces, praw rzeczowych nie ma, alimentów nie ma, adopcje, ubezwłasnowolnienia znikają, znikają z obrotu prawnego spółki, a co z ich majątkami – nie wiadomo. Otwieramy bramy zakładów karnych i wypuszczamy skazanych, oddajemy prawa jazdy skazanym za „zabójstwa drogowe" i jazdę po alkoholu, Skarb Państwa zwraca grzywny" – napisali na internetowych łamach „Rzeczpospolitej" profesorowie i adwokaci Maciej Gutowski i Piotr Kardas.

– *Wyroki mogą być wadliwe w różny sposób i podważalne z rozmaitymi skutkami, niekoniecznie takimi, jak to zrobiono w tej sprawie. Czasem można je uzdrowić, czasem nie. A najgorsze, że w tej sprawie sięgnięcie do wyroku rozwodowego w ogóle było zbędne* – wylicza prof. Ewa Łętowska możliwości, z których sąd w Giżycku mógł skorzystać, i błędy, które popełnił.

Ale stało się: orzekł „nieistnienie" wyroku rozwodowego. Skoro tak, to stronom przyjdzie ponownie wystąpić z pozwem rozwodowym. Tylko co, jeśli sędzia, który go dostanie, uzna, że dotychczasowy wyrok jest ważny, i odmówi orzeczenia rozwodu? Jak państwo polskie zamierza zagwarantować im prawo do sądu? I do decydowania o swoim życiu rodzinnym?

Chichot historii

Kwestionowanie orzeczeń neosędziów było dla sędziów walczących z upolitycznianiem wymiaru sprawiedliwości za rządów PiS sposobem obrony wymiaru sprawiedliwości i praw jego klientów. Kwestionowali sędziów powołanych z udziałem upolitycznionej neoKRS heroicznie, nierzadko doznając za to poważnych szykan osobistych i zawodowych ze strony ówczesnej władzy. Dzisiaj za to samo są krytykowani, bo politycy nie potrafią lub nie chcą się dogadać w sprawie ustawowej naprawy sądownictwa. A w debacie publicznej pojawił się dylemat, co jest bardziej szkodliwe dla realizacji prawa do sądu: kwestionowanie wyroków neosędziów czy ich niekwestionowanie.

Jacek Ignaczewski, sędzia Sądu Rejonowego w Olsztynie, specjalizujący się w prawie rodzinnym, i były dyrektor Departamentu Strategii w Ministerstwie Sprawiedliwości, na kanwie sprawy z Giżycka zamieścił na swoim facebookowym koncie tekst, w którym sugeruje, że gorsze jest kwestionowanie. Pisze, że konstytucyjne prawo do sądu to nie tylko prawo do sądu właściwie obsadzonego, ale też do osądzenia sprawy. A „sędzia nie jest od naprawiania państwa przez wstrzymywanie wyroków. Jest od tego, by ORZEC, nawet w trudnych warunkach ustrojowych". Na ten wpis zareagował sędzia Piotr Mgłosiek z Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Krzyków, uznając,

eprasa.pl 22434338fa

że kwestionowanie wyroków neosędziów to obowiązek sędziów: „Kwestionowanie orzeczeń wydanych przez wadliwie powołanych sędziów to jest właśnie ochrona obywatela. (...) Sędzia z pewnością nie jest od akceptowania bezprawia i narażania bezpieczeństwa prawnego obywateli. To kwestia zasad".

Prof. Ewa Łętowska proponuje pragmatyzm: w sytuacji, gdy strony sporu nie podnoszą kwestii neosędziego, sędziowie nie muszą badać każdego orzeczenia, działając z urzędu. A już zupełnie nie w sprawie z Giżycka, gdzie sędzia w osobnym postępowaniu miał dokonać podziału majątku. – *Istnieje domniemanie ważności wyroków. Ono jest po to, by chronić prawa osób, które te wyroki dostały, na papierze z orzełkiem.* I dodaje: – *W obrocie prawnym są tysiące decyzji bezwzględnie nieważnych, ale funkcjonujących dlatego, że mamy domniemanie legalności. Są pewnie tysiące wyroków, które są potencjalnie wadliwe, niekoniecznie dlatego, że wydali je niewłaściwie powołani sędziowie. Ale nikt ich nie bada: skoro ich nie podważono, to są i będą do końca dni naszych wywoływały skutki.*

Patrząc choćby na stanowiska wydawane przez stowarzyszenie sędziów Iustitia, nie wydaje się, aby sędziowie, którzy walczyli o praworządność, kwestionując prawo neosędziów do orzekania, skłonni byli teraz odstąpić od pryncypialnego działania. Mają oręż w postaci wyroków międzynarodowych trybunałów. Choć z drugiej strony dotyczą one wyłącznie neosędziów w Sądzie Najwyższym, a TSUE nigdy wprost nie stwierdził, że do podania w wątpliwość bezstronności sędziego wystarczy samo powołanie go z udziałem neoKRS. Za to tak orzekł Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu.

Mimo sprzeciwu prezydenta uda się powołać nową KRS w duchu zgodnym z konstytucją (posłowie jako „listonosze" wyboru dokonanego przez sędziów). Ale w kwestii takiego czy innego uregulowania statusu neosędziów dobrnęliśmy do ściany: bez zgody prezydenta nic z tego nie będzie.

Choć może się okazać, że z biegiem czasu walka z orzeczeniami neosędziów osłabnie, bo – tak jak za PiS – negowanie ich będzie szkodziło w karierze. Wprawdzie o nominacjach do awansu decydować będzie nowa KRS, ale prezydent może ich nie podpisać. A Karol Nawrocki, odmawiając w listopadzie awansów 46 sędziom, stwierdził: „Nie będę dawał awansów



także tym sędziom, którzy kwestionują porządek konstytucyjno-prawny Rzeczpospolitej". I doprecyzował, że chodzi o takich, którzy „słuchają złych podszeptów ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka". Można się domyślać, że chodzi o kwestionowanie wyroków neosędziów.

Prawnicy mający kontakt z sądami już dziś zauważają u sędziów oznaki „ustawiania się pod prezydenta". Na pewno nie jest to powszechne i nie oznacza jeszcze dyspozycyjności, ale rezygnacja z negowania wyroków neosędziów to byłaby jednak istotna zmiana.

Pat totalny

Niemoc polityczna spowoduje, że Polska nie wykona pilotażowego wyroku Trybunału w Strasburgu „Wałęsa przeciwko Polsce", w którym od systemowego, ustawowego rozwiązania sprawy sędziów powołanych z udziałem neoKRS i likwidacji Izby Kontroli Nadzwyczajnej w SN Trybunał uzależnia to, czy będzie nadal orzekał zadośćuczynienia w podobnych sprawach napływających do niego z Polski (w tej chwili jest ich ponad 800). Polska nie wykona też zobowiązań wobec Komisji Europejskiej dotyczących naprawy wymiaru sprawiedliwości.

Jednym z najgorszych dla państwa skutków tej niemocy jest to, że Sąd Najwyższy, czyli ostatnia instancja sądowa i organ, którego orzeczenia kształtują orzecznictwo sądów powszechnych, pozostanie zdominowany przez osoby mające dług wdzięczności wobec polityków PiS i jego koalicjantów z byłego rządu. To, że powołując się na orzeczenia TSUE i ETPCz, sądy niższych instancji będą mogły (właściwiej byłoby napisać „musiały", bo wyroki te je do tego obligują) kwestionować orzeczenia neosędziów z SN, niewiele pomoże.

Oznacza to też brak możliwości pociągania do odpowiedzialności dyscyplinarnej czy karnej sędziów, którzy z przyczyn politycznych za czasów PiS sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości. Do tej pory Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN nie uchyliła żadnemu z nich immunitetu, mimo wniosków rzeczników dyscyplinarnych i prokuratury. Nadal także o sprawach związanych z wyborami – prezydenckimi, parlamentów: polskiego i Europejskiego i w wyborach samorządowych – orzekać będzie zakwestionowana przez ETPCz i TSUE Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN.

Wreszcie: nierozstrzygnięcie ustawowo wątpliwości co do statusu neosędziów i ich wyroków może powodować brak zaufania do nich ze strony sądów innych unijnych krajów w sprawach, gdzie strony będą się na nie powoływać. Pokazuje to choćby opisana sprawa z Giżycka. Jeśli ktoś z rozwiedzionej/nierozwiedzionej (niepotrzebne skreślić) pary zechce osiedlić się w innym unijnym kraju, jak mają go traktować tamtejsze urzędy? Czy może tam zawrzeć nowy związek? Czy może brać kredyty bez zgody małżonka/niemałżonka (niepotrzebne skreślić)? A co będzie w sprawach gospodarczych? Bezpieczniej będzie zarejestrować firmę w innych krajach, żeby nie podlegać orzecznictwu polskich sądów. Tylko wtedy także tam firmy będą płacić podatki. I tak dalej.

Na razie w tym tunelu światła nie widać. Ale z drugiej strony w jakimś sensie tak zdecydowali wyborcy, których większość w zeszłym roku poparła Karola Nawrockiego. Tyle że uprzątnięcia bałaganu wymaga się od tych, którzy wtedy przegrali.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 22434338fa

Życie w innym

Nowa lalka Barbie ze spektrum autyzmu jest sygnałem społecznej „mody” na to zaburzenie. Co o nim wiemy, a co sobie wymyślamy?

JOANNA CIEŚLA



Lalka ma długie, ładnie uczesane włosy. Nosi różowe słuchawki, w ręce trzyma różowy *fidżet spinner*, a w drugiej – tablet do komunikacji pozawerbalnej. Te akcesoria, według opisu producenta, firmy Mattel, mają sygnalizować, że nowa Barbie to lalka autystyczna. Korporacja współpracowała z amerykańską organizacją Autistic Self Advocacy Network (ASAN), aby stworzyć zabawkę, „która reprezentuje i celebruje tę społeczność”. Słuchawki symbolizują potrzebę odcięcia od dźwięków, którą odczuwa wiele osób ze spektrum autyzmu, spinner, kręciołek, który można obracać w palcach, pomaga skupiać się na kontrolowanych bodźcach, a ograniczać dopływ innych, chaotycznych. Urządzenie do komunikacji alternatywnej nawiązuje do możliwych u osób z autyzmem ograniczeń w rozwoju mowy. Spojrzenie lalki jest skierowane w bok, co ma symbolizować unikanie kontaktu wzrokowego.

Prezentacja nowego dziecka firmy Mattel wywołała gorącą dyskusję między osobami z autyzmem, ich opiekunami i terapeutami. Jedni złoszczą się, że korporacja, odwołując się do wspierania różnorodności, wykorzystuje ludzkie dramaty do poszerzania własnej oferty. W świecie Barbie jest już lalka niewidoma – z białą laską, jest lalka z zespołem Downa, jest jeżdżąca na wózku i kolejna – z protezą nogi. Inni wierzą, że pojawienie się zabawkowej reprezentantki osób z autyzmem przyczyni się do oswojenia tematu, stworzy okazję do rozmów z dziećmi o tym zaburzeniu. A tym, które z nim żyją, pokaże, że ich doświadczenie jest dostrzegane i ma swoje miejsce w społeczeństwie.

Równolegle jednak słychać głosy, że nawet jeśli wśród motywów firmy Mattel było przeprowadzenie swoistej kampanii społecznej, to akurat autyzm do prezentacji w postaci lalki nadaje się nienajlepiej. Widać go w zachowaniu, nie w wyglądzie. Z charakterystycznych akcesoriów korzysta tylko część osób z tym zaburzeniem. – *Moje córki raczej nie skojarzyłyby, że ta lalka to Barbie w spektrum* – ocenia Marta, matka dwóch dziewczynek neurotypowych, w wieku 8 i 10 lat oraz 5-letniego chłopca z autyzmem. Urszula Dawgiałło, będąc dorosłą, została zdiagnozowana jako osoba w spektrum autyzmu i jako samorzeczniczka zaangażowała się w edukację, na czym polega to doświadczenie. Przewiduje, że lalkę z założenia będą kupować dla swoich dzieci osoby, które już mają pewną świadomość. Zakupem – koszt to niecałe sto złotych – szybko zaczęli się chwalić celebryci. Urszula w decyzji korporacji o wprowadzeniu takiego produktu widzi też odzwierciedlenie pewnej tendencji społecznej. – *W uproszczeniu można ją nazwać „modą na autyzm”, która powoli zaczyna wykraczać poza szerzenie wiedzy i budowanie świadomości, a staje się narzędziem do zdobywania materialnych i niematerialnych zysków. To nie jest ani bezpieczne, ani pożądane zjawisko.* Jednocześnie dyskusja o tym, kogo lalka reprezentuje i czy robi to właściwie, odzwierciedla, jak bardzo złożonym zjawiskiem jest autyzm i w sensie społecznym, i medycznym.

Asperger ad acta

Według obowiązującej w Polsce przez ponad 30 lat międzynarodowej statystycznej klasyfikacji chorób i problemów zdrowotnych ICD-10 autyzm dziecięcy jest jednym z całościowych zaburzeń rozwojowych. Obok niego autorzy wyróżniali m.in. zespół Aspergera („lżejszy autyzm” – z normalnym lub podwyższonym poziomem funkcjonowania intelektualnego), zespół Retta czy dziecięce zaburzenie dezintegracyjne. Ale cztery lata temu

© MATTEL INC.

eprasa.pl 22434338fa

świecie

Światowa Organizacja Zdrowia opublikowała nową wersję klasyfikacji ICD-11, obecnie stopniowo wdrażaną w Polsce. Wprowadzono jedną wspólną kategorię – zaburzenie ze spektrum autyzmu (w skrócie ASD, od ang. *autism spectrum disorder*). Zespół Aspergera został do spektrum włączony, przestał być odrębną jednostką. Charakterystyczne dla całej tej kategorii są trwałe trudności w komunikacji i interakcjach społecznych o różnym nasileniu oraz ograniczone, powtarzalne zachowania i zainteresowania. Uwzględnia się też poziom rozwoju językowego osoby oraz to, czy ma ona niepełnosprawność intelektualną, czy nie. Z tego wszystkiego powstaje kilka kombinacji diagnostycznych. Na razie w praktyce klinicznej i orzeczniczej w Polsce równolegle funkcjonują klasyfikacje ICD-10 oraz ICD-11.

Dr Anna Budzińska, dyrektorka gdańskiego Instytutu Wspomagania Rozwoju Dziecka, który prowadzi badania i terapię dzieci z autyzmem ocenia, że wprowadzane zmiany w nazewnictwie mogą być jedną z przyczyn, dla których diagnoz tego zaburzenia przybywa, zwłaszcza w starszym wieku. – *Osoba, która kiedyś uzyskałaby rozpoznanie np. zespołu Aspergera, bo jest w normie intelektualnej, ale w sytuacjach społecznych doświadcza dużych wyzwań, w nowej klasyfikacji będzie miała zdiagnozowane spektrum autyzmu.* Ale – jak zaznacza – rozpoznań zarówno autyzmu, jak i zespołu Aspergera przybywało, zanim nazewnictwo zaczęło się zmieniać. Działo się tak w Europie i w Stanach Zjednoczonych.

W Polsce liczba osób ze stwierdzonym autyzmem jest trudna do dokładnego oszacowania. Statystyki są niekompletne, pacjentów liczy się różnymi metodami. Ale nawet wycinki pokazują, jak zmienia się cały pejzaż. Według danych Narodowego Funduszu Zdrowia przez pięć lat, między 2019 a 2023 r., diagnoz zaburzeń ze spektrum przybyło o 100 proc. – z 65 tys. do ponad 130 tys. Jednak ogromna grupa pacjentów i ich rodziców przeprowadza badania w niepublicznych placówkach.

Kolejny wycinek: w przedszkolach w całym kraju w poprzednim roku szkolnym uczyło się ponad 36 tys. dzieci z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego ze względu na całościowe zaburzenia rozwoju. Dwa lata wcześniej taki dokument miało 25 tys. przedszkolaków. Można szacować, że w całym systemie edukacji orzeczenia ze względu na różne formy autyzmu ma ok. 100 tys. uczniów i uczennic. Dużo? Niby tak, bo w szacunkach epidemiologicznych WHO przyjmuje się, że zaburzeniami z tej grupy jest dotknięta jedna osoba na sto. Jednak wielu specjalistów ocenia, że światowe szacunki są zbyt ostrożne, a rzeczywista częstotliwość autyzmu może być nawet trzy razy większa.

Wiedza o tym, skąd autyzm się bierze, też wciąż się krystalizuje. Bez wątpienia jest uwarunkowany genetycznie, ale konkretne mutacje genów same w sobie wyjaśniają tylko ok. 20 proc. przypadków. Dużo częściej – przypuszczają naukowcy i lekarze – rolę grają kombinacje powszechnych wariantów genów, które pod wpływem różnych okoliczności mogą wpłynąć na rozwój zaburzenia. Przy czym tymi okolicznościami nie są szczepionki (mit o ich szkodliwości ma źródło w jednym z największych oszustw w historii medycyny – sfałszowanych badaniach brytyjskiego lekarza Andrew Wakefielda). Pewne dane wskazują natomiast na znaczenie zanieczyszczeń powietrza, na które narażone są kobiety w ciąży, starszego wieku ojca, cukrzycy matki czy infekcji prenatalnych. Przynajmniej niektóre z tych czynników pojawiają się dziś częściej niż w przeszłości. Jednocześnie lekarzom udaje się ratować coraz więcej dzieci rodzących się we wczesnych fazach ciąży. A znaczące wcześniactwo też może zwiększać ryzyko spektrum.

Mozaika w kalejdoskopie

Z badań publikowanych w ostatnich miesiącach wynika, że odrębne ścieżki rozwoju autyzmu mogą się wiązać z dużym zróżnicowaniem objawów. W pracy opublikowanej w lipcu w magazynie „Nature Genetics" na podstawie danych pięciu tysięcy dzieci badacze z Uniwersytetu Princeton podzielili dotkniętych autyzmem na cztery grupy.

Największa, stanowiąca ok. 37 proc., to pacjenci z wyzwaniami społecznymi i behawioralnymi. Przejawiają cechy autyzmu (na przykład niechęć do kontaktu z rówieśnikami), ale rozwijają się fizycznie i intelektualnie w podobnym tempie jak dzieci bez autyzmu. Większość objawów uwidacznia się później niż u pacjentów z pozostałych grup. Te osoby często zmagają się jednak z innymi problemami zdrowia psychicznego jak zaburzenia lękowe, obsesyjno-kompulsywne lub depresja. Grupa ok. 19 proc. badanych została nazwana „mieszaną z opóźnieniem rozwojowym". Takie dzieci, zazwyczaj obciążone rzadkimi zaburzeniami genetycznymi, wolniej uczą się chodzić i mówić – toteż zaburzenie, podobnie jak w pozostałych grupach, dostrzega się już w drugim roku życia. Pacjenci mocno różnią się między sobą trudnościami w relacjach społecznych lub powtarzalnością zachowań (dlatego grupa „mieszana"). Na ogół nie cierpią natomiast na lęki czy depresję.

Kolejna grupa z umiarkowanymi wyzwaniami (ok. 34 proc.) rozwija się w typowym tempie, ma też charakterystyczne objawy w kontaktach z ludźmi oraz powtarzalne nawyki, ale wszystko to jest dosyć łagodne. Te osoby zazwyczaj nie doświadczają współistniejących problemów psychiatrycznych.

Najmniejsza, 10-procentowa grupa pacjentów (nazwana: „szeroko dotknięci", choć po polsku zręczniej brzmiałoby „poważnie dotknięci") doświadcza najsilniejszych objawów, ma znaczne deficyty i opóźnienia rozwojowe, powtarzalne zachowania i wiele innych problemów zdrowotnych. Podkreślmy: codzienność osób ze spektrum, nawet tych w normie intelektualnej lub ponad nią, prawie zawsze jest trudniejsza niż osób rozwijających się bez zaburzenia.

A jakby ten obraz był nie dość złożony, spektrum autyzmu bardzo często (według danych sprzed kilku lat u 30–80 proc. osób) łączy się z pozornie zupełnie innym zaburzeniem – ADHD, czyli zespołem nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi. Wiedza i interpretacje na jego temat też dynamicznie zmieniają się w ostatnich latach, a tysiące ludzi uzyskuje diagnozy. Osoby z ADHD często są nadmiernie pobudzone, mają trudności z koncentracją i kończeniem rozpoczętych zadań, a także z panowaniem nad impulsami. Od niektórych terapeutów można usłyszeć komentarze półserio, że o ile osoby z autyzmem nie rozumieją niektórych norm społecznych, o tyle osoby z ADHD rozumieją je, ale nie są w stanie ich przestrzegać. Połączenie obu zaburzeń doczekało się już własnej nazwy – AuDHD. Może się objawiać m.in. problemami z samokontrolą, z zarządzaniem czasem, ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ z podejmowaniem decyzji, ale też z pamięcią. Bywa, że dochodzi do tego nadwrażliwość na dotyk, światło i dźwięki. Czasem zarówno spektrum autyzmu, jak i ADHD oraz ich połączenie wiąże się ze szczególnymi predyspozycjami – na przykład kreatywnością i innowacyjnością myślenia, co jest głównym powodem romantyzowania tych zaburzeń w popkulturze. Ultrazdolności, wybitny intelekt i sukces za sukcesem – owszem, to wszystko się zdarza – jednak sporadycznie. Dlatego też niektórzy mają żal do Barbie epatującej gładką fryzurą, czystą sukienką i estetycznymi gadżetami, że odzwierciedla atrakcyjny, ale rzadko widywany obraz spektrum autyzmu.

Pogoń za diagnozą

Rozpoznanie zaburzenia ze spektrum autyzmu jest diagnozą medyczną, wydaje ją lekarz. – *Złotym standardem w tej pracy są dwa narzędzia: ADOS-2, służący do oceny zachowań charakterystycznych dla zaburzeń ze spektrum autyzmu, oraz ADI-R – ustrukturyzowany wywiad z rodzicami lub opiekunami. Klasyfikacja ICD-11 zakłada także konieczność określenia poziomu intelektualnego pacjenta. Wymaga to zastosowania dodatkowych narzędzi, takich jak testy inteligencji* – opowiada dr Anna Budzińska. Dodaje, że cały proces diagnostyczny, badanie i opracowanie wyników, zajmuje wiele godzin. Dlatego lekarze psychiatrzy, do których czeka się w długich kolejkach, zazwyczaj sami nie przeprowadzają tak szczegółowych badań.

Praktyką jest, że na wizyty rodzice przychodzą z wynikami opisanymi przez diagnostów po specjalnych szkoleniach. Ale dr Budzińska podkreśla, że narzędzia mają charakter pomocniczy: – *O ostatecznym rozpoznaniu diagnosta decyduje nie tylko na podstawie wyników badań, lecz również w oparciu o własne doświadczenie kliniczne.*

Tymczasem przeprowadzanie testów (ADOS-2, w cenie 700–800 zł) oferują np. gabinety logopedów, po bardzo podstawowym szkoleniu. Z kolei pracującym w pośpiechu lekarzom zdarza się przyjmować przedłożone opisy z dobrodziejstwem inwentarza i automatycznie potwierdzać rozpoznanie. Koszt całego procesu diagnozy, prowadzonego poza systemem publicznej opieki zdrowotnej aktualnie sięga 3 tys. zł (w systemie natomiast może się rozciągnąć na lata).

Poradnie psychologiczno-pedagogiczne nie mają uprawnień, by kwestionować lekarskie rozpoznanie. Toteż dzieci ze stwierdzonym spektrum zazwyczaj uzyskują orzeczenia o potrzebie kształcenia specjalnego. W tym sensie kulawość systemu trochę uprawdopodobnia podejrzewaną przez część ekspertów edukacyjnych „nadprodukcję orzeczeń".

Orzeczenie o potrzebie kształcenia specjalnego daje możliwość nauki w szkole specjalnej, ale wiele dzieci ze spektrum jest w stanie uczyć się w zwyczajnych rejonowych podstawówkach. Szkoły na pracę z uczniem lub uczennicą z takim dokumentem dostają wysokie budżetowe dofinansowania (do 80 tys. zł rocznie, 10 razy więcej niż na dziecko bez orzeczenia). Idzie za tym obowiązek zapewnienia terapii i wsparcia – organizacji zajęć rewalidacyjnych albo indywidualnych lekcji, przydzielenia nauczyciela wspomagającego, który pomaga dziecku także w kontaktach z kolegami i w organizacji pracy. Wiele dzieci potrzebuje też więcej czasu na rozwiązywanie zadań lub częstszych przerw. Ale wiele szkół nie jest w stanie tego wszystkiego zorganizować przy 25 uczniach w klasie, zwłaszcza że w takiej grupie bywa ostatnio nawet kilka osób z osób z orzeczeniami.

Relacje międzyludzkie to osobny obszar sejsmiczny. – *Wysłaliśmy Tomka do prywatnej szkoły. Dyrekcja deklarowała, że nauczyciele to świadomi wyzwań związanych z autyzmem specjaliści* – relacjonuje Marcin, ojciec 10-latka ze spektrum. – *Faktycznie, był nauczyciel wspomagający, szkolny psycholog też niby interesował się synem, ale nikt nam się nie przyznał, że grupa chłopaków wobec Tomka stosuje przemoc.* Dopiero kiedy Tomek sam zasygnalizował rodzicom, że koledzy regularnie mu dokuczają, okazało się, że dorośli widzieli, co się dzieje, ale nie widzieli potrzeby reakcji. Marcin zabrał syna ze szkoły, co jest w takich sytuacjach najczęstszym finałem. Ale jest i ten kawałek szkolnego obrazka, na którym dzieci neurotypowe boją się gwałtownych czasami reakcji tych ze spektrum albo ich niezrozumiałych zachowań, których dorośli nie potrafią im wytłumaczyć.

I z którymi sami zbyt często nie są w stanie się zmierzyć, bo nikt ich do tego nie przygotowuje.

Opór przed diagnozą

Druga strona rosnącej świadomości i zainteresowania tematem autyzmu ujawnia się też wśród potencjalnych pacjentów dorosłych. Bo badania można przeprowadzić po okresie dzieciństwa. I często niesie to dobre życiowe efekty. Łukasz Majek, dziś 27-latek, w wieku 15 lat uzyskał diagnozę – zespół Aspergera. – *Wcześniej czułem się wyobcowany. Nie wiedziałem, dlaczego rówieśnicy śmieją się ze mnie, przeżywałem lęki. Po diagnozie zrozumiałem, czym mój wewnętrzny świat różni się od świata innych osób. Chodziłem na Treningi Umiejętności Społecznych i okazało się, że na przykład trudności w kontaktach z innymi można przełamać, że wielu rzeczy mogę się nauczyć.* Łukasz podkreśla, że przebył długą drogę – od głębokiego wycofania społecznego do założenia ze znajomymi Stowarzyszenia działającego na rzecz poprawy świadomości autyzmu i neuroróżnorodności. W tej grupie Łukasz czuje się pewnie, organizuje konferencje i dyskusje. Jest duszą towarzystwa.

Urszula Dawgiałło mówi, że diagnoza uzyskana po latach trudności szkolnych i zmagań z problemami psychiatrycznymi była dla niej jak spóźniony listu z Hogwartu. Pomogła pojąć niezrozumiałe wcześniej wydarzenia i reakcje innych ludzi na nią samą, lepiej dbać o zdrowie psychiczne. Urszula też działa w ruchu samorzeczniczym i z tej perspektywy dostrzega zjawiska, które ją niepokoją. – *W tych społecznościach pojawiają się obecnie ludzie, którzy określają się jako osoby autystyczne z samodiagnozą.* Faktycznie tego rodzaju wstępne rozpoznanie, przed wizytą u specjalisty, można przeprowadzić. W internecie są dostępne proste kwestionariusze, quizy czy filmy. Ale produkcje i materiały influencerów opowiadających o swoich życiowych historiach i symptomach z sugestią, że mają autyzm, często bez fachowej diagnozy to źródła, wobec których trzeba zachować daleko idącą ostrożność. W ostatnich latach co rusz podkreślają to naukowcy. Na przykład w wyniku przeprowadzonej przez badaczy z Drexel University w Pensylwanii analizy 130 popularnych filmików z TikToka (miały w sumie 200 mln odsłon) okazało się, że tylko 27 proc. z nich przekazywało dokładne informacje o spektrum autyzmu. 32 proc. nadmiernie upraszczało fakty. A 41 proc. – największa część – była po prostu bzdurna.

W polskich mediach społecznościowych łatwo trafić na konstatacje typu „Samodiagnoza daje prawo do życia po swojemu. Nie musisz mieć papierka, żeby przestać się obwiniać. I nie musisz się przed nikim tłumaczyć".

eprasa.pl 22434338fa

– *Rozumiem, że osoby, które się samodiagnozują i dołączają do społeczności osób neuroróżnorodnych, przeżywają w życiu jakieś trudności. I potrzebna im pomoc. Jednak pomijając oczywiste argumenty za skorzystaniem z usług specjalisty, należy wziąć pod uwagę także dane z najnowszych badań. Jeden z najczęstszych typów autyzmu wiąże się z podwyższonym ryzykiem innych problemów zdrowia psychicznego. Osoba samodiagnozująca się jako autystyczna może być na wczesnym etapie schizofrenii.* Dlatego także – podkreśla Urszula Dawgiałło – należy zgłosić się do dobrego psychiatry i mieć pewność, że jest się pod właściwą opieką. Owszem, takie wizyty są drogie. – *Ale jeśli ktoś określa się jako osoba samodiagnozowana i trwa w tym przez rok, to jest w stanie odłożyć przez ten czas kwotę na fachowe rzetelne badanie* – dodaje.


ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Obawia się, że całkowite przekierowywanie myślenia o autyzmie z jednostki diagnostycznej na określenie pewnej mniejszości społecznej nie przynosi nikomu nic dobrego. – *A autystyczna Barbie, niestety, moim zdaniem, trochę pogłębia ten trend. Tak naprawdę każda z lalek Barbie, które już powstały, może być autystyczna. Nie czuję, żeby ta mnie reprezentowała, ale nie mam też potrzeby, żeby to robiła.*

Nieoficjalnie – bo to wątek bardzo drażliwy – niektórzy terapeuci i działacze ze spektrum autyzmu przyznają, że unikanie rzetelnej diagnozy czasem może wynikać z obawy, że nie potwierdzi ona samodiagnozy. I zniszczy argumenty pozwalające choć częściowo wylogować się od wymagań współczesnego świata – faktycznie nieznośnych dla osób z zaburzeniami i bez nich.

Leczyć, ale jak?

Diagnozy w Polsce wciąż zbyt rzadko stawiane są na etapie, na którym mogłyby najskuteczniej poprawić jakość życia pacjentów i ich rodzin, czyli we wczesnym dzieciństwie. Jak wskazano w stanowisku Instytutu Ochrony Zdrowia z 2025 r., podpisanym przez specjalistów z największych ośrodków badających i prowadzących terapię osób w spektrum autyzmu, aż 70 proc. dzieci z podejrzeniem tych zaburzeń otrzymuje rozpoznanie dopiero po ukończeniu trzeciego roku życia. – *Lekarze pediatrzy często nie mają wystarczającej wiedzy na temat zaburzenia ze spektrum autyzmu, a przecież to oni jako pierwsi mają kontakt z rodzicem i dzieckiem* –podkreśla dr Anna Budzińska. – *W obecnej formule bilans dwulatka może utrudniać wczesne rozpoznanie autyzmu, ponieważ uwaga lekarza koncentruje się przede wszystkim na rozwoju fizycznym dziecka. A u wielu dzieci ze spektrum autyzmu na tym etapie przebiega on prawidłowo. Zdarza się więc, że pediatra uspokaja rodziców, mimo iż ci dostrzegają u dziecka niepokojące sygnały, takie jak wycofywanie się z kontaktów społecznych.*

Tymczasem liczne badania naukowe jednoznacznie wskazują, że terapia rozpoczęta przed ukończeniem przez dziecko trzeciego roku życia przynosi znacznie lepsze efekty. Nierzadko stawką jest zdolność do samodzielnego życia młodego, a potem dorosłego człowieka.

Jak się to robi? Jeśli dzieci mają głębokie problemy – nie rozumieją mowy, nie naśladują zachowań innych osób, trzeba uczyć je po kolei najbardziej fundamentalnych podstaw codzienności. Wychodząc na dwór, nie zaczną się same ubierać, nie wykonają też polecenia, żeby to zrobić. Ale mogą się nauczyć, jeśli podzielić czynności na kroki. Zaczyna się na przykład od fotografii ubrań (dzieci ze spektrum lepiej odczytują bodźce w tej formie) i nauki rozumienia relacji między zdjęciem a przedstawioną na nim rzeczą – że zdjęcie czapki i prawdziwa czapka to „para". Tak samo z butami i kurtką. Gdy tych zależności dziecko się nauczy, przed wyjściem na zewnątrz dostaje zestaw zdjęć i – jedną po drugim – zakłada części garderoby, które oznaczają. A potem, z karteczką symbolizującą koniec zestawu, idzie do terapeuty lub mamy czy taty. W takiej terapii – podkreśla dr Budzińska – bardzo ważny jest cały system pozytywnej motywacji, zachęcania dziecka do współpracy. Znaczenie mają drobne nagrody na każdym etapie nauki i ciepła, życzliwa relacja.

Marta, matka pięcioletniego dziecka z autyzmem, zaawansowanego w terapii, przyznaje, że gdyby ktoś trzy lata temu pokazał jej, jak mały funkcjonuje dziś, byłaby dużo spokojniejsza. – *Syn początkowo uczył się mówić, a ok. 20. miesiąca życia stracił tę umiejętność, zapadał się w sobie. Musieliśmy to wszystko, z pomocą terapeutów, budować od nowa.* Ale zaczęli już w okolicy drugich urodzin. Teraz chłopiec reaguje na imię, komunikuje, że jest głodny, że chce mu się pić. Mówi, co chciałby zjeść. To wielki postęp, choć Marta nie ma wątpliwości, że jej rodzinę czeka jeszcze ogrom pracy.

Lekarze i badacze podkreślają, że współpraca między Ministerstwem Zdrowia a Ministerstwem Edukacji przy diagnostyce i wsparciu osób ze spektrum autyzmu nie układa się dobrze. Apelują m.in. o doprecyzowanie tego, kto za co odpowiada w pracy z osobami ze spektrum. Dziś, nawet gdy pacjent otrzymuje rzetelną diagnozę, często zostaje z nią sam. Nie dostaje jasnych informacji, gdzie szukać pomocy, jakie metody terapeutyczne są potwierdzone naukowo i na jakie wsparcie systemu opieki zdrowotnej i systemu edukacji można liczyć. Skutkiem są m.in. dyskusje, czy terapia w przypadku spektrum na pewno jest konieczna, bo może dzieci mogą sobie na ten swój neuroróżnorodny sposób żyć.

Gdyby rzetelne przekazy o autyzmie stały się szeroko dostępne, modna lalka Barbie na ich tle mogłaby być przydatna, a w każdym razie nie szkodzić. Choć zawsze warto pamiętać, że autyzm to nie bajka. Ani zabawa.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 22434338fa

Tragedia na torach

Takiego wypadku nie było w Polsce od lat. Niedawno na przejeździe kolejowo-drogowym w Ziębicach zginęło młode małżeństwo. Nie zadziałały nie tylko rogatki, ale doszło też do awarii sygnalizacji świetlnej. Iwona i Krystian osierocili dwuletnią córeczkę. Czy przejazdy kolejowe w Polsce to przejazdy śmierci?

KATARZYNA KACZOROWSKA



Wypadek w Błoniu. W zepsutego Forda, który utknął na przejeździe, uderzył pociąg Intercity, wyrzucił go na drugi tor, gdzie najechał na niego inny skład. Poniżej: **tragiczny wypadek w Ziębicach. Spowodowała go awaria systemu na przejeździe: rogatki nie opadły, nie zadziałały też światła.**

Na zdjęciu ona trzyma na ramieniu roześmianą dziewczynkę, a on – brodacz w okularach – całuje ją delikatnie w policzek. I tylko dziecko, z opaską w kwiatki i kokardą, jest na tym zdjęciu kolorowe. Przerobiona fotografia, z szarymi rodzicami i czarną wstążką w lewym górnym rogu, nie pozostawia miejsca na wątpliwości. I takie właśnie zdjęcie



zilustrowało zbiórkę, jaką na popularnym portalu zorganizowano, by wesprzeć dziecko, które 21 grudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, straciło oboje rodziców.

Zebrano ponad pół miliona. Organizatorzy zrzutki, którą wsparło blisko 14 tys. osób, napisali: „Osiągnięty wynik przerósł nasz pierwotny cel, dlatego nie pozostaje nam nic innego,

© OSP BŁONIE, KPP ĄBKOWICE ŚLĄSKIE

eprasa.pl 22434338fa

jak z całego serca podziękować. Wasze wsparcie pokazało, że dobro naprawdę wraca". Zbiórkę uruchomiło Stowarzyszenie Rodziców i Przyjaciół Dzieci z Wadą Słuchu ORaToR – osierocona Michalinka to dziecko niesłyszące, ze wszczepionym jednym implantem ślimakowym, oczekujące na wszczep drugiego, co pozwoli dziewczynce słyszeć obustronnie. Prezeska Stowarzyszenia Aleksandra Bogonos, zakładając zrzutkę na jej rzecz, napisała: „W jednej chwili straciła wszystko, co było dla niej punktem odniesienia i bezpieczeństwem. Każdy dzień jej życia to terapia, ćwiczenia, powtarzalność i ogromna potrzeba stabilności – szczególnie teraz, po tak nagłej stracie. Po śmierci rodziców Michalinka została pod opieką rodziców Iwony – swoich dziadków. To Oni przy wsparciu najbliższych, przeżywając żałobę po własnym dziecku, przejęli pełną odpowiedzialność za wnuczkę i jej przyszłość. Michalinka jest objęta terapią w naszym Ośrodku Rehabilitacji i Terapii Rodzin Dzieci z Wadą Słuchu. Znamy ją. Znamy tę rodzinę".

Blisko 14 tys. darczyńców mogło przeczytać, że pracujący z osieroconym dzieckiem terapeuci widzą, jak bardzo potrzebuje spokoju, stałości i ludzi, którzy nie znikną. „Nie obiecujemy cudów. Chcemy tylko zdjąć z tej rodziny część ciężaru.

Zbieramy środki, aby wesprzeć dziadków Michalinki w opiece i wychowaniu, zapewnić ciągłość terapii słuchu i mowy, pomóc w organizacji życia po stracie obojga rodziców, dać tej rodzinie realne wsparcie w najtrudniejszym czasie".

Uciec przed śmiercią

Nowy rok 2026 przyniósł kolejne wypadki. 11 stycznia we wsi Chrośla na Mazowszu pociąg Kolei Mazowieckich uderzył w samochód. Kierująca autem kobieta zginęła na miejscu. W momencie wypadku szlabany były opuszczone. Dwa tygodnie później na przejeździe kolejowym w Widzinie w województwie pomorskim kierowca Scanii wjechał na wyposażony w sygnalizację świetlną przejazd kolejowo-drogowy wprost pod wykonujący tzw. przejazd techniczny pociąg osobowy. Mężczyzna zdążył wyskoczyć z ciężarówki, kiedy zorientował się, że dojdzie do zderzenia – tak uratował życie. Życie uratował też kierowca Forda, który dzień wcześniej utknął na przejeździe w podwarszawskim Błoniu. Chciał zepchnąć zepsute auto z torów na pobocze. Nie zdążył. W samochód uderzył pociąg Intercity relacji Szczecin Główny–Rzeszów Główny. Impet wyrzucił auto na drugi tor, gdzie nomen omen z kolei najechał na niego inny skład. Siła zderzenia była tak duża, że osobówka zapaliła się, a płomienie objęły także część kabiny jednej z lokomotyw.

29 stycznia 2026 r.: na stronie bezpieczny-przejazd licznik odlicza godziny, minuty i sekundy do kolejnego wypadku na przejeździe – o 12.15 pokazuje, że najbliższy wydarzy się za 42 godziny, 4 minuty i 12 sekund. To wyliczenie wynika ze statystyki za ostatni rok – do końca grudnia 2025 r. w wypadkach na przejazdach kolejowo-drogowych i przejściach zginęło w Polsce 57 osób. Ciężko rannych było 19. Tzw. zdarzeń odnotowano 183. Tylko w grudniu 2025 r. wypadków i kolizji z udziałem pojazdów i pieszych na tych przejściach i przejazdach było 11. Zginęło w nich pięć osób, w tym rodzice Michalinki z Ziębic.

2015 r. był rekordowy pod względem liczby wypadków na przejazdach – 189. Zginęło wtedy 55 osób, a 40 było ciężko rannych. Kolejny równie tragiczny rok to 2018 – 205 wypadków, 49 ofiar śmiertelnych i 32 ciężko ranne. Po tym swoistym piku liczby, za którymi kryły się tragedie wielu rodzin, systematycznie spadały. W 2025 r. sytuacja jednak wróciła do punktu wyjścia sprzed 10 lat – 183 wypadki i aż 57 ofiar śmiertelnych.

Równie tragiczny wypadek jak w Ziębicach wydarzył się w sierpniu 2019 r. – na przejeździe w Walentynowie zginęła 31-letnia kobieta i dwójka jej dzieci, 8-letnie bliźnięta – chłopiec i dziewczynka. „Ze wstępnych ustaleń wynika, że rowerzystka z dwójką dzieci została potrącona przez pociąg, a następnie z naprzeciwka nadjechał drugi pociąg, który najprawdopodobniej najechał na potrąconych" – relacjonowała dla Rynku Kolejowego st. sierż. Anita Szefler-Ciupińska z Komendy Miejskiej Policji we Włocławku. Według wstępnych ustaleń policji kobieta jechała na jednym rowerze z jednym z dzieci, drugie jechało na swoim rowerku obok. Przejazd kolejowy na dwutorowej linii, chociaż pozbawiony rogatek, był (i jest) dobrze oznaczony znakami poziomymi i pionowymi. Stoi przed nim znak STOP, który zobowiązuje do zatrzymania się. Widoczność w obie strony na przejeździe jest bardzo dobra – jeśli panują dobre warunki atmosferyczne.

Włodzimierz Kiełczyński, dyrektor PKP Polskich Linii Kolejowych SA ds. bezpieczeństwa, pytany o wypadki na przejazdach strzeżonych i niestrzeżonych, od razu wyjaśnia, że w ogóle nie istnieje taka kategoria jak niestrzeżone. I tłumaczy, że przejazdy publiczne mają swoje kategorie: od A do D. Te pierwsze obsługiwane są przez pracownika kolei. B to przejazd wyposażony w urządzenia załączające sygnalizację i zamykające rogatki w sposób automatyczny, na przejazdach kategorii C światła załączane automatycznie przez jadący w stronę przejazdu pociąg sygnalizują, czy można przez nie przejechać, a D oznaczone są znakami drogowymi.

Egzamin na dróżnika

– *Przed każdym przejazdem powinniśmy zachować szczególną ostrożność, bez względu na to, czy ostrzegają nas światła czy po prostu widzimy tylko znak* – podkreśla dyr. Kiełczyński. I od razu uprzedza pytanie o to, czy te wymogi bezpieczeństwa obowiązujące kierowców dotyczą też pracowników kolei obsługujących przejazdy kategorii A. – *Każdy musi mieć przygotowanie zawodowe. Oprócz standardowych badań medycyny pracy przechodzi badania psychologiczne. Samo wykształcenie kierunkowe też nie wystarczy. Konieczne są jeszcze egzaminy kwalifikacyjne.*

Taki egzamin to trzy etapy. Praktyczny sprawdza umiejętności zamykania i otwierania rogatek, użycia sygnałów alarmowych, zatrzymania pociągu w sposób alarmowy. Teoretyczny to test. Trzeci etap to sprawdzian praktyczny, czyli tzw. autoryzacja już na konkretnym posterunku – jak nazywają to sami kolejarze.

– *Tu sprawdzane są wszystkie umiejętności, wiedza, najpierw teoretycznie, a potem praktycznie. Zdany egzamin potwierdza pisemne poświadczenie* – tłumaczy dyr. Kiełczyński. I podkreśla, że to wcale nie jest koniec wewnętrznych regulacji. Na kolei obowiązują bowiem tzw. programy poprawy bezpieczeństwa, posterunki są systematycznie sprawdzane, a nowy pracownik pierwszą kontrolę ma do 14 dni po rozpoczęciu pracy: co najmniej jedną w dzień i jedną w nocy. Kontrole są też po każdym incydencie, a więc także po wypadkach, i to niezależnie od śledztwa prowadzonego przez prokuraturę. Wtedy sprawdza się historię pracownika z ostatnich kilku lat, przechodzi on ponowne egzaminy, znów trafia do lekarza medycyny pracy ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ i do psychologa. I zdarza się, że nawet po uzyskaniu ponownej autoryzacji, czyli dopuszczeniu do wykonywania obowiązków, ktoś zgłasza, że jeszcze nie jest gotowy, że potrzebuje wsparcia psychologicznego i czasu.

– *Ale bywa i tak, że ktoś nie dostanie autoryzacji. Pani dróżnik, która dwukrotnie nie zamknęła na czas rogatek, miała do nas pretensje, bo jej nie dopuściliśmy do pracy. W Aleksandrowie z kolei inna dróżniczka przedwcześnie je otworzyła i na przejeździe zginął kierowca. Ta kobieta od razu dostała możliwość wsparcia psychologicznego, choć zaznaczam, nie możemy nikogo do skorzystania z pomocy zmusić* – przyznaje dyrektor ds. bezpieczeństwa PKP PLK SA.

Czujny system?

Na przejazdach kolejowo-drogowych kat. B działa automatyczny system – w odległości równej drodze hamowania pociągu są czujniki, które uruchamiają czerwone światła migające. To, jak szybko, zależy od tego, kiedy zostały wyprodukowane, ale powinny zadziałać do 13 sekund. Potem automatycznie zamykają się rogatki najazdowe zlokalizowane z prawej strony drogi i w 31. sekundzie na przejeździe powinien się pojawić pociąg. Kiedy zjeżdża z przejazdu, uruchamia się czujnik wyłączający, potem zerujący i rogatki podnoszą się automatycznie. Infrastruktura nie jest jednak pancerna. Rogatki ulegają uszkodzeniom przez samochody, znaczenie ma podatność na warunki atmosferyczne (szczególnie gdy są burze), ale – jak tłumaczą eksperci – system powinien działać tak, że kiedy dochodzi do awarii, to rogatki powinny opaść i jednocześnie uruchomić się sygnalizatory świetlne. Wtedy przejazd jest zamknięty dla pojazdów i pieszych.

I jeśli system sygnalizuje awarię w konkretnym miejscu, dyżurny ruchu wprowadza ograniczenia prędkości pociągu do 20 km/godz., zarządza wielokrotne podawanie sygnału, do czasu przybycia ekipy, która ma tę awarię usunąć. Jeśli wymaga to czasu, przejazd oznacza się znakiem „Stop" i dodatkowo tabliczką „Sygnalizacja uszkodzona" lub „Rogatka uszkodzona". Nowoczesne systemy przejazdowe od strony torów wyposażone są także w sygnalizatory, które w przypadku usterki nakazują maszyniście ograniczenie prędkości jazdy przez przejazd do 20 km/godz.

W dolnośląskich Ziębicach system kompletnie nie zadziałał. I dla samych kolejarzy to zdarzenie ekstremalne, a w statystykach nie było takiego od co najmniej 15 lat. Sprawę wyjaśnia Państwowa Komisja Badania Wypadków Kolejowych, ale już dzisiaj można usłyszeć, że technika oszukała system i ludzi. Bo awaria systemu na przejeździe nie została zasygnalizowana u dyżurnego ruchu, więc ten nie był w stanie wprowadzić obostrzeń. Po tragicznym wypadku okazało się, że awaria dotyczyła nie tylko rogatek, które nie opadły. Nie działały też światła, więc rodzice Michasi w żaden sposób nie mogli zostać ostrzeżeni. Nie wiedzieli, że rogatki powinny były się zamknąć, bo nadjeżdża pociąg. I nie wiedzieli, że jest awaria na przejeździe.

Dyr. Włodzimierz Kiełczyński bezradnie rozkłada ręce. W nocy z 14 na 15 stycznia w Ziębicach przeprowadzono 16 próbnych jazd w różnych konfiguracjach. I za każdym razem zaświeciło się czerwone światło, a rogatki opadły. Znaleziono jednak pewną – jak to nazywają kolejarze – dysfunkcję, której nie potrafią dziś wytłumaczyć. I to będzie zadanie dla ekspertów z Państwowej Komisji Badania Wypadków Kolejowych, by nie tylko zrozumieć, co nie zadziałało, ale też zrobić wszystko, by do podobnej awarii, a w konsekwencji tragedii, nie doszło na innym przejeździe, gdzie zostały zamontowane takie same urządzenia.

– *Podobne rozwiązania są w 165 lokalizacjach w kraju, ale wydaliśmy zalecenia dla naszych jednostek organizacyjnych, by sprawdziły te urządzenia pod kątem technicznym* – zapewnia dyr. Kiełczyński. I dodaje, że czujniki z ziębickiego przejazdu zostały zdemontowane i przekazane do Instytutu Kolejnictwa, by tam wykryli tę nieprawidłowość techniczną. Potem będzie można zdecydować, co zrobić z pozostałymi czujnikami zamontowanymi na innych przejazdach. – *Ja wiem, że do tej grudniowej tragedii nie powinno było w ogóle dojść, ale te śmierci nie mogą pójść na darmo. I naszym zadaniem jest zrobić wszystko, by nie było kolejnych, dlatego że system nie zadziałał* – zapewnia dyrektor ds. bezpieczeństwa PKP PLK SA. I dodaje: – *Pamiętajmy jednak o zasadzie ograniczonego zaufania na każdym przejeździe. Człowiek jest tylko człowiekiem. Może popełnić błąd. Urządzenie może się zepsuć...*

Niezależnie od Państwowej Komisji Badania Wypadków Kolejowych swoje śledztwo prowadzi prokuratura, która dysponuje nie tylko nagraniem z kamery samochodu tragicznie zmarłego małżeństwa, ale też zeznaniami świadka. To kierowca, który jechał za ofiarami wypadku. Z ustaleń Prokuratury Okręgowej w Świdnicy, która nadzoruje dochodzenie, wiadomo, że śledczy dotarli do informacji, że na przejeździe już wcześniej zdarzały się awarie. Miały być zgłaszane zarządzającemu przejazdem, co jest obecnie sprawdzane. Na potrzeby procesowe śledczy zabezpieczyli czujniki z przejazdu, na którym po wypadku zostały zamontowane nowe czujniki. Kolej przygotowuje dodatkowy eksperyment procesowy, który ma się odbyć w miejscu tragedii pod nadzorem śledczych.

W PKP PLK SA na pytanie, czy jeśli winę za wypadek ponosi kolej, to wewnętrzne przepisy spółki przewidują wypłatę odszkodowań (lub np. ufundowanie stypendium dla osieroconego dziecka), odpowiadają, że firma jest ubezpieczona od ryzyka takich zdarzeń. O tym, czy i jakie działania zostaną podjęte po wypadku w Ziębicach, trudno mówić miesiąc po tragedii, choć na pewno pod uwagę będą brane różne warianty.

Ambasadorki Bezpieczeństwa

Iwonę i Krystiana pochowano na cmentarzu w Henrykowie. Bliscy tragicznie zmarłego małżeństwa prosili wszystkich żałobników, by zamiast kwiatów przynieśli na pogrzeb maskotki i słodycze, które zostaną przekazane do domu dziecka i hospicjum. Chrzestny osieroconej Michalinki napisał potem na swoim profilu w mediach społecznościowych: „Dziękujemy z całego serca wszystkim, którzy byli z nami w tym trudnym dniu pożegnania Iwony i Krystiana. Wasza obecność, ciepłe słowa i wsparcie były dla nas jak promień światła w najciemniejszym momencie. (...)".

W Polsce od 2005 r. prowadzona jest kampania społeczna „Bezpieczny przejazd". Przez pierwsze cztery lata apele do kierowców i pieszych widoczne były tylko latem. Ostatecznie jednak zdecydowano, że o bezpieczeństwie trzeba przypominać cały rok. Od 2019 r. robią to Ambasadorki Bezpieczeństwa – matki, żony, córki, siostry, babcie czy ciocie, które w spotach telewizyjnych, materiałach dla dzieci, aplikacjach czy ulotkach proszą: „Nie spiesz się", „Przestrzegaj przepisów", „Bądź uważny na torach", bo przecież w domu na każdego kierowcę czeka ktoś bliski.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 22434338fa

Salwy niehonorowe



W Parku Narodowym Ujście Warty ptaki są chronione, ale jeśli machną kilka razy skrzydłami i dotrą do jego granicy, już strzelają do nich myśliwi.

ZBIGNIEW BOREK

Z daleka zobaczyli trzy kopce. Piotr Chara i jeszcze dwóch strażników ochrony przyrody byli na rutynowym patrolu. Wcześniej żadnych kopców tu nie widzieli. Im bliżej byli tego miejsca, tym bardziej docierało do nich, że kopce są usypane z ptaków. Średnica podstawy: półtora metra. Wysokość: metr dwadzieścia, może czterdzieści. Około 50 sztuk w jednym. Nie zmieściły się w samochodach, dlatego myśliwi je zostawili. – *Coś się we mnie zapadło* – wspomina Chara. Widok kopców jest z nim do dziś, choć mija ćwierć wieku.

We wrześniu 2002 r. Park Narodowy Ujście Warty (woj. lubuskie) dopiero raczkował: został powołany rok wcześniej. Jego symbolem są najpopularniejsze tu gęsi zbożowe (od 2020 r. nazywane tundrowymi). Z tych gęsi usypane były kopce. Znajdowały się w otulinie. To strefa ochronna wyznaczona w celu zabezpieczenia parku przed intensywną zabudową, zanieczyszczeniami czy nadmiernym hałasem. W Ujściu Warty myśliwi ustawiają się na granicy otuliny, żeby strzelać do ptaków wylatujących albo wlatujących do parku. Chara: – *Dzień za dniem zabijają przedmiot ustawowej ochrony, kluczowy powód istnienia Parku Narodowego Ujście Warty. I to zgodnie z prawem.*

Rój pocisków

Wróćmy do 2002 r. Chara jako fotograf przyrody dokumentuje kopce martwych gęsi na służbowym sprzęcie. Gdy go zdaje, zdjęcia giną w tajemniczych okolicznościach. Dyrektorem Ujścia Warty jest wtedy Konrad W. W 2023 r. prokurator postawi mu zarzuty ustawiania przetargów na parkowe łąki, dzięki którym lokalny przedsiębiorca rolny miał wyłudzić prawie 30 mln zł unijnych dotacji. W 2002 r. Polska jednak dopiero szykowała się do Unii. Park jest oczkiem w głowie władz, dyrektor Konrad W. dzięki układom z wszechmocnym przedsiębiorcą nikogo się nie boi. Zakazuje Charze zajmowania się tym, co „nie należy do jego obowiązków". „Otulina to już nie park" – uzasadnia.

Zakaz miał się rozciągać także na czas wolny. Chara zakazu nie słucha. W weekendy zrywa się nad ranem. Jedzie na rozlewiska. Staje naprzeciwko myśliwych: on w parku, oni w otulinie. Klną i wyzywają, gdy wymachuje jak szalony czerwoną kurtką, żeby gęsi lecące nad granicą parku wzbiły się ponad zasięg śrutu.

Śrut nie jest pojedynczą kulą, lecz rojem niezależnych (metalowych i nie tylko) śrucin o średnicy 2–4,5 mm, z których każda działa jak mikropocisk. Rozpraszają się stożkowo. Aż 60–90 proc. mija ptaka, do którego mierzy myśliwy. Jak wyliczył Michał Skakuj, ekspert Polskiego Towarzystwa Zoologicznego, 40 m od strzelającego pole rażenia ma 3 m średnicy. Za jednym pociągnięciem spustu trafionych może więc zostać ponad dziesięć ptaków. Niektóre wielokrotnie.

Nie wszystkie trafienia prowadzą do szybkiego zgonu. Część ptaków doznaje urazów skrzydeł bez uszkodzenia narządów wewnętrznych albo doznaje płytkiej penetracji śrutu, który pozostaje w tkankach. Konsekwencje: niemożność latania i ucieczki, zwiększona podatność na ataki drapieżników, zaburzenia termoregulacji, infekcje i przewlekłe krwawienia. Z biologicznego punktu widzenia to urazy subletalne, które nie powodują natychmiastowej śmierci, ale obniżają ▶

© PIOTR CHARA

eprasa.pl 22434338fa

▶ szanse przeżycia. Wywołują stałe upośledzenie funkcji życiowych i długotrwałe cierpienie fizjologiczne. Psychiczne też. Jak opowiada Piotr Chara, partner postrzelonej gęsi potrafi godzinami krążyć nad wodą. Krzyczy do niej, mając nadzieję, że partnerka się podniesie.

– *Słysząc myśliwską kanonadę i widząc jej ofiary, miłośnicy ptaków też są psychicznie pogruchotani* – dodaje Chara. Park narodowy obejmuje rozlewiska u ujścia Warty do Odry. Unikatowe tereny podmokłe, rozległe łąki i pastwiska są ostoją ptaków wodnych i błotnych. Stwierdzono tu obecność 245 gatunków, w tym 174 lęgowych. 26 z nich należy do ginących w skali światowej: wodniczka, derkacz, rycyk, żuraw, bąk, bączek, rybitwa czarna i inne. W przelotach, oprócz wielotysięcznych stad gęsi tundrowej, pojawiają się gęsi gęgawy i białoczelne. Tutaj znajduje się największe w Polsce zimowisko arktycznego gatunku łabędzia krzykliwego, a także ok. 30 bielików.

Ujście Warty odwiedza rocznie 65 tys. turystów. Mogą korzystać ze ścieżek pieszych i rowerowych, w tym zagospodarowanych jako przyrodnicze. Część z nich pokrywa się z miejscami polowań. W pobliżu Kostrzyna nad Odrą, przy drodze krajowej nr 22, która przebiega wzdłuż granicy między parkiem a otuliną, mieszczą się punkty widokowe dla obserwacji ornitologicznych. Wzdłuż tej samej drogi nr 22 ustawiają się myśliwi. Wałem za przepompownią koło Słońska chętnie jeżdżą rowerzyści. On także oddziela park od otuliny, dlatego stanowi dogodne miejsce dla myśliwych.

– *To brzmi jak czarny żart: w parku ptaki są chronione, machną kilka razy skrzydłami i już można do nich strzelać* – mówi Daniel, podróżnik.

Do dyrekcji parku spływają skargi rodzin z dziećmi wstrząśniętych wycieczką w huku broni palnej. Chara zabrał kiedyś do Ujścia Warty filmowca z Warszawy, żeby uwiecznić gęsi na noclegowisku. W kępach trzcin widzieli myśliwych. Gdy nadleciały ptaki, zaczął się ostrzał. Martwe i ranne spadały z nieba, inne latały w popłochu.

Jako strażnik próbował z tym walczyć. Szef wlepiał mu nagany, Chara się odwoływał, sąd pracy cofał kary, ale historia się powtarzała. Po sześciu latach miał dość bezsilności i rzucił wymarzoną wcześniej pracę. Przez kolejne dziesięć lat w sezonie polowań (od połowy sierpnia do końca stycznia) nie wychodził w teren. Jak mówi, nie chciał zadawać sobie bólu. W końcu sprzedał sprzęt fotograficzny, żeby kupić filmowy. Bo film pokazuje okrucieństwo w całej okazałości.

Długi film o zabijaniu

Czarna plansza: „Statutowa funkcja otuliny Parku Narodowego to zabezpieczenie przedmiotu ochrony przed zewnętrznymi zagrożeniami. Jednak w otulinie Parku Narodowego Ujście Warty przedmiot ochrony – ptaki są obecnie wypłaszane, ranione i zabijane w wyniku rekreacyjnych polowań".

Ujęcie 1: styczeń 2025, trzej myśliwi na granicy parku i otuliny. Harmider, gwar, wrzawa, pełnia życia – to stada przelatujących ptaków. Przebija się głuchy odgłos wystrzałów. Kilka ujęć, w czerwonym kółku osobniki, które po trafieniu spadają na ziemię. Ok. 200 m dalej jest siedziba dyrekcji Parku Narodowego.

Ujęcie 2: 14 grudnia 2025 r., polder zachodni, okolice Chyrzyna: myśliwi na stanowiskach z bronią gotową do strzału wzdłuż wału między parkiem a otuliną. Ujęcie 3: 1 grudnia 2023 r., zaśnieżony wał wschodni w otulinie, myśliwy, w każdej ręce upolowany ptak.

Ujęcie 4: 10 października 2022, nielegalna czatownia z trzcin, cudzoziemscy myśliwi (bez wymaganego prawem polskiego opiekuna), gęsi upolowane (najazd na martwe w rowie), gęsi sztuczne (kilkanaście, jakby skubały trawę), ukryty głośnik. Wabi przelatujące ptaki. Zniżają lot, a wabik wizualny (tak nazywa się sztuczne ptaki) je uspokaja. Myśliwi mają je jak na dłoni.

Kolejne kadry: poldery, wały, noclegowiska. Na skraju myśliwi pod drzewami, w krzakach, trzcinach. Strzelają. Raz. Drugi. Trzeci. Salwy niehonorowe.

Kolejna czarna plansza: „Polujący ma obowiązek odnaleźć i zabrać postrzelone zwierzę, lecz w wyniku polowań blisko parku ranione ptaki są w stanie dolecieć do jego granic. Tam myśliwi i psy wejść nie mogą. Doprowadza to do okrutnej i niezgodnej z prawem praktyki świadomego skazywania ptaków na długie cierpienie przed śmiercią". 13 grudnia 2025: myśliwy szuka postrzelonego ptaka przy granicy parku. 5 grudnia 2023 r.: ranne gęsi ledwo pływają. 7 grudnia 2025: gęś tundrowa słania się na nogach. Kolejna nie może wzlecieć. Ataki bielików na ranną gęś (styczeń 2025). Napis: „Okaleczone śrutem ptaki w parku narodowym to symbol dysfunkcji państwa". Bez komentarza: tablica Parku Narodowego Ujście Warty posiekana śrutem.

Ten film Piotr Chara zmontował już jako członek zespołu ds. reformy łowiectwa, który powołał Mikołaj Dorożała, wiceminister klimatu i środowiska, główny konserwator przyrody. – *Mamy do czynienia z paradoksem. Z jednej strony jako państwo tworzymy i utrzymujemy park narodowy, żeby chronić ptaki. A z drugiej strony pozwalamy myśliwym, żeby już na granicach parku strzelali do tych ptaków* – mówi Dorożała.

W otulinie zamierza stworzyć strefę buforową z zakazem polowań. Park Narodowy ma 8 tys. ha, otulina 10 tys. ha, strefa ma objąć 5 tys. ha. – *Strefę zawęziliśmy tylko do tych obszarów, które są kluczowe z punktu widzenia ochrony ptaków. Nieregularny kształt i szerokość od kilkuset metrów do 2 km uwzględniają istniejące zabudowania i użytki rolne, czyli interesy mieszkańców i rolników* – mówi wiceminister.

Pechowa trzynastka

W 2013 r. grupa kilkudziesięciu naukowców, zajmujących się m.in. toksykologią i ekologią, wydała oświadczenie „Wildlife and Human Health Risks from Lead-Based Ammunition in Europe" (Zagrożenia dla zdrowia dzikich zwierząt i ludzi wynikające z amunicji ołowiowej w Europie). „Ptaki łowne i wodne połykają śrut ołowiany, myląc go z pokarmem lub żwirem potrzebnym do trawienia, co prowadzi do zwiększonej śmiertelności. Pociski i śrut ołowiany fragmentują się w ciele zwierzęcia na liczne drobne części, które mogą być spożywane przez padlinożerców lub trafiać do mięsa przeznaczonego do spożycia przez ludzi" – czytamy.

Ołów w organizmie człowieka może uszkodzić układ nerwowy i nerki, osłabić kościec, zaburzyć zachowania, w okresie płodowym przyczynić się do niedorozwoju. Według szacunkowych danych z 2022 r. w Polsce myśliwi wystrzeliwują rocznie 600 ton ołowiu. To dwukrotnie więcej niż emisja ołowiu z krajowego przemysłu i transportu. Od 2023 r. unijne rozporządzenie zakazuje używania amunicji śrutowej zawierającej ołów (podczas polowań na terenach wodno-błotnych oraz w pasie 100 m wokół nich). Przyrodnicy alarmują jednak, że myśliwi zakaz nagminnie omijają.

Koalicja Niech Żyją!, skupiająca 70 organizacji i inicjatyw ochrony przyrody,

eprasa.pl 22434338fa





Myśliwi na granicy parku strzelają do ptaków, które ją przekroczą. Po prawej: **polowanie pod siedzibą PNUW (biały budynek z wieżą obserwacyjną).**

od dekady apeluje o całkowity zakaz odstrzału wszystkich 13 gatunków łownych ptaków w Polsce. Nazywa je pechową trzynastką. „Antropopresja wywołana polowaniami może prowadzić do czasowego lub stałego opuszczania obszarów zasiedlanych przez ptaki, a więc do utraty i tak w większości rzadkich i nielicznych siedlisk" – piszą dr hab. Cezary Mitrus z Zakładu Zoologii Uniwersytetu Rzeszowskiego i Adam Zbyryt z Polskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków.

W opinii ekspertów nawet jedna trzecia ptaków zabijanych w Polsce na obszarach wodno-błotnych to gatunki ściśle chronione. Mewy białogłowe, perkozy dwuczube czy cyranki giną nie tylko z powodu szerokiego pola rażenia śrutu. Także dlatego, że myśliwi mierzą tylko z grubsza. O brzasku i zmierzchu. W półmroku. We mgle. Niektórzy nie rozróżniają gatunków nawet na ekranie komputera (nikt ich z tego nie egzaminuje), a w locie to trudne nawet dla ornitologa: liczy się wielkość, sylwetka, ubarwienie, sposób lotu, a nawet głos. „Moje pierwsze w życiu grzywacze" – pochwalił się na Facebooku uśmiechnięty myśliwy z martwymi gołębiami. Ornitolodzy wytknęli, że to objęte ochroną siniaki.

– *Ptaki nie są już ważnym źródłem pożywienia, a polowania nie stanowią racjonalnego gospodarowania nawet z punktu widzenia priorytetowych celów łowiectwa* – dowodzi Magdalena Micińska-Bojarek, doktor nauk prawnych z Wydziału Prawa i Administracji Kujawsko-Pomorskiej Szkoły Wyższej w Bydgoszczy.

Zauważa, że roczne plany łowieckie pełne są luk, dlatego „gospodarowanie populacjami ptaków łownych sprowadza się do ich zabijania w dość arbitralnie określonych ilościach". W takiej sytuacji zabijanie ptaków narusza art. 35 ust. 1 ustawy o ochronie zwierząt, za co grozi do trzech lat pozbawienia wolności. Prawniczka wskazuje, że huk wystrzału jest jak petarda rzucona w wymagającą ciszy ostoję tysięcy ptaków. Tylko niektóre są łowne, reszta zaś to gatunki chronione, myśliwi naruszają więc zakaz umyślnego ich płoszenia.

Psychoterapeuta i psycholog Wojciech Eichelberger (na konferencji „Stop masakrze dzikich ptaków!"): „Nie wolno wspierać zabijania dla przyjemności, ponieważ prowadzi to do demoralizacji na indywidualną i zbiorową skalę".

Obraz raju

92 proc. Polek i Polaków (sondaż z 2024 r. na zlecenie koalicji Niech Żyją!) jest zdania, że należy zaprzestać polowań na gatunki ptaków zagrożonych, 85 proc. nie chce polowań w ważnych ostojach ptaków, niemal dwie trzecie popiera całkowity zakaz polowań na ptaki.

Myśliwi jednak uważają się za obrońców przyrody i rolników. Wielu żyje w swoim świecie, w którym język kamufluje okrucieństwo. Na krew mówią: farba. Ptak celowo postrzelony w skrzydło jest zbarczony. Rannego po postrzale nazywa się niemal pieszczotliwie – postrzałek. „Czego nauczało się z tych ambon? Jaką głosiły ewangelie? Czy to nie szczyt pychy, nie diabelski pomysł, żeby miejsce, z którego się zabija, nazwać amboną?" – pisała Olga Tokarczuk („Prowadź swój pług przez kości umarłych"). – *Nie ma pola do dyskusji. Myśliwi wiedzą lepiej. Okazują ci wyższość, urządzają sobie heheszki* – mówi Grzegorz, przyrodnik z Kostrzyna.

Piotrowi Charze grozili. Hejt jest na porządku dziennym. Dezinformacja też. Myśliwi straszą „zagrożeniem dla wielu gospodarstw i lokalnej społeczności", bo „nikt nie będzie kontrolował populacji zwierzyny łownej". Taki ma być skutek wprowadzenia strefy ochronnej w otulinie.

– *Strefa ochrony wyłącza obwody łowieckie, ale nieprawdą jest, że rodzi to jakikolwiek problem* – mówi wiceminister Dorożała. Jak wyjaśnia, gospodarką łowiecką w strefie buforowej zajmie się park narodowy. Myśliwi nadal jednak będą mogli, a w świetle obowiązujących przepisów nawet powinni strzelać do gatunków inwazyjnych i uczestniczyć w odstrzałach sanitarnych. – *Będą też mogli polować na dziki, sarny i inne zwierzęta, bo zakaz polowań w strefie obejmie tylko ptaki* – dodaje. Gdy myśliwi zbojkotowali pracę zespołu ds. reformy łowiectwa, ostrzegł, że nie zablokują zmian. W styczniu 2026 r. wykreślono pięć z 13 gatunków łownych ptaków. Rozporządzenie o strefie buforowej w otulinie Ujścia Warty ma wejść w życie w marcu.

Chara spodziewa się, że strefa buforowa w otulinie sprawdzi się jak rezerwat przyrody Gęsi Bastion. To 724 ha Kostrzyneckiego Rozlewiska (woj. zachodniopomorskie), ostatniego już na 42-kilometrowym odcinku Odry pozbawionym wału, które utrzymuje wodę przez kilka miesięcy. Gęsi Bastion powstał trzy lata temu wbrew woli myśliwych i gminy Cedynia (w sądzie nadal z nim walczą) dzięki udokumentowaniu przez Charę bestialskich polowań.

Przed powołaniem rezerwatu naliczył w bastionie 2,2 tys. żurawi. Pierwszej jesieni po powołaniu – już 4,5 tys. Wystarczył jeden sezon bez polowań, żeby ptaki zmieniły zachowania. Wcześniej wylatywały, zanim nastał świt, bo instynkt podpowiadał im, że za chwilę się zacznie kanonada, a teraz wylatują dwie, trzy godziny po wschodzie słońca. Bez popłochu odlatują jednocześnie dwie, trzy, cztery rodziny żurawi. Gęsi też powoli, stopniowo. Ptaki błotne spędzają tam całą dobę. – *To obraz czegoś, do czego tęsknimy, niezależnie od tego, czy się przyrodą interesujemy czy nie* – mówi Piotr Chara. I dodaje: – *To przecież obraz raju.*

ZBIGNIEW BOREK

Więcej zdjęć na **www.polityka.pl**

© PIOTR CHARA (2)

eprasa.pl 22434338fa

Jak u Wujka

Śmierć kopalni to proces trudny i długotrwały. Kopalnia Wujek ma to już za sobą. Pogrzeb w kwietniu.

JULIUSZ ĆWIELUCH



Kopalnia przez lata uchodziła za „niezamykalną”, bo uświęconą męczeńską krwią „dziewięciu z Wujka” – górników zastrzelonych 16 grudnia 1981 r. w trakcie pacyfikacji strajku. Jednak w kwietniu Wujek idzie do likwidacji. Górnicy mówią, że czego nie zrobiło ZOMO, to dokończył Tusk. Tyle że decyzja zapadła za rządów tych, którzy obiecywali, że węgla mamy na 200 lat.

Jak zniknął Śląsk

Kopalnia Wujek istnieje już właściwie tylko na papierze. Zredukowana do tzw. ruchu nawet węgiel do fedrowania musiała dostać w prezencie od Kopalni Staszic, z którą połączono ją na początku 2021 r. Okazało się, że i to za mało, żeby uratować trwale nierentowną firmę. Na początku roku zarząd Polskiej Grupy Górniczej (PGG) oficjalnie potwierdził, że w kwietniu kopalnia zniknie z górniczej mapy. Decyzja musiała być trudna, skoro nie udało się namówić na rozmowę nikogo z zarządu. Najpierw zajęci, zabiegani, a później już oficjalnie niechętni do rozmowy. Ale w gruncie rzeczy likwidacja jest formalnością. Wujek już od dawna bardziej udawał kopalnię, niż nią był.

Na miejscu widać to jak na dłoni. Na bramie nawet specjalnie nie udają, że coś tam jest jeszcze do pilnowania. Ze zjazdem na dół też nie ma pośpiechu. Zjedzie się, kiedy się zjedzie. Kopalnia jest na ostatniej prostej. Zwija się od tylu lat, że wszyscy już dawno przestali się spieszyć. Chyba że na emeryturę. Po estetyce tablic bhp widać, że ostatni zryw świetności był tak mniej więcej pod koniec lat 90. zeszłego wieku. Kiedy inne kopalnie szły pod nóż, na Wujku spali spokojnie. Kiedy zaczęto łączyć ze sobą inne kopalnie, to Wujek był wchłaniającym, a nie wchłanianym. Mimo że na szali była m.in. dużo większa kopalnia Śląsk.

Wiadomo było, że przed 30. rocznicą pacyfikacji kopalni nikt nie ruszy. Zale-

© AGNIESZKA KOWALCZYK

eprasa.pl 22434338fa



Teren kopalni Wujek. Czerwony budynek w tle jest częścią nieczynnego już oddziału przeróbki węgla.

dwie rok później ówczesna dyrekcja holdingu zaczęła nieśmiało komunikować, że Wujek tonie. Analiza ekonomiczna wskazywała, że doszło do trwałego rozwarcia „nożyc kosztów i zysków". Konkretnie koszt wydobycia jednej tony zdecydowanie przekraczał jej rynkową cenę. Ale to wcale nie był największy kłopot Wujka. W innych kopalniach rachunki też się nie zgadzały, a dalej fedrowali. Tyle że tutaj już nie bardzo było co fedrować. – *Nałożyło się na to wiele czynników, łącznie z historycznymi. Ale prawda była taka, że najpierw w latach 80. sczerpywano złoża na akord, bez martwienia się o przyszłość, nie zawsze zgodnie ze sztuką i nie zawsze do końca. Byle był efekt w postaci urobku tu i teraz. Dodatkowo zmieniło się otoczenie, i to dosłownie. Kopalnia graniczy z autostradą. Obrosła osiedlami. W którąkolwiek stronę chcieliśmy drążyć, to komuś to przeszkadzało* – mówi jeden z byłych funkcyjnych z Wujka. Nazwiska nie podaje, żeby – jak mówi – górnicy sobie nim gęby nie wycierali, bo na kopalni cały czas panuje przekonanie, że Wujek dosłownie śpi na węglu, tylko w wyniku spisku nie pozwalają im go wydobywać.

Przy takim położeniu fedrowanie na zawał nie wchodziło w rachubę, bo takie wydobycie oznacza pękające budynki, zapadający się grunt, opadające autostrady. Czyli setki milionów szkód i niewiele mniej w odszkodowaniach. Trzeba było pracować na podsadzkę, czyli sczerpane wyrobiska zamykać i tłoczyć do nich piasek z wodą, żeby zachować względną stabilność gruntu. Później jeszcze odprowadzać wodę. Nie dość, że szła na to kupa materiału, to jeszcze zużywało się mnóstwo prądu. A prąd był drogi, bo z węgla. Ale o tym już nie wypadało mówić. Najbardziej nie wypadało mówić, że kopalnia po prostu nie ma już węgla. Przynajmniej takiego, który opłacałoby się wydobywać. A jednak przetrwała do dziś.

Myszy i ludzie

Patent, który przedłużył życie Wujkowi, czyli połączenie z inną kopalnią, był sprawdzony i wypróbowany w branży. Takie rozwiązanie zamazywało rzeczywiste wydobycie, pozwalało przerzucać długi na kopalnię żywicielkę, no i dawało pretekst do podtrzymywania zatrudnienia. 1 stycznia 2021 r. doszło do formalnej fuzji kopalń Wujek i Murcki-Staszic. Nowy twór nazwano KWK Staszic-Wujek. Cena widać nie miała znaczenia, skoro na potrzeby połączenia kopalń zdecydowano się przekopać długi na kilkaset metrów chodnik łączący obydwa zakłady. Oszczędności próbowano osiągnąć poprzez likwidację zakładu uszlachetniania urobku, czyli tzw. przeróbki. Przeróbki nie było, bo właściwie nie było już wydobycia.

Ale górnicy dalej zjeżdżali pod ziemię w Wujku. Później wsiadali do kolejki. Z jednej kolejki przesiadali się do drugiej, a później jeszcze na nogach szli na ścianę, już w innej kopalni, i tam fedrowali jako Wujkowi. W branży żartowali, że mają tak dobrze jak u wujka. I tak jest właściwie do dziś. Pod ziemię zjeżdżamy szybem Krakus. Za Niemca, bo kopalnia taki ma rodowód, szyb nazywał się Kramst – od przemysłowca Gustava von Kramsta. Ale jak do kopalni przyszła Polska, to z czasem zaczęła się rozpychać i w nazwach. Nazwę kopalni Oheim przetłumaczono na Wujek. W 1936 r. szyb przechrzczono na Krakus. Trzy lata później wrócili Niemcy i przywrócili pierwotną nazwę. Po wojnie znowu nastąpiła zmiana na Krakus. Na Śląsku nie ma łatwych historii, stąd może potrzeba silnych symboli.

Wśród załogi może i jest rozprężenie, ale jak powiesz, że zjazd jest windą, to zaraz się dowiesz, że winda to w bloku. A na kopalni jest szola. Zjeżdżamy na poziom 680 m. Zbigniew Rokita w książce „Aglo" zjazd do kopalni opisał jako podróż do trzewi ziemi. Do czegoś ciepłego, wilgotnego, ciemnego. I takie to trochę jest. Tyle że tym razem masz wrażenie, że lądujesz prosto w jelicie grubym, bo wszędzie walają się puste butelki po wodzie, jakieś zdemontowane rury, fragmenty urządzeń, które już dawno utraciły swoją funkcję i zastosowanie. W upadających kopalniach nakładają się na siebie dwa destrukcyjne trendy – brak inwestycji i gospodarka rabunkowa, polegająca na odzyskiwaniu wszystkiego, co warto wywieźć na powierzchnię i oddać na złom. I tak jedne maszyny ciągle pracują, a inne już nie pracują, choć jeszcze powinny. Tak jest z kolejką, którą górnicy powinni dojechać do stanowiska pracy. – *Głowica poszła w silniku. Raz naprawili. Silnik popracował chwilę i znowu padł. Drugi raz już chyba nie naprawią, bo to podobno 200 tys. zł może kosztować* – mówi jeden z górników, który prowadzi mnie pod ziemią.

Spacer jest z torem przeszkód. Miejscami stoi woda, a właściwie szlam. Trzeba dobrze patrzeć pod nogi, żeby nie przewrócić się na jakimś porzuconym kawałku sprzętu. Gdyby ktoś szukał scenografii do filmów katastroficznych, to właściwie wystarczy tylko dowieźć więcej świateł. A jednak kopalnia ciągle żyje. Grube kable zasilające do agregatów, podwieszone do ścian chodników, ciągną się kilometrami. Te kable to żyły kopalni. Z nich czerpie swoją siłę. Bez nich pod ziemią zaczęłaby się prawdziwa destrukcja. Ta nieodwracalna, bo napędzana siłą natury.

Idzie się ciężko, bo pod ziemią wszystkiego jest mniej: światła, powietrza, poczucia bezpieczeństwa. W sumie ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ to samym marszem można się zmęczyć, a przecież górników czeka jeszcze praca. Dojście do ściany zajmuje jakieś 50 min. Formalnie górnicy pokonujący tę trasę są już w pracy i liczą im się roboczogodziny. To kolejny powód do animozji pomiędzy tymi ze Staszica a tymi z Wujka. Chemii nie ma. I nikt tego specjalnie nie ukrywa. Staszicowi denerwują się, że utrzymują darmozjadów. Wujkowi mówią, że jak się tylko połączyli, to ich kopalnię zalały szczury. – *U nas szczurów nie było. Myszy to my mieli, ale szczurów nie. U nas była czysta kopalnia. A teraz ani jednej myszki nie uświadczysz, bo szczury wszystkie wybiły* – mówi jeden ze spotkanych na dole górników. Sugestia jest jasna. Ale pod ziemią nic nie jest jednoznaczne. Ten sam górnik odrywa kawałek kanapki i rzuca szczurom, których rzeczywiście jest tam sporo. – *No ja ich karmię, bo szczur to życie. Jak on ucieka, to ja zaraz za nim, bo on mądry i wie, kiedy trzeba wiać. Nawet na szkoleniu nas tego uczyli* – dodaje. Co do kopalni, to też się niedługo z niej zrywa. Swoje już pod ziemią przerobił. Jeszcze parę miesięcy i tyla go będą widzieli.



Pracownik dołowy. Ostatnie maszyny jeszcze pracują.

Rekordy

Strach przed zlikwidowaniem górniczego symbolu był tak duży, że w planie zamykania kopalń Wujka po prostu nie uwzględniono. W podpisanej we wrześniu 2021 r. przez rząd PiS i górnicze związki zawodowe „Umowie społecznej dotyczącej transformacji sektora górnictwa węgla kamiennego oraz wybranych procesów transformacji województwa śląskiego" przy każdej kopalni zapisano konkretny rok, w którym wygaszone zostanie wydobycie. W punkcie IV, w którym „ustala się terminy zakończenia eksploatacji węgla kamiennego do końca 2049 roku", o kopalni Wujek jest tylko na początku, że połączona zostanie z kopalnią Staszic. O likwidacji ani słowa. Sam Staszic ma czas do 2039 r. Sprytne.

Tyle że to zaklinanie rzeczywistości. Strata PGG za trzeci kwartał zeszłego roku wyniosła 6,175 mld zł netto. Tak wynika z danych Agencji Restrukturyzacji Przemysłu, pod którą podlega PGG. Można oczywiście mówić o poprawie, bo w 2024 r. w analogicznym okresie sektor był na minusie 9,202 mld zł. Ale to tylko pokazuje, że zamiast zarabiać, kopalnie nauczyły się po prostu wolniej tracić pieniądze. Skonsolidowanej straty za cały 2025 r. jeszcze nie ma. Pytanie brzmi, czy będzie dwucyfrowa, czy jednak nie. O zysku już od dawna nic się nie mówi. I to nawet w czasach, w których zapotrzebowanie na prąd i ciepło jest rekordowe.

3 lutego odnotowano najwyższe w historii Krajowego Systemu Elektroenergetycznego zapotrzebowanie na moc. Tego dnia o godz. 9.30 zapotrzebowanie na prąd sięgnęło 29,3 GW. 35 proc. tej energii wyprodukowano z węgla kamiennego. Tyle że w dużej części nie z polskiego, bo zagraniczny nie dość, że tańszy, to jeszcze czasem bardziej kaloryczny. W efekcie w zeszłym roku wydobycie całej PGG było na poziomie 15 mln ton. To tyle, ile Grupa miała wydobywać w 2031 r., czyli już po tym, jak zamknięte miały być cztery kolejne kopalnie. W tym dwie z obecnie najbardziej wydajnych, czyli Bolesław Śmiały (planowana data zamknięcia 2028 r.) i Sośnica (2029 r.). Przy takim wydobyciu i przy rosnących kosztach dług rośnie szybciej, niż oko jest w stanie rejestrować.

Na dole niskie wydobycie właściwie nie dziwi. Jak już przejdzie się te kilometry i wreszcie dojdzie do taśmociągów, to okazuje się, że na taśmie wozi się więcej powietrza niż węgla. Kombajn co chwila staje. Właściwie to trudno powiedzieć, z jakiej przyczyny. Raz coś się klinuje. Za chwilę okazuje się, że puściła złączka. Jak rusza kombajn, to po paru minutach pada taśma. Taśm jest kilka. Jak padnie jedna, to i tak resetować trzeba sterowniki wszystkich. A to zajmuje prawie 10 min. W tym czasie praca stoi. Dzięki temu można spokojnie porozmawiać z brygadą, bo i tak nie bardzo mają co robić. Nastroje są z kategorii byle do końca. Po minach górników łatwo poznać, którzy za chwilę przejdą na emerytury, którzy załapią się na pomostówkę, a kto będzie musiał jeszcze się przemęczyć na innej kopalni. Wśród tych ostatnich entuzjazmu nie ma. Dobrze wiedzą, co ich czeka. Po branżowej solidarności już dawno nie zostało ani śladu. Górników z innych kopalń przyjmuje się ze słabo maskowaną wrogością. Ci z Wujka mają u dyrektorów kopalń podwójnie pod górkę. – *Przez lata nikt tam nie liczył kosztów, a co za tym idzie, nie pilnował efektywności. Ci ludzie oduczyli się pracy i tego się już nie odwróci* – mówi bez ogródek jeden z dyrektorów. Pod nazwiskiem tego nie powie, bo taka prawda jest jak kadrowy wyrok śmierci.

Tożsamość

W styczniu 2020 r. została zamknięta kopalnia Piekary w Piekarach Śląskich. Górnicy fedrowali do końca, aż się ściany trzęsły, bo brygady z najlepszymi wynikami miały zagwarantowane przejście na nowe ściany w KWK Bobrek. Bobrek

eprasa.pl 22434338fa





Na powierzchni jest równie ponuro jak pod ziemią

to była pożądana przystań. Kopalnia miała względnie bezpieczną przyszłość – planowane zamknięcie 2040 r. Przodowy Krzysztof Zuchmantowicz z Piekar gonił więc całą brygadę, żeby fedrowali, ile maszyna dawała. A nawet jak kombajn Eickhoff SL 300 nie dawał rady, to Zuchmantowicz cisnął, żeby naprawiać choćby po łebkach i ciągnąć wydobycie. Ich wysiłek został doceniony. Cała brygada razem z własnym kombajnem przeszła na Bobrka. Rok później Zuchmantowicz był już na emeryturze. – *Na początku to nas nawet uważali i nie było jakichś specjalnych nieporozumień. Oni swoje, my swoje. Dopiero jak zaczęli mieszać brygady, to się zrobiło nieprzyjemnie. Jak atmosfera całkiem się popsuła, to trzeba było się pożegnać* – opowiada Zuchmantowicz. Za kopalnią nie tęskni. – *Nawet była propozycja, żebym wrócił, ale dla mnie to już nie ma do czego. Zresztą mam inną pracę* – dodaje. Pod ziemią przepracował 27 lat. Emerytem został w wieku 46.

Na końcówce kopalni Piekary dyrekcja zakładu przeprowadziła wśród górników ankietę na temat postrzegania samych siebie i swojego zawodu. Z odpowiedzi wynikało, że z górniczą tradycją utożsamiało się 4 proc. załogi. Z czym utożsamiało się pozostałe 96 proc., nie wiadomo. Ale z innych odpowiedzi można było wywnioskować, że z 13., a najlepiej również 14. pensją i wcześniejszymi emeryturami.

To, co pozostało po kopalni Piekary, niemal każdego dnia w drodze do pracy na kopalni Wujek mija Jan Jastrzębski. Jastrzębski z Piekar do Katowic ma jakieś 22 km. Mówi, że jak przejeżdża koło kopalni Piekary, to odwraca głowę, bo żal patrzeć. Ogólnie to została ruina, jakby zakład został porzucony, a nie przejęty przez Spółkę Restrukturyzacji Kopalni (SRK). Dopiero po pięciu latach od zamknięcia miastu udało się zdobyć finansowanie na przejęcie zabytkowego szybu Julian I. 8 mln zł ma wystarczyć na rewitalizację pogórniczego zabytku i zagospodarowanie 1,5-hektarowej działki. Dlatego plany na przyszłość są ambitne, ale wariantowe. Jak starczy, to będzie dobra restauracja, a jak nie, to tylko wieża widokowa plus kieszonkowy park. I to by było na tyle, jeśli chodzi o górnictwo w Piekarach. Jastrzębski wie, że w Katowicach, w których jeszcze całkiem niedawno było pięć kopalń, za chwilę będzie to samo.

Robert Ciupa, dyrektor Śląskiego Centrum Wolności działającego przy kopalni Wujek, ma nadzieję, że smutne lekcje z zamykania innych kopalń w tym wypadku jednak się nie powtórzą. – *Siła tego symbolu jest potężna i nie dziwię się, że Wujek był podtrzymywany przy życiu. Myślę, że jeszcze 15 lat temu ludzie nie byli gotowi na zamknięcie tej kopalni, a teraz będzie im po prostu łatwiej tę decyzję zaakceptować* – mówi. Cyferki mają tu mniejsze znaczenie. Stawia raczej na wartości, na takie słowa jak godność, szacunek. – *Likwidując kopalnie, nie można likwidować tradycji, pamięci. Trzeba uszanować cały ten dorobek kulturowy, który wypracowali górnicy* – tłumaczy.

Kiedy w 2018 r. Niemcy zamykali swoją ostatnią kopalnię węgla kamiennego Prospel-Haniel w Bottrop, zobowiązali się m.in. do utrzymywania górniczego chóru, dwóch orkiestr, do finansowania górniczych spotkań, barbórek oraz do utrzymywania izb pamięci. Ciupie marzy się to samo. Tyle że kiedy w grudniu 2022 r. katowicka „Gazeta Wyborcza" przyjrzała się górniczym orkiestrom dętym, okazało się, że większość muzyków to profesjonaliści, z co najmniej luźnym związkiem z górnictwem. Na trzy orkiestry jedynie kilku muzyków z Wujka to byli emerytowani górnicy, a jeden był jeszcze czynnym górnikiem. Ale cztery lata w górnictwie to epoka, więc pewnie w składzie orkiestry nie ma już żadnych czynnych górników. Ciężko będzie chronić tradycję, która już nie potrafi być tradycją.

JULIUSZ ĆWIELUCH
FOTOGRAFIE AGNIESZKA KOWALCZYK

Więcej zdjęć na **www.polityka.pl**

© AGNIESZKA KOWALCZYK (2)

eprasa.pl 22434338fa



Z archiwum Arche

JOANNA SOLSKA

Kongres partii Grzegorza Brauna w Pałacu i Folwarku Arche w Łochowie uderzył w wizerunek Władysława Grochowskiego, właściciela największej w kraju sieci hotelowej Arche. Internauci wezwali do jej bojkotu. On sam tłumaczy, że po prostu nie mógł Braunowi odmówić. A może też nie chciał?

Kongres Konfederacji Korony Polskiej zgromadził środowiska mocno antyunijne i antyukraińskie, czego należało się spodziewać. Krzysztof Gonciarek, szef branżowego periodyku „Hotelarz", który szefowi Arche wręczał w 2016 r. nagrodę Hotelarza Roku, stwierdza, że dla marki budowanej od lat na fundamencie odpowiedzialności społecznej, pomocy uchodźcom i zatrudnianiu osób wykluczonych zderzenie z narracją środowiska

eprasa.pl 22434338fa



Folwark Łochów to część większego kompleksu, w którym zorganizowała kongres Korona Polska

Brauna było poważnym wyzwaniem. Władysław Grochowski, dziś 73-letni, pytany przed laty przez „Forbes Women" o swoje autorytety, wymieniał m.in. Lecha Wałęsę i Mariana Turskiego. Pomagał Ukraińcom, chciał pomagać uchodźcom z Afganistanu, wraz z żoną założył Fundację Leny Grochowskiej, która zatrudnia osoby z niepełnosprawnością intelektualną oraz pomaga im się usamodzielniać.

Biznesmen ekscentryczny

Zareagował więc natychmiast, zapewniając, że o imprezie Brauna dowiedział się z opóźnieniem. Prawo wprawdzie nie pozwala mu selekcjonować klientów, ale teraz podejmuje decyzję biznesową, która ma być wyraźnym sygnałem sprzeciwu wobec poglądów organizatorów: na dowód cały przychód z kongresu przekaże na rzecz walczącej Ukrainy. Suma nie jest imponująca, w rozmowie z POLITYKĄ Grochowski szacuje ją na ok. 120 tys. zł. Jest po sezonie, partia Brauna zapłaciła niewiele, będzie musiał coś dołożyć. W tym celu fundacja jego żony Leny organizuje w sobotę bal charytatywny.

Władysław Grochowski ma opinię biznesmena, który przesuwa granice tego, co w branży uchodziło za standard. Także w kwestiach wizerunkowych. Jak wtedy, gdy jego obiekty ogłosiły akcję „Zrób sobie dziecko w hotelu", której celem miało być zwrócenie uwagi na problem demograficzny Polski. Gościom, którzy uprawdopodobnią, że poczęcie dokonało się w sieci Arche, grupa miała sfinansować przyjęcie, najpierw na 50 osób, potem już tylko na 20, ostatecznie zaledwie dla 10, o wartości nie wyższej niż 100 zł na osobę. Środowisko przyjęło akcję z niesmakiem, zyskała nazwę shockvertising. Grochowski odpowiedział, że chciał z hotelowego biznesu wypuścić trochę nadęcia. Dorobił się opinii ekscentryka.

Grupa Arche jako deweloper zbudowała już 10 tys. mieszkań, należy też do niej 20 hoteli. Przesunięcie granic polegało tu na tym, że są to głównie tzw. condohotele, których budowę sfinansowali drobni inwestorzy, Arche nie ryzykowała własnym kapitałem. Jej hotele często mieszczą się w rewitalizowanych pałacach czy innych zabytkowych obiektach, które niszczały. Takich jak pałac w Łochowie. Nic dziwnego, że fanem Grochowskiego jest Robert Gołaszewski, burmistrz Łochowa. 30 lat temu gmina była rolna, ale ziemia tam słaba, więc nikt jej nie uprawiał. Teraz wszyscy kojarzą Łochów z rewitalizowanym pałacem i dobudowanym do niego folwarkiem Arche.

Grochowski zobaczył biznesowy potencjał nie tylko w zrujnowanych pałacach, ale też w miejscach, w które wcześniej żaden inwestor nie zamierzał włożyć ani złotówki. W każdym razie nie wcześniej niż zabytek się zawali albo ktoś go podpali, takimi były m.in. nieczynna cukrownia w Żninie, koszary w Górze Kalwarii, dawne sanatorium milicyjne w Nałęczowie. Teraz przymierza się do przywrócenia świetności Starej Papierni w Konstancinie. Rewitalizacja niszczejących zabytków świadczy dobrze o jego patriotyzmie, jeszcze lepiej o biznesowym sprycie.

Państwo nie rozpieszcza?

Właścicielami poszczególnych pokoi w condohotelach nie jest Grupa Arche, ale pojedynczy inwestorzy kupujący tam apartamenty na wynajem. Obiekty budowane są za ich pieniądze, Arche nimi zarządza, dzieląc się zyskami. Samorządowcy z Warszawy, Krakowa czy Lublina biznes Grochowskiego nazywają patodeweloperką. Mieszkania na wynajem są malutkie, nierzadko ich powierzchnia nie przekracza kilkunastu metrów kwadratowych, bez wystarczającego dostępu światła. W dodatku budowane są w miejscach, które w planach zagospodarowania przestrzennego przewidziane były na coś innego. Bez odpowiedniej infrastruktury wodociągowej, kanalizacyjnej, bez parkingów. Z lekceważeniem miejscowych planów.

Kres takiej patodeweloperce ma położyć nowelizacja ustawy o własności lokali, jej projekt przygotował Tomasz Lewandowski, wiceminister rozwoju i technologii z ramienia Nowej Lewicy. Gdyby weszła w życie, biznes Grochowskiego i wielu innych deweloperów byłby zagrożony. Władysław Grochowski jako największy deweloper i zarządzający condohotelami w kraju ostro przeciwko nowelizacji lobbuje.

19 stycznia, a więc jeszcze przed kongresem partii Brauna, Grochowski osobiście przekonywał prezydenta Nawrockiego ▶

© MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM, ARCHE

eprasa.pl 22434338fa





Dawne sanatorium milicyjne w Nałęczowie – dzisiaj jeden z hoteli sieci Arche

▶ do zawetowania ustawy. W rozmowie z POLITYKĄ zapewnia, że został do prezydenta zaproszony wraz z kilkoma największymi polskimi przedsiębiorcami. Swoje żale na państwo, zbyt opieszale angażujące się w jego małe reaktory atomowe wylewał też wtedy Michał Sołowow, którego majątek szacuje się już na ponad 13 mld dol. Pomocy w walce z duńskim konkurentem oczekiwał Ryszard Florek, twórca Fakro, głos zabierał Adam Góral (Asseco). W domyśle – porzuceni przez państwo.

Chociaż nowelizacja jeszcze nie została uchwalona, a podpis prezydenta pod nią wydaje się mocno wątpliwy, Grupa Arche już odczuwa negatywne skutki. – *W styczniu aż jedna trzecia drobnych inwestorów zawiesiła decyzję w sprawie kupna mieszkania inwestycyjnego* – narzeka Grochowski.

Kilka dni wcześniej, 15 stycznia, z inicjatywy Władysława Grochowskiego odbyły się konsultacje, na które zaproszono wiceministra Lewandowskiego. Swoją nieobecność wyjaśniał na X: „w piątek do sekretariatu wpłynęło swego rodzaju wezwanie do siedziby Arche na poniedziałek godz. 12.00". O konsultacjach nie wiedział też Jan Wróblewski, prezes firmy deweloperskiej Zdrojowa Inwest, dużego gracza na rynku. Podobnie jak kilku innych deweloperów, którzy nie uważają nowelizacji za zagrożenie. Nowelizacja zwiększa uprawnienia samorządów, Jan Wróblewski uważa to za właściwe. – *Nie możemy piłować gałęzi, na której siedzimy* – twierdzi deweloper. Zbyt intensywna zabudowa, brak zieleni i przestrzeni publicznych zmniejszają komfort życia i atrakcyjność turystyczną. To się zawsze źle kończy.

Za pochopną zgodę na budowę condohoteli mieszkańcy odwołali już m.in. władze Szklarskiej Poręby czy Świeradowa. Narzekają mieszkańcy Juraty. Miejscowy biznes nie zarabia na condohotelach. Z tą patodeweloperką próbował walczyć PiS, Konfederacja jest jedyną siłą polityczną, która jej broni „w interesie polskich przedsiębiorców".

Filmowe słabości

Leszek Świętochowski, obecny prezes Krajowej Grupy Spożywczej, poznał Grochowskiego, kiedy obaj byli wójtami w sąsiednich gminach w powiecie siedleckim. Grochowski w gminie Suchożebry, niedaleko Wólki Konopnej, gdzie się urodził i mieszka do tej pory, prowadząc gospodarstwo rolne. Hoduje daniele. Przyszły hotelarz wrócił na stare śmieci po tym, jak wyrzucili go z Wydziału Operatorskiego łódzkiej filmówki, gdzie trafił po skończeniu liceum plastycznego w Lublinie. Jego pasją było robienie zdjęć. O niedokończonych studiach mówił krótko: dzięki temu, że go wyrzucili, przestał pić. Do tej pory unika alkoholu.

Był początek lat 90. Do startu w wyborach samorządowych namówił go proboszcz, który też zajął się zebraniem podpisów. Jako wójta nie wiązały go jeszcze żadne procedury, inwestował z rozmachem, najwięcej w kraju. Radnym jednak nie wszystko się podobało, więc go odwołali. Dał się wybrać w następnej kadencji, ale znów jej nie dokończył. – *Potem już na serio zajął się deweloperką, jak jego brat* – wspomina Leszek Świętochowski. W 1991 r. stworzył Arche. Siedziba firmy mieściła się w Siedlcach, ale pierwsze poważne pieniądze Władysław Grochowski zarobił w Warszawie, budując w Wilanowie Osiedle Królowej Marysieńki. Ziemi pod osiedle nie kupił, przekazali mu ją czterej miejscowi rolnicy w zamian za przyszłe mieszkania. Szybko stwierdził, że budowanie mieszkań nie jest kreatywne, chciał robić coś bardziej ambitnego, dlatego zainteresował się zrujnowanymi zabytkami.

Kiedy Ryszard Bugajski, wcześniej twórca słynnego „Przesłuchania", przymierzał się w 2013 r. do filmu „Układ zamknięty", pokazującego, jak miejscowy establishment niszczy rzutkiego uczciwego przedsiębiorcę, Władysław Grochowski, już wtedy znany w kraju deweloper, uznał, że to będzie film o takich jak on. Zasponsorował produkcję milionem złotych. Nie żałował, film zrobił duże wrażenie. W domowym archiwum Grochowskich (żona Lena, poznana jeszcze w liceum, jest plastyczką) zostały zdjęcia z planu, także biznesmena z Januszem Gajosem, filmowym prokuratorem. – *Od tej pory nic się nie zmieniło, państwo dla przedsiębiorców jest nadal opresyjne* – zapewnia biznesmen.

W 2024 r. Leszek Świętochowski, tym razem jako nowy prezes zrujnowanej stadniny koni w Janowie Podlaskim, zachwycił się miejscowym pałacem, również odbudowanym przez dawnego znajomego. – *Nawet niektóre sale nazwał imionami najsłynniejszych koni, na przykład Pianissima* – rozczula się dziś, już jako prezes państwowego koncernu spożywczego. Zapewnia, że pałac ma gości nie tylko w czasie słynnej aukcji, oprócz wielu atrakcji przyciąga ich także możliwość obejrzenia stadniny.

Władysław i Lena dopracowali się wizerunku ludzi bogatych, którzy potrafią dzielić się swoimi pieniędzmi. Fundacja Leny nie

© ARCHE, MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 22434338fa



Stara Papiernia w Konstancinie, miejsce najnowszej inwestycji Arche

tylko sprowadza Polaków repatriantów z Kazachstanu, ale też pomaga im się tutaj urządzić, w hotelach Arche mogą znaleźć pracę. A wyposażenie do nich wytwarzają także więźniowie, którym firma daje pracę. Władysława Grochowskiego dobrze postrzegała zarówno lewa, jak i prawa strona. Do czasu.

Jego apele o pomoc uchodźcom z Afganistanu już nie wszystkim się podobały. Kiedy PiS zaczynał budować mur na granicy z Białorusią, Władysław Grochowski się oburzał, pamiętał, gdy taki wyburzano po poprzednim systemie. Po wybuchu pandemii deweloper publicznie narzekał, że państwo nie udzieliło mu żadnej pomocy ani pożyczki. Obecnie powtarza ten zarzut. – *Musieliśmy zwolnić ok. 600 osób z 1,2 tys. załogi* – mówi. Mimo że wcześniej prawicowy tygodnik „Sieci" wyliczył, że w ramach różnego rodzaju programów w latach 2000–25 otrzymał od państwa ponad 182 mln zł, w tym sporo środków unijnych. On sam przypomina, jak bezskutecznie lobbował w sprawie zniesienia podatku od nieruchomości przez 5–10 lat w przypadku zakupu zrujnowanego zabytku.

Niechciane inwestycje

PiS naraził się deweloperom, a więc także największemu z nich, Władysławowi Grochowskiemu, gdy w 2023 r. walkę „o standardy" podjął Waldemar Buda, wtedy wiceminister rozwoju i technologii. Od kwietnia 2024 r. mikrokawalerki nie mogą już być mniejsze niż 25 m kw. Pod wpływem silnego lobbingu nowe przepisy nie objęły jednak mikrolokali w budynkach zamieszkania zbiorowego, czyli w hotelach, motelach i pensjonatach, szczególnie w miejscowościach turystycznych. A więc także w condohotelach, jakie powstają w Polsce masowo.

Następca Budy w MRiT poszedł jednak dalej, dając większe uprawnienia władzom lokalnym, które mają prawo wcześniej nie zgodzić się na budowę mikrokawalerek także w condohotelach. Dotychczas mogli się z nimi tylko procesować. Przeciwna patokawalerkom jest Warszawa (tu powstał słynny Hongkong), nie chce ich Kraków, Lublin. Coraz częściej nie życzą ich sobie także kurorty, bo zabijają miejscowy biznes.

Bartosz Kijowski, prezes Stowarzyszenia na rzecz Zrównoważonego Rozwoju Gór Izerskich Flins, także jest za ograniczeniem condohoteli. – *Tworzy się układ kolonialny, gdzie koszty wysokiego ruchu turystycznego spadają na lokalne społeczności, a zyski tylko częściowo zostają na miejscu.* Inne zdanie ma Marlena Kosiura z portalu inwestycjewkurortach.pl. „Radni to często właściciele istniejących obiektów noclegowych. Oni absolutnie nie są chętni do tego, żeby budować nowe obiekty. Więc te decyzje będą na pewno negatywne". Wniosek – do nowelizacji ustawy dopuścić nie można.

Władysław Grochowski publicznie nie występuje w obronie zysków deweloperów, ale seniorów, którzy kupują mikrokawalerki na wynajem, „aby dorobić do chudej emerytury". „Za to bez żadnych przeszkód damy zarabiać na hotelarstwie emerytom z Niemiec czy Francji, których środki inwestują w Polsce ogromne fundusze REIT. To chora sytuacja i dyskryminacja naszych obywateli" – napisał do MRiT. Takich argumentów zapewne użył w rozmowie z prezydentem. Być może wspomniał też o rewitalizacji zabytków, bo Arche daje im przecież drugie życie za pieniądze drobnych inwestorów, którzy tak chętnie inwestują w mikrokawalerki.

Grupa Arche zamierza przenieść swoją siedzibę do Konstancina, gdzie planuje potężne inwestycje. Rewitalizuje niszczejącą Starą Papiernię, obok condohoteli ma powstać kilka tysięcy nowych lokali, których dotychczasowi mieszkańcy sobie nie życzą. Podobnie jak stary burmistrz z PiS i nowy z koalicji 15 października, bo Konstancin straci swój charakter, a szosa do Warszawy zakorkuje się jeszcze bardziej. Sojusznikiem inwestycji może być tylko Konfederacja.

JOANNA SOLSKA

REKLAMA



eprasa.pl 22434338fa

Szał hal

Polska była już montownią Europy. Teraz staje się jej magazynem.

MARCIN PIĄTEK



Na przedmieściach największych polskich miast połacie hal coraz mocniej dominują w krajobrazie. Warunki lokalizacyjne są dwa: autostrada, ewentualnie droga ekspresowa, najlepiej jak najbliżej miasta i koniecznie w bezpośrednim sąsiedztwie drogowego węzła. Mapa przebiegu nowych dróg, przede wszystkim szybkiego ruchu, jest dla logistyczno-magazynowej branży kluczowa. Kto dowie się o tym układzie odpowiednio wcześnie, zaoszczędzi na zakupie działek krocie.

W 2025 r. magazyny zajmowały w Polsce niemal 37 mln m kw. To ponad 5,1 tys. boisk piłkarskich. Branża chwali się, że polski rynek jest pod względem tempa wzrostu na drugim miejscu w Europie, w ciągu dekady urósł czterokrotnie. Ale rynek nazywany Wielką Piątką (Warszawa, Wrocław, Łódź, Poznań, aglomeracja Górnego Śląska) coraz mocniej się zapycha. Jeśli chodzi o Warszawę, mówi się, że dalej niż do węzła Mszczonów (ok. 60 km od stolicy) już się nie opłaca budować. Ale gdy powstanie (według planów w 2032 r.) Centralny Port Komunikacyjny, niedawno przemianowany na Port Polska, firmy budujące hale dostaną nowy impuls.

Magazynowy biznes musi się mieć świetnie, bo Robert Dobrzycki, właściciel europejskiej filii firmy Panattoni, największego gracza na polskim rynku hal, wcielił się w rolę mecenasa kultury (konkurs chopinowski, Literacka Nagroda Nike), a niedawno z rozmachem wszedł do świata futbolu. Został większościowym udziałowcem Widzewa Łódź i zapowiedział stworzenie z niego lokalnego potentata. Do celu prze metodą wielokrotnie już praktykowaną, choć niegwarantującą sukcesu, czyli szastając pieniędzmi. W ciągu niespełna roku wydał już na transfery ponad 80 mln zł, ale na razie trafia kulą w płot, gdyż Widzew po pierwszej kolejce rundy rewanżowej Ekstraklasy znalazł się w strefie spadkowej (zresztą w towarzystwie warszawskiej Legii, najbogatszego polskiego klubu, znajdującego się obecnie na prostej drodze do futbolowej Nagrody Darwina), a milioner tłumaczył w jednym z wywiadów, że nie toleruje dziadostwa, mając na myśli rzeczywistość zastaną w łódzkim klubie. Stąd tak astronomiczne wydatki.

Z branżą magazynową Dobrzycki zetknął się na studiach jako szeregowy księgowy, a następnie w wyniku splotu szczęśliwych okoliczności poznał Carla Panattoniego, twórcę firmy wywodzącej się ze Stanów Zjednoczonych. Panattoni szukał kogoś, kto weźmie się za rozkręcanie biznesu w Europie. Dobrzycki musiał zrobić na Amerykaninie świetne wrażenie, bo został wyznaczony do tej roli jako dyrektor zarządzający i wywiązał się z niej imponująco, gdyż – jak mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" – w ciągu 20 lat stworzył z Panattoni Europe firmę większą niż jej amerykański matecznik. Dodawał też, że choć z jednej strony jest wdzięczny za szansę, jaką otrzymał, to z drugiej można powiedzieć, że i Carl Panattoni miał szczęście, że spotkał jego, Roberta Dobrzyckiego.

Zalew przesyłek

Za zbudowanie połowy z nieco ponad 36 mln m kw. powierzchni magazynowej w Polsce odpowiada właśnie Panattoni. Zasadniczo modele biznesowe działalności są dwa: zbuduj i sprzedaj oraz zbuduj i wynajmij. – *Wybór zależy od lokalizacji, profilu najemcy, długości umowy, perspektyw gospodarczych. My skłaniamy się coraz mocniej ku temu drugiemu, czyli do zarządzania oraz czerpania korzyści z posiadania magazynu. Ale dzięki sprzedaży zyskuje się kapitał na kolejne inwestycje* – mówi Damian Kołata, dyrektor ds. komercyjnych firmy 7R, z polskim rodowodem, ale ponad dwa lata temu większościowy pakiet udziałów nabył skandynawski inwestor Urban Partners, duży gracz na europejskim rynku nieruchomości komercyjnych

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 22434338fa



Magazyny na peryferiach Warszawy

(w 2021 r. kupił BIK, inną polską firmę działającą w tym obszarze).

Z tego samego powodu trudno powiedzieć, jak faktycznie podzielony jest rynek. – *O wiele łatwiej wskazać, kto obiekt zbudował, niż kto jest właścicielem i nim zarządza. Mamy w Polsce ponad 50 landlordów* (gospodarzy – MP). *Czołowi skupiają po kilka milionów metrów kwadratowych powierzchni, ale są też tacy, którzy mają jedną, dwie hale* – dodaje Damian Kołata.

Podobnie jak w przypadku wielu innych biznesów, silnym bodźcem do rozwoju stało się członkostwo Polski w UE, likwidujące bariery i koszty. Rynek magazynowy rósł stabilnie i przewidywalnie, po czym nastała pandemia. Okazało się, że spadła branży z nieba. – *W 2021 r. odnotowaliśmy 30-procentowy wzrost. W 2022 podobnie. Potem nastąpiła stabilizacja, ale w poprzednim roku znów mieliśmy do czynienia ze spektakularnym wystrzałem popytu, o skali porównywalnej do tej tuż po pandemii* – mówi Damian Kołata.

Stoi za tym handel internetowy. Według wyliczeń Krajowej Izby Gospodarczej w ubiegłym roku obroty na tym rynku sięgnęły 92 mld zł, a eksperci przewidują, że w ciągu najbliższych trzech lat się podwoją. Paczkomaty mnożą się przez pączkowanie, kurierzy uwijają się jak mrówki, łączna liczba przesyłek na krajowym rynku ma niebawem przekroczyć 1,5 mld rocznie (według prognoz Urzędu Komunikacji Elektronicznej). A większość z nich przewija się przez magazyny i centra logistyczne. – *Trzeba wziąć jeszcze pod uwagę obecny standard, czyli gwarancję darmowego zwrotu. W branży modowej stanowią one już niemal 50 proc. zamówień* – dodaje Damian Kołata.

Chińska lawina

Za potężny ubiegłoroczny wzrost powierzchni magazynowo-logistycznej znów w dużym stopniu odpowiada e-handel. Również ten o chińskim rodowodzie. Polacy odkryli tamtejsze platformy zakupowe, oferujące mydło i powidło po cenach tak absurdalnie niskich, że klienci nie zwracają uwagi na jakość produktów, a nawet ich szkodliwość (według badań przeprowadzonych przez Federację Konsumentów ponad połowa skontrolowanych produktów pochodzących z Shein i Temu nie spełnia unijnych norm bezpieczeństwa i stanowi zagrożenie dla zdrowia m.in. z powodu wysokiego stężenia metali ciężkich).

Zanim unijni nadzorcy zorientowali się w skutkach bezrefleksyjnego otwarcia rynku dla chińskich podróbek sprzedawanych po dumpingowych cenach i wprowadzili cła (3 euro na każdy produkt o wartości poniżej 150 euro, będą obowiązywać od 1 lipca tego roku), Chińczycy zapuścili korzenie. Widać to również w Polsce, nie tylko po lawinowo rosnącej liczbie zamówień produktów z tamtejszych platform e-handlu. Pod koniec roku Shein uruchomił pod Wrocławiem największe europejskie centrum logistyczne firmy, zajmujące aż 750 tys. m kw. Firma jest w Polsce obecna od 2022 r., najpierw na jej potrzeby budował Panattoni. Ale skala potrzeb Shein była tak duża, że ostatecznie do stworzenia jej zaplecza magazynowego trzeba było zaangażować kilku przemysłowych deweloperów.

Jako uzasadnienie tej gigantycznej inwestycji przedstawiciele Shein podawali położenie Wrocławia i bliskość rynków zachodnioeuropejskich (liczbę europejskich klientów zaopatrujących się na tej platformie firma szacuje na 100 mln), ale również rozwiniętą infrastrukturę drogową oraz dostęp do wykwalifikowanych pracowników, czyli inżynierów i operatorów. Bo choć z jednej strony tego rodzaju centra magazynowo-logistyczne coraz mocniej polegają na automatyzacji, to człowiek musi nad robotami czuwać. Branża mówi: Rumunia może być bardziej atrakcyjna, jeśli chodzi o koszty pracy bądź najmu powierzchni, ale na korzyść Polski przemawia splot czynników: położenie, infrastruktura drogowa, kultura pracy, wydajność, no i w końcu nizinne ukształtowanie terenu.

Podwrocławskie centrum Shein ma dać zatrudnienie dla ok. 5 tys. pracowników, więc mimo kontrowersji i zarzutów towarzyszących działalności chińskich gigantów e-handlu lokalne władze witają je z otwartymi rękoma. W końcu zarobią również na podatkach od działalności gospodarczej. Marek Dobrzycki, partner ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ w polskim oddziale Panattoni, mówi, że Polska jest postrzegana jako bardzo przyjazny kraj, jeśli chodzi o procedury administracyjne: – *Wszystkie formalności związane z budową jesteśmy w stanie załatwić nawet w 12 miesięcy. W Czechach może to trwać nawet trzy razy dłużej.*

Hale stawia się na konkretne zamówienie, co oznacza podpisanie umów najmu nawet na 15–20 lat. Albo typowo spekulacyjnie, czyli buduje się i szuka klientów zainteresowanych działalnością na krócej, minimum 2–3 lata. Z doświadczeń Marka Dobrzyckiego wynika, że większość inwestycji realizowanych w okolicach Poznania, Wrocławia oraz bardziej na zachód powstaje albo na zamówienie klientów z Europy Zachodniej, albo z myślą o ich pozyskaniu. – *Firma, np. niemiecka, widzi, że jej rynek rośnie, nie chce czekać z zabezpieczeniem powierzchni magazynowej i dlatego zwraca się do nas. Wie, że w Polsce jesteśmy w stanie zrealizować obiekt w odpowiednim standardzie, ale też szybciej i taniej niż na jej macierzystym rynku* – mówi.

Polskie huby

Na tej fali przybywa inwestycji realizowanych w okolicach Gdańska oraz Szczecina. Wszystko wskazuje na to, że będzie ich coraz więcej, bo Polska korzysta na zawirowaniach w innych krajach. Brexit sprawił, że brytyjskie firmy, uciekając przed dodatkowymi procedurami, opóźnieniami i kosztami (będącymi efektem przywrócenia kontroli granicznej), zaczęły przenosić swoje centra magazynowe i logistyczne do Holandii. Ale Holandia okazała się za droga, więc brytyjskie firmy zaczęły się rozglądać za innymi lokalizacjami hubów. Według raportu firmy Fulfilio zajmującej się obsługą platform e-commerce umiejscowienie zaplecza magazynowego w Polsce oznacza obniżkę kosztów rzędu 20–40 proc. I skraca oczekiwanie klienta na przesyłkę.

Damian Kołata mówi, że jeśli chodzi o powierzchnię spekulacyjną potrzebną „na już", sytuacja jest z punktu widzenia klienta dobra, ale tylko z pozoru. – *Obecnie ocenia się, że do wynajęcia w Polsce jest 7,5 proc. powierzchni. Wydawać by się mogło, że to sporo, np. Czesi mają 3 proc. Ale te dostępne magazyny są rozdrobnione. Gdyby jakaś firma potrzebowała wynająć w jednym miejscu 50 tys. m kw., to jej się nie uda.*

Odzew na biznesowe perspektywy firm sprawia, że branża magazynowo-logistyczna z wyprzedzeniem dostaje sygnały co do popytu, konsumpcji, sytuacji na rynku pracy. Oraz sprzyjającego otoczenia biznesowego, a nawet czynników ryzyka. Nowe magazyny zlokalizowane w okolicach Rzeszowa są po prostu odpowiedzią na wzrost internetowych zamówień od klientów z zachodu Ukrainy, zmęczonych wojną, ale mających wciąż swoje konsumenckie potrzeby. Ale wizje ataku Rosji na Polskę są może zbyt czarne, skoro Panattoni realizuje dla BSH (producenta urządzeń Bosch) fabrykę sprzętu gospodarstwa domowego nieopodal Rzeszowa. Pracę ma tam znaleźć około tysiąca osób, otwarcie zaplanowano w połowie tego roku.

Marek Dobrzycki mówi, że utożsamianie działalności Panattoni oraz innych firm z branży z budowaniem wyłącznie magazynów jest błędne. – *Mniej więcej jedna czwarta naszych realizacji to obiekty produkcyjne. Poza tym coraz wyraźniej widać chęć firm do koncentrowania w halach różnych rodzajów działalności. Oprócz magazynu, sortowni i bazy logistycznej to również serwis, montaż, działy rozwoju i badań, przestrzeń biurowa. Wszystko po to, by przyspieszyć proces decyzyjny, skrócić czas obsługi klienta, zmniejszyć koszty transportu.*

Wiele wskazuje na to, że typowych obiektów produkcyjnych może być w portfelu zamówień coraz więcej. Przede wszystkim za sprawą przenoszenia działalności gospodarczej z Chin lub Indii do Europy, czyli zjawiska zwanego *nearshoringiem*. Firmy uzasadniają takie posunięcia skuteczniejszą kontrolą jakości, skróceniem łańcuchów dostaw, ucieczką przed rosnącymi kosztami działalności w krajach, które do niedawna były pod tym względem rajami. Ale również dostrzegają, że oddanie chińskim partnerom całego know-how (Komunistyczna Partia Chin stawiała wymóg powoływania do życia przedsiębiorstw joint venture) skończyło się na bezczelnym kopiowaniu i masowej produkcji podróbek. Trafiających następnie na chińskie platformy handlu internetowego. Damian Kołata: – *Widzimy, że produkcja wraca do Europy. Zapytania w związku z potencjalną inwestycją dostajemy zresztą również od chińskich firm, w tym niemających nic wspólnego z tzw. fast fashion.*

Branża uważnie słucha też technogigantów: jako jedno z najbardziej atrakcyjnych dla lokalizacji baz danych europejskich miast wymieniają Warszawę (a konkretnie jej peryferie). Zapotrzebowanie na nie w dzisiejszym cyfrowym świecie rośnie nieustająco. W zachodniej Europie albo brakuje już na te bazy miejsca, albo nowym inwestycjom sprzeciwiają się mieszkańcy, którzy poniewczasie odkryli, że tego rodzaju olbrzymie serwerownie potrzebują masy energii elektrycznej, a przede wszystkim drenują lokalne zasoby wody. W Polsce ta świadomość dopiero się budzi – mieszkańcy podwarszawskich Reguł protestują przeciwko umiejscowieniu w ich sąsiedztwie czterech olbrzymich serwerowni na 23-hektarowej działce. Po wnikliwym przeanalizowaniu przedstawionej przez inwestora dokumentacji ustalili, że centrum, zwane kojąco parkiem technologicznym, będzie zużywało tyle prądu, ile 330-tysięczna Bydgoszcz, a w gorące dni do chłodzenia serwerów popłynie tyle wody, ile wystarczyłoby na potrzeby 120 tys. mieszkańców. Sześć razy więcej niż mieszka w całej gminie Reguły.

Makro i mikro

Atrakcyjne lokalizacje przy drogowych węzłach, w branży określane jako greenfieldy, powoli się kurczą. – *Alternatywa to miejskie tereny poprzemysłowe, które wymagają rekultywacji i zaaranżowania na nowo. Czesi są w tym bardzo dobrzy i Polska też zmierza w tym kierunku. Aktualnie w 7R realizujemy największy tego typu projekt w Europie: 230 tys. m kw. pod dachem w przestrzeni miejskiej Nowej Huty. Firmy dążą do koncentracji w jednym miejscu wszystkiego – od magazynu po biuro – bo pracownicy nie chcą dojeżdżać gdzieś w szczere pole. To też odpowiedź na potrzeby klienta, oczekującego dostaw jak najszybciej. Firmy uzależnione od szybkich i częstych dostaw, np. w branży spożywczej, coraz chętniej polegają na mikromagazynach, o wielkości 500 m kw., skąd towary dostarcza się rowerami cargo* – opowiada Damian Kołata.

To w branży stosunkowo nowy trend. Inną zmianą, odnotowaną w 7R, jest spadek inwestycji typowo spekulacyjnych (zakup działki, budowa, szukanie najemców). Damian Kołata: – *Wszystko wskazuje na to, że ten rok będzie pierwszym, w którym więcej umów najmu zostanie zawartych w istniejących obiektach niż w nowo budowanych. Ze strony firm widać pewną ostrożność, niepewność.* Zapewne branża zakłada wzrost biznesowego ryzyka. Czyżby „efekt Trumpa" dotarł też do magazynów?

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 22434338fa

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY



ZWIERCIADLO.PL



DOSTĘPNE TAKŻE Z KOSMETYKAMI
DO PIELĘGNACJI WŁOSÓW
BABY HAIR COMPLEX
MARKI **BEBIO COSMETICS**
DO WYBORU

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

ODWIEDŹ NAS

zwierciadlo.pl zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

Wydawnictwo Zwierciadło wydawnictwo_zwierciadlo

eprasa.pl 22434338fa

Kod perski



ŁUKASZ WÓJCIK

Skutkiem obalenia reżimu ajatollahów może być rozpad Iranu, przy którym dezintegracja Iraku i tamtejsza wojna domowa okażą się igraszką.

Każdy szanujący się budżetowy turysta z Europy (również niżej podpisany) poznawanie Iranu zaczyna w mieście Tebriz na zachodzie kraju. Najtaniej tam dotrzeć, choćby autokarem z Turcji. Tylko od razu coś nie gra – wątpliwości wzbudza już nazwa prowincji, której Tebriz jest stolicą: Azerbejdżan Wschodni. Przy czym swoje wątpliwości trzeba wyrażać z wyczuciem, bo Irańczycy (zwłaszcza ci z Teheranu) są wyjątkowo uczuleni na punkcie jednolitości swojego kraju. Nie da się jednak ukryć, że co czwarty obywatel Iranu jest Azerem, a w Tebrizie Azerowie stanowią większość.

Współczesny Iran jest polityczną skamieliną również z tego względu, że nigdy nie był państwem narodowym, lecz raczej „cywilizacją". Już w starotestamentowej Księdze Estery imperium Aswerusa (czyli Kserksesa I) rozciąga się „od Indii aż do Etiopii" i obejmuje 127 państw wielce różniących się od siebie. I w sensie idei przez ostatnie 2,5 tys. lat niewiele się tu zmieniło. Sąsiednie wielonarodowe imperia, jak choćby osmańskie, kurczyły się w XIX w., a potem upadały w XX w. pod naciskiem nowoczesności, pozostawiając po sobie państwa narodowe, jak współczesna Turcja. A Iran pozostał imperialnym artefaktem. Pytanie: jak długo jeszcze?

1 Reżim ajatollahów jest dziś najsłabszy od swojego zarania podczas rewolucji islamskiej w 1979 r. Najnowszy kryzys rozpoczął się po ataku Hamasu na Izrael w 2023 r., co sprowokowało serię izraelskich kontrataków na sojuszników Iranu w Libanie i Jemenie. Ponad rok temu upadł proirański reżim w Syrii. W czerwcu 2025 r. na Iran poleciały amerykańskie i izraelskie bomby.

© FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 22434338fa



Propagandowy mural przy jednej z ulic Teheranu

Na początku tego roku z powodów ekonomicznych doszło do kolejnych masowych protestów stłumionych najbardziej krwawo w historii (co najmniej kilkanaście tysięcy ofiar). A gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, w okolicach Iranu rozlokowała się i napięła „wielka armada" Donalda Trumpa, który sam mówi o „zmianie reżimu" w tym państwie.

Gdyby upadła władza ajatollahów, zdaniem większości ekspertów, z którymi rozmawialiśmy, zastąpi ją nie demokracja, której domagali się styczniowi demonstranci, lecz wojskowy reżim opierający się na Korpusie Strażników Rewolucji i całym systemie lojalnościowym zbudowanym wokół biznesów prowadzonych przez funkcjonariuszy tej formacji. A wszystko to siłą rzeczy wsparte nacjonalistyczną nadbudową w obliczu kompromitacji dotychczasowego teokratycznego modelu.

Potem wydarzenia mogą potoczyć się już w sposób niekontrolowany. Bo jaki nacjonalizm wybierze nowa władza? Oczywiście perski. Mimo że Persowie nie stanowią już większości w Iranie, nadal niepodzielnie dominują w sferze politycznej i ekonomicznej. Doszłoby więc do „znacjonalizowania" imperium przez Persów, tak jak ponad 100 lat temu w przypadku osmańskim zrobili Turcy – mówi irański socjolog Asef Bajat. Przy czym warto pamiętać, że w osmańskim przypadku takie „znacjonalizowanie" oznaczało rozpad imperium, krwawą wojnę domową, czystki etniczne (Ormianie) i przesiedlenia (Grecy). Czy więc Iran bez ajatollahów czeka podobny los? Czy po tym, jak Donald Trump wraz z Beniaminem Netanjahu obalą obecny reżim, Tebriz nadal będzie irańskim miastem?

2 W Iranie nie ma oficjalnego bilansu grup etnicznych, ponieważ państwo nie uwzględnia takiej przynależności w spisach ludności. Szacunki są zróżnicowane, ale według renomowanego zespołu wspomnianego Asefa Bajata trzy lata temu Persowie pierwszy raz w historii spadli poniżej 50 proc., Azerowie zaś przekroczyli 25 proc. W tym zestawieniu Kurdowie stanowią nieco ponad 10 proc. społeczeństwa, Arabowie – 3 proc., Beludżowie – 2 proc. Ci ostatni to lud indoeuropejski pochodzenia irańskiego, który posługuje się odrębnym językiem, liczny także w Pakistanie i Afganistanie. Zresztą Kurdowie to również lud irański, dzielący z Persami wiele tradycji językowych i kulturowych jeszcze sprzed islamu.

Sprawa rozmieszczenia tych grup jest skomplikowana, bo przez setki lat współżycia w jednym państwie zdążyły się wymieszać zarówno geograficznie, jak i genetycznie. Persowie z grubsza zajmują centrum kraju. Azerowie i Kurdowie dzielą ze sobą północny zachód, Arabowie mieszkają głównie u wybrzeży Zatoki Perskiej, a Beludżowie zajmują głównie pustynne, południowo-wschodnie zakątki kraju.

Nie da się więc łatwo podzielić kraju na terytoria etniczne, ale też religijne. Azerowie i Persowie, wśród których od XVI w. dominuje szyizm, od wieków zawierali małżeństwa mieszane. Nieco upraszczając, Azerowie to naród turecki, który posługuje się językiem/dialektem niemal całkowicie zrozumiałym dla większości tureckich Turków – różnica polega na tym, że ci we współczesnej Turcji są w przeważającej mierze sunnitami, tak jak większość irańskich Kurdów. Jednym słowem: kocioł.

3 Azerowie, Kurdowie, Arabowie, Beludżowie, a nawet pomniejsze wspólnoty turkmeńskie wzdłuż północno-wschodniej granicy, różnią się ideologią, poziomem zorganizowania i poparciem społecznym. Ale łączy je pewna strukturalna okoliczność: ich związki z państwem perskim, a potem irańskim nigdy nie opierały się na wspólnocie etnicznej, a tym bardziej na wyrosłym z niej nacjonalizmie, lecz na szerszym, ponadetnicznym kontrakcie społecznym.

Od rewolucji w 1979 r. kontrakt ten był nierozerwalnie związany z islamem. Republika Islamska nie zniosła hierarchii etnicznych, ani napięć między centrum i peryferiami. Zaproponowała jednak wspólną nadbudowę przekraczającą przynależność do perskiego etnosu. Arab z Chorasanu czy Azer z Tebrizu mógł być społecznie marginalizowany, fizycznie represjonowany lub inwigilowany, a mimo to czuł się włączony do wspólnoty religijno-rewolucyjnej. W rewolucyjnym Iranie islam stał się klejem horyzontalnym. ▶

eprasa.pl 22434338fa



Tebriz, stolica prowincji Azerbejdżan Wschodni. Azerowie to dziś już jedna czwarta mieszkańców Iranu.

▶Jak zauważa irański historyk Roham Alvandi z London School of Economics and Political Science, Republika Islamska po części dlatego, że postrzegała każdy separatyzm, indywidualny czy grupowy, jako apostazję, wręcz zdradę świętego porządku. – *Po ewentualnym upadku ajatollahów Iran nie będzie mieć takiego narzędzia, nie będzie po prostu „Iranem bez duchownych"* – przekonuje Alvandi. – *Istnieje duże ryzyko, że znów stanie się Persją. I nie chodziłoby tu o nazwę, lecz o polityczną rzeczywistość.*

4 Sama nazwa kraju sygnalizuje problem. Do 1935 r. Iran był znany jako Persja. Reza Szah Pahlawi, zwany nieprzypadkowo „irańskim Atatürkiem", przekonywał do jej zmiany, podkreślając znaczenie szerszej tożsamości „aryjskiej" aspirującej do miana cywilizacji, co – jego zdaniem – miało „wyzwolić kraj" z wąskiej perskiej tożsamości. Ta zmiana nie powstrzymała go jednak przed brutalną centralizacją i „persjanizacją" kraju.

Za panowania Pahlawich, a zwłaszcza za ostatniego szacha Mohammada Rezy, języki nieperskie były rugowane ze szkolnictwa i administracji, władze zlikwidowały lokalną autonomię, a lokalne elity zostały wymordowane, wypędzone albo dokooptowane do tych perskich za cenę wyrzeczenia się starej tożsamości. Powstania kurdyjskie w latach 40. XX w., niepokoje w Chuzestanie i opór Beludżów były odpowiedzią na homogenizujące się państwo, które utożsamiało nowoczesność z perską dominacją kulturową.

Przejmując po ostatnim szachu taki bałagan etniczny, Iran ajatollahów od początku dążył do zjednoczenia nieperskich grup etnicznych pod parasolem wspólnej wiary. Jednak wraz z gwałtownym spadkiem religijności w ostatnich dwóch dekadach nawet teokratyczny reżim zaczął się odwoływać do perskiego nacjonalizmu, fetując m.in. przedislamskich bohaterów dawnej Persji, choćby wspomnianego Kserksesa czy legendarnego perskiego łucznika Arasza, który widnieje na najnowszych bilbordach w centrum Teheranu.

W rezultacie dziś w Iranie panuje reżim trzech apartheidów. Po pierwsze, to apartheid płciowy, w którym kobiety traktowane są jako gorsze od mężczyzn. Po drugie, apartheid religijny, w którym nieszyici i niemuzułmanie traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. I po trzecie, apartheid etniczny, w którym mniejszości nieperskie są marginalizowane gospodarczo, politycznie, kulturowo.

5 Reakcja odśrodkowa jest trudna do przeoczenia. Od demonstracji przeciw rosnącym cenom żywności w 2017 r., protestów przeciwko cenom paliw w 2019 r., „powstania spragnionych (wody)" w 2021 r. i demonstracji w 2022 r. wywołanych śmiercią Mahsy Amini środek ciążenia kolejnych buntów coraz bardziej przesuwa się z zasadniczo perskich obszarów metropolitalnych w centralnym Iranie na peryferie zamieszkałe głównie przez mniejszości etniczne.

Arabski Chuzestan stał się sceną protestów i ostrej reakcji reżimu w 2019 r. (ceny paliwa), a następnie w 2021 r. (niedobór wody). Śmierć Amini, młodej Kurdyjki, nie była pierwszym przypadkiem tak brutalnej przemocy państwa wobec kobiet, ale huczny pogrzeb i późniejsze demonstracje w jej rodzinnym kurdyjskim mieście Saghghez na zachodzie kraju dały początek najdłuższym protestom w Iranie w ostatnich latach. Już wtedy większość ofiar pochodziła z peryferii etnicznych – nie tylko z irańskiego Kurdystanu, lecz także z Beludżystanu.

Dynamika odśrodkowa jest szczególnie widoczna w północno-zachodniej części Iranu, gdzie mieszka ponad 30 mln Azerów. Przez dziesięciolecia doświadczali oni dyskryminacji językowej, marginalizacji kulturowej i eksploatacji ekonomicznej. Edukacja w języku azerskim pozostaje ograniczona. Katastrofy ekologiczne – zwłaszcza wysychanie jeziora Urmia – nieproporcjonalnie mocno dotknęły regiony zamieszkałe właśnie przez Azerów, a reakcja państwa była powolna i niewystarczająca. Sprawę pogarsza fakt, że w Baku coraz częściej można usłyszeć wezwania do „wyzwolenia ziem historycznych".

A to nie koniec. Jak mówi pakistański dziennikarz proszący o zachowanie anonimowości, największym koszmarem rządu w Islamabadzie wcale nie jest przetrwanie wrogiego mu reżimu w Teheranie, lecz jego gwałtowny upadek. Próżnia wzmocniłaby beludżystańskich separatystów, którzy działają po obu stronach granicy, zapewniając tym w Pakistanie wygodne zaplecze. Nie mówiąc już o groźbie masowej migracji z rozpadającego się Iranu. – *Na tę beczkę prochu wystarczy niewielka iskra. A chętnych, aby ją rzucić, jest niemało* – twierdzi nasz rozmówca.

6 W niedawnym edytorialu „Wall Street Journal" argumentuje, że „rozbicie Iranu" po ewentualnym ataku „wielkiej armady" mogłoby pokrzyżować plany Rosji i Chin, zmniejszyć zagrożenie dla Izraela i przynieść korzyści Turcji poprzez powiększenie obecnego Azerbejdżanu o graniczące z nim dwie irańskie prowincje. Również „Jerusalem Post", najwyraźniej rozczarowany malejącymi szansami na to, że syn ostatniego szacha, Reza Pahlawi, obali reżim ajatollahów, powrócił do otwartego orędowania za rozczłonkowaniem kraju.

Po inwazji na Irak w 2003 r. niektórzy amerykańscy politycy i eksperci forsowali plan „miękkiego podziału" tego kraju na trzy strefy etniczno-wyznaniowe: kurdyjską, szyicką i sunnicką. Pomysł ten był prezentowany jako jedyny sposób zarządzania tak zróżnicowanym krajem. Skutkiem był jednak rozkład, który zaostrzył podziały wyznaniowe, podsycił terroryzm, wzmocnił ekstremistów (ISIS) i ostatecznie przekształcił Irak w zastępcze pole bitwy dla sąsiadów. Biliony dolarów i setki tysięcy ofiar później Irak wciąż odczuwa skutki decyzji o podziale.

© MORTEZA NIKOUBAZL/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 22434338fa

Mimo to Izraelczycy z rozdrabniania sąsiadów bliższych i dalszych uczynili jeden z fundamentów swojej regionalnej strategii. Już plan Odeda Jinona z 1982 r. proponował w zasadzie bałkanizację całego Bliskiego Wschodu. Ten doradca Ariela Szarona pisał wprost, że etniczno-wyznaniowa różnorodność sąsiadów Izraela jest słabością, którą należy wykorzystać. Wielkim zwolennikiem zastosowania tej metody wobec Iranu był m.in. słynny historyk Bernard Lewis.

7 Waszyngton i Tel Awiw od lat popierają siły odśrodkowe w Iranie. Za „pierwszego" Trumpa ówczesny sekretarz stanu Mark Pompeo publicznie wspierał rebelię w Beludżystanie. Związane z amerykańską prawicą media wzmacniały kurdyjskie ruchy separatystyczne. Kurdyjski przypadek jest tu szczególnie wymowny – irańskich Kurdów można wykorzystać nie tylko przeciw Iranowi, lecz również przeciw Turcji, Syrii i Irakowi – czterem państwom, których integralność terytorialna ewidentnie nie jest na rękę Izraelowi.

Sam Netanjahu używa terminów „irański" i „perski" zamiennie, co ma realne konsekwencje polityczne. W 2025 r. premier Izraela opublikował nagranie wideo skierowane do „narodu Iranu", wzywając go do obalenia reżimu ajatollahów. Ale dosłownie kilkadziesiąt sekund później mówił też o „szlachetnym perskim narodzie", tym samym utożsamiając całą populację Iranu z Persami.

Jednocześnie Netanjahu osobiście zaangażował się w promowanie Rezy Pahlawiego, który miałby wrócić do kraju po 46 latach emigracji i przejąć władzę z rąk ajatollahów. Przy czym zwolennicy powrotu Pahlawich na tron to często ludzie wprost popierający dyskryminację nieperskich mniejszości etnicznych, ponieważ uważają je za zagrożenie dla jedności narodowej i integralności terytorialnej Iranu. W języku angielskim powtarzają jak mantrę hasło „jeden naród, jedna flaga, jeden kraj, jeden język". Ale w języku perskim przyzwalają na represje wobec mniejszości, a nawet je popierają.

8 Iran stoi więc w obliczu tragicznej pułapki. Z jednej strony jest polityczną skamieliną, która przetrwała tylko za sprawą kolejnych świeckich czy religijnych reżimów brutalnie tłumiących wszelkie odrębności w imię przetrwania imperium, które jest spełnieniem perskiego marzenia o wielkości. Ale z drugiej strony wspólne mianowniki już się skończyły.

Religia – wykorzystywana przez ajatollahów do celów politycznych – dla większości Irańczyków jest już tylko wydmuszką, pustym rytuałem, niczym marksizm-leninizm w schyłkowym Związku Radzieckim. Ten klej już dawno wysechł. A ewentualny powrót do perskiego nacjonalizmu, który wydaje się dziś głównym oczekiwaniem Izraela, chyba nie do końca świadomie wspieranego w tej sprawie przez Trumpa, to prosty przepis na rozpad tego ostatniego imperium na Bliskim Wschodzie. Rozpad, przy którym krwawa degrengolada Iraku po amerykańskiej inwazji może się okazać igraszką.

W tej wizji, suflowanej dziś przez Izraelczyków i Amerykanów, Reza Pahlawi mógłby w końcu zasiąść na tronie. Tylko że byłby to tron bez państwa. W najlepszym razie rządziłby on bezpieczną i zamożną północną częścią Teheranu, ale już nie południem stolicy, a tym bardziej nie peryferyjnymi prowincjami. Na pewno nie całym Iranem, jaki istnieje poza ambasadami, strzeżonymi osiedlami i prezentacjami zachodnich think tanków.

ŁUKASZ WÓJCIK

REKLAMA

POLITYKA na ferie



Ostatnia szansa!

subskrypcji Polityka.pl
w cenie **4 zł/tydzień** przez rok

polityka.pl/powitalna

Pakiet Standard zawiera:

- **Polityka** – tygodnik, newsy, aplikacja
- **Audio** – 15 tekstów z numeru czyta lektor
- **Fiszki Polityki** – aplikacja dla zabieganych
- **Numery do pobrania** - .pdf, .epub oraz automatyczna wersja na Kindle

Oferta dla nowych subskrybentów

eprasa.pl/22434338fa



Listonosz śmierci

„Z przykrością informuję, że pani mąż…” – od tego zdania Rusłan rozpoczyna swoją pracę, a dla wdowy kończy się jej stare życie.

PAWEŁ RESZKA Z ZACHODNIEJ UKRAINY

Za oknem ciemno. Ścisnął mróz. Śnieg nie przestaje sypać. Polana trzeszczą w piecyku. Kapitan Rusłan Walerianowicz Kipisz siedzi w ciepłej kuchni. Czeka na ciało. Od kilku godzin co jakiś czas dzwoni do podkomendnych z Wojskowej Komendy Uzupełnień (TCK) w miasteczku. – *I jak chłopcy? Coś wiadomo? Przywieźli? Ciągle nic? No to czekamy, czekamy.*

Miasteczko N. leży daleko od wojny, w zachodniej Ukrainie. Właściwie jest to „osiedle typu miejskiego”, czyli coś pomiędzy dużą wsią i małym miastem. Skrzyżowanie dróg krajowych. Szkoła. Liceum. Siedziba władz gminy, która obejmuje ponad 20 siół, wiosek i chutorów – to obszar odpowiedzialności kapitana Kipisza. Ludzie mówią prawie wyłącznie po ukraińsku, ale zdecydowana większość modli się w cerkwiach patriarchatu moskiewskiego.

Na głównej ulicy stacja benzynowa – czasem pełni funkcję sklepu, czasem knajpy, czasem domu kultury. Szczególnie latem, kiedy chłopcy wieczorami piją piwo, a dziewczyny tańczą na maskach samochodów. Bo wojna trwa już cztery lata, a życie musi się jakoś toczyć. Tym bardziej że na N. nie spadła ani jedna bomba. Alarmy przeciwlotnicze włączają się z rzadka – gdy lecą rakiety i drony.

Na skraju osady jest szpital i kostnica, do której ma przyjechać sanitarka z ciałem.

Kierowcy z sanitarki bywają grymaśni, a na nocnym dyżurze w kostnicy jest jedna szczupła pielęgniarka. Dlatego Rusłan Walerianowicz i jego ludzie siedzą w domach w pogotowiu. Będą pomagać w rozładunku. Ciało jedzie z daleka, aż spod Odessy. Nad ranem ma być przebrane w nowiutki mundur i upiększone. Wdowa przyjedzie na rozpoznanie. Następnie do domu nieboszczyka w maleńkim chutorze pod zachodnią granicą. Stamtąd na cmentarz. Taki jest plan.

Iwan Walerianowicz Kipisz odpowiada z ramienia wojska za całość. Od powiadomienia wdowy („Z przykrością informuję, że pani mąż…”), aż do zakopania trumny w ziemi i resztę formalności. Minęły mu już ponad dwa lata tej służby, ale nie liczy pogrzebów, które zorganizował. Rachuje tylko dni, jakie zostały mu do końca służby: – *Dokładnie 271. Wtedy skończę 60 lat i odejdę do cywila. I wszyscy będą mogli mnie pocałować…*

Łarysa przelicza służbę męża na puste opakowania po walerianie.

Rusłan Walerianowicz Kipisz wcale się tak nie nazywa. Walerianowicz to przezwisko, żart. Od czasu, kiedy Iwan został posłańcem śmierci, w jego samochodzie ciągle pachnie walerianą, którą bierze na uspokojenie. Kipisz to też pseudonim. Trochę złośliwy, nadany przez podkomendnych. Rusłan, od kiedy zaczął się zajmować pochówkami, zrobił się nerwowy. Nie rozstaje się z telefonem i ciągle wydzwania do swoich ludzi.

Wujek Witalik, kierowca karawanu wojskowego: – *Potrafi wykręcić o szóstej rano: „Pamiętasz, że trzeba będzie przed dziewiątą uprzątnąć śnieg, żeby był dojazd do cmentarza?”. Pamiętam, bo dzwonił już trzy razy! Kipisz jeden.*

Kipisz nie prosił się do tej roboty. Miał już prawie 58 lat, kiedy go zmobilizowali. Wcześniej spokojnie pracował w skarbówce. Pewnego dnia wszyscy mężczyźni z biura dostali wezwania do wojska. – I wszyscy poszliście w kamasze? – *Skąd! Tylko ja i mój rówieśnik. Reszta kolegów, jak się okazało, to osoby niepełnosprawne i schorowane. Poszedłem tylko ja i Ostap. Dwie stare pierdoły.* – A koledzy? – *Byli sprytniejsi. Ale nie mam do nich pretensji. Też mogłem sobie załatwić papiery inwalidzkie. W końcu mam wadę wzroku, nadciśnienie tętnicze. Ale jakoś było mi głupio.*

Posadę posłańca śmierci zaproponowali mu pierwszego dnia – nikt nie chciał się podjąć tej roboty. Od poprzednika dostał

eprasa.pl 22434338fa



W każdej mijanej wsi ludzie żegnają poległego. Po lewej: **ostatnia droga do domu.**

radę: „Oni płaczą, wyją. Ale ty nie zwracaj na to uwagi. Jesteś w pracy".

Po dwóch latach ze starego Rusłana zostało niewiele. Dawny wąsaty, wiecznie uśmiechnięty grubasek, dusza towarzystwa, pozostał już tylko na zdjęciach sprzed wojny: – *Tu nad morzem na wakacjach! Tutaj szaszłyki z przyjaciółmi! Muzeum...* Łarysa: – *Poczerniał, wychudł, ciśnienie mu skacze, a jak ma powiedzieć coś nad trumną, to głos mu drży i zatyka go w gardle.*

Za oknem zawieja coraz większa. Ciała ciągle nie ma. Do kolacji Walerianowicz nalewa kolejkę (– *Troszkę można*). Samogon pędzi w domu babcia Ola według starej receptury: żadnej chemii, sam cukier, drożdże i jakieś tajemnicze dodatki. Produkt naturalny, samo zdrowie. Każdy w miasteczku coś pędzi, każdy ma przydomowy ogródek – uroki prowincjonalnego życia, w które brutalnie wdarła się wojna.

Rusłan pije bez radości. Wie, że sprawa z nieboszczykiem, który jedzie z Odessy, jest trudna. – *Są pewne niuanse* – mówi.

Najpierw trzeba zanieść wiadomość o śmierci. Potem pojawiają się pytania. Najprostsze: „Jak dalej żyć?", „Kto zastąpi dzieciom ojca?", „Dlaczego on?". Ale odpowiedzi i ludzie znacznie mądrzejsi nie znają.

Kiedy kapitan staje w progu, zawsze jest płacz. Czasami pojawia się agresja. W Kipisza już leciały wyzwiska, garnki i taborety. Raz wdowa poszła na niego z siekierą. – *„Rąb!", mówię do niej, „mnie też już nie zależy".*

W miasteczku na Rusłana nie szczekają psy, jest miejscowy. W okolicznych wsiach, za które odpowiada, też go znają. Jak się pojawia „ten z wąsami z TCK", wiadomo, że w jakimś domu będzie żałoba.

Telefon dzwoni chwilę po 23. Ciało nie dojedzie. Sanitarka utknęła w zaspie. Trzeba czekać do jutra. Dzwonić do rodziny, przesuwać pochówek. Siła wyższa. Łarysa i kuma Tetiana wnoszą ciepłe dania. Skoro nie będzie ciała, można posiedzieć, porozmawiać.

Rano cmentarz zasypany śniegiem po kolana. W alei honorowej mogiły żołnierzy, większość uroczystych pochówków organizował tutaj Rusłan. Zna każdą historię.

Nagrobki wojskowe według jednej mody. Z przodu duży kolorowy portret, imię, nazwisko, stopień wojskowy, data i miejsce śmierci. Z tyłu pomnika wyryty w kamieniu obraz. Na grawerze zmarły obowiązkowo w pełnym umundurowaniu. Albo idzie z karabinem na akcję, albo rozmawia przez radiostację, albo odpoczywa po walce. Może być też mapa z zaznaczoną bitwą, w której zginął.

Największy jest grób chłopaka, który poległ w 2022 r. Choć ledwie przekroczył dwudziestkę, był już absolwentem szkoły oficerskiej. Poległ jak bohater, wynosząc na własnych rękach spod ognia pięciu rannych podkomendnych. Dostał pośmiertnie order i tytuł Bohatera Ukrainy. Na grobie rzeźba bohatera w skali jeden do jednego. Liceum, które skończył kilka lat temu, nosi dziś jego imię. O wszystko zadbała mama, która jest pielęgniarką.

Są też inni bohaterowie – lekarz, który poszedł służyć na linię, choć mógł się przecież wymigać od służby albo przynajmniej pracować w szpitalu polowym na zapleczu frontu. A tu Maks, który w czasie pokoju tęgo popijał, a na wojnie uratował cały oddział. Pierwszy usłyszał, że do ukraińskich pozycji podkrada się ruski zwiad: „Dziwne dźwięki chłopcy, poczekajcie, pójdę sprawdzić". I to były jego ostatnie słowa.

W alei są też bardziej złożone przypadki. Oto mogiła Saszy. Fakt, służył. Ale przecież nie zginął na froncie, tylko w wypadku samochodowym – wbił się w słup. Dmytro też wojował, ale w chwili śmierci był akurat na ucieczce z jednostki, tzw. samowolce. Umarł w domu – pił i nie wytrzymało mu serce. Jest też Wołodymyr. Był w szturmowcach i zastrzelił własnego dowódcę, z którym miał konflikt. Koledzy z oddziału, można powiedzieć, sami wyrównali rachunek i Wołodia wrócił do domu w worku.

Żałoba matki chłopaka, który zginął w wypadku samochodowym, niewiele różni się od żałoby matki Bohatera Ukrainy. Dlatego w N. o tych sprawach nie mówi się głośno. Polegli leżą zgodnie w alei honorowej, a zimny wiatr targa flagi nad ich grobami.

– *Zawsze są jakieś niuanse* – ciągnie Rusłan Walerianowicz. Na przykład formalności. Te finansowe załatwia się zazwyczaj po pogrzebie. – *Jak zginął w walce, sprawa prosta: wypłata odszkodowania. Gorzej, jeśli był na samowolce. Wtedy pieniędzy nie można wypłacić. Ale najbliżsi mówią: „Przecież trzy lata przesiedział w okopach! To się przestało liczyć?". Jak im to wytłumaczyć?* – pyta Rusłan.

Niuansów jest więcej. Choćby to, że pieniądze wypłaca się rodzinie. A partnerka, inaczej mówiąc konkubina, rodziną nie jest. – *Wiem, że ona tego nie zrozumie. Bo nie dość, że straciła ukochanego, to jeszcze zostanie bez środków do życia.*

Rusłan znów sięga po telefon: – *Jest ciało? Nie ma? Dobrze, czekamy!*

Zmierzcha. Kolacja ma być u Tetiany, kumy Rusłana. – *Może nagrzejemy w bani?* Miasteczko jest tak małe, że dla miejscowych nie ma tu tajemnic. Tetiana liczy na palcach, ilu chłopców z ulicy zginęło na wojnie. Wasi nie ma, Maksa tak samo i Stepana, Ludki męża. Iwan już pół roku jest „zaginiony bez wieści", Wołodymyr zginął (wzięli do wojska, chociaż pokazywał papiery, że jest gruźlikiem). Fryzjerowi zięcia zabili. Cioci ▶

© PAWEŁ RESZKA, TARAS IBRAGIMOV

eprasa.pl 22434338fa

▶ Wasylisie wnuka, Sierioża się powiesił, ale to nie przez wojnę. Chata pusta. Coraz więcej takich.

Pozostali mężczyźni służą. Albo są w Polsce („Jura, kierowca ciężarówki. Ze 3 tys. dol. zarabia. Córce mieszkanie kupują. Andrij też tam, jeździ na taksówce"). Są też ci, którzy kryją się po chatach przed łapankami TCK. To uchylanci, bo uchylają się od obowiązku służby wojskowej.

Iwan, sąsiad Tetiany, już trzy lata z rzadka wychodzi z domu. Robotę bierze: może być układanie płytek, gres, może być budowa kominka. Byle w zamkniętym, prywatnym pomieszczeniu, do którego TCK nie ma wstępu. Do starej matki Iwan chodzi tylko po zmroku, przemyka się podwórkami, jak daleko się da, a potem biegiem.

Nocą uchylanci spotykają się u kogoś w chacie na picie samogonu. – Zostali jeszcze Sierżant, Fazan i Biegun – opowiada Iwan. Dima się już nie liczy, bo całkiem pozieleniał od wódki. Do szpitala jechał na wózku inwalidzkim. Igor też się nie liczy. On służył od 2018 r., w zeszłym roku uciekł z oddziału, ukrywał się i pił z uchylantami. – Przywiózł sobie spod Kupiańska dziewczynę w ciąży! Urodziła w chacie. A jego 14 grudnia złapali ci z TCK, jak szedł do sklepu, bo go strasznie suszyło. Znów posłali na front. – A dziewczyna? – Została z dzieckiem. Ciężko jej tutaj, bo jest jakby z Kacapów. Mówi tylko po rusku.

Wojna dziesiątkuje tych, którzy służą. Wódka tych, którzy od służby uciekają. Iwan, który mieszka w chałupie sam (jedynie z pieskiem rasy pekińczyk), wpada w coraz dłuższe ciągi alkoholowe. Kiedy wychodzi z zapoju, stuka w okno Tetiany. Czerwieni się po uszy, ale w końcu wydusza z siebie: „Nalej sąsiadko setkę, bo inaczej się przekręcę". Tetiana nalewa. Mówi, że Iwan to dobry chłopak, tylko bardzo boi się śmierci.

Kiedy więc w okolicy pojawia się policja albo TCK (Rusłana się w to nie wlicza), sama dzwoni do sąsiada: „Uważaj!". Jest też aktywna na grupie sąsiedzkiej samopomocy w internecie, gdzie także pojawiają się ostrzeżenia przed łapankami. Trochę to dziwne, bo syn Tetiany od początku wojny jest na froncie. – *Każdy ma swój los!* – mówi Tetiana. A Iwan naprawdę się boi. Ma już pięćdziesiątkę, 35 lat przepracował na budowach: – *Mam rozwalone stawy. Kamizelka, broń, amunicja, woda. Zanim dojdę na pozycję, zabiją mnie cztery razy.*

Jest już późny wieczór, gdy dzwoni telefon kapitana Kipisza. – *Ciało będzie za pół godziny przed kostnicą.* Pielęgniarka otwiera obite blachą drzwi. Można wnosić. – *Dalej chłopcy!* – komenderuje Kipisz.

We czterech rwą worek do góry, energicznie. Spodziewali się chyba większego ciężaru. Ale nieboszczyk lekki jak piórko. Mieszkał w dalekim od głównej drogi zapomnianym chutorze. Uśmiechnięty, beztroski, co jutro będzie widać na pogrzebowym portrecie. Nie był ochotnikiem. Złowili go ci z TCK, ubrali w mundur. A teraz wraca w worku. Nie ma jeszcze pięćdziesiątki, mógłby żyć.

O siódmej rano przed kostnicę przyjeżdża rodzina. Sanitariusz w długich gumowych rękawicach wszystko przygotował jak trzeba. – *Mogą państwo zobaczyć.*

Żołnierz leży w odprasowanym mundurze. Wdowa płacze. Rusłan od dawna jest na miejscu. Wojskowy bus z katafalkiem też czeka. Wujek Witalik przylepia na drzwiach magnetyczną tabliczkę z napisem „Pożegnanie bohatera". Kolumna sześciu aut rusza powoli w kierunku chutoru. Mróz jest siarczysty, ale w każdej mijanej wsi po kilkadziesiąt osób na klęczkach czeka na kondukt.

O to także dba Rusłan. W każdej miejscowości ma kogoś zaufanego. Pisze dla przykładu, że „jutro koło dziewiątej kondukt przejedzie przez waszą miejscowość". Tak, aby ludzie mogli się przygotować: wziąć flagi, obwiązać je kirem, rzucić na drogę płatki kwiatów (w lecie) albo gałązki jedliny (w zimie). Nikt nikogo nie zmusza. Na klęczkach, ze łzami w oczach całe rodziny – od staruszków po dzieci.

Nawet uchylanci żegnają bohaterów – wychodzą ostrożnie w bluzach dresowych z kapturami naciągniętymi na głowy, gdy tylko TCK da do zrozumienia, że w czasie pogrzebu nie będzie łapanki. Tylko Iwan woli przyklęknąć za płotem, na własnym podwórku.

Gmina ogłosiła żałobę. Lokalne media piszą, że „zatrzymało się serce bohatera", „przerwane zostało życie". To gra słów, by nie wdawać się w niewygodne szczegóły, omijać rafy niedopowiedzeniami. Nie trzeba przysparzać bólu najbliższym. – *Nawet w zawiadomieniu o śmierci napisano kulturalnie: „Śmierć nastąpiła w wyniku kontaktu z ostrym przedmiotem"* – mówi Rusłan Walerianowicz. – Czyli? – *Samobójstwo. Nie zdążył wziąć udziału w wojnie. Był na kursie przygotowawczym i nie wytrzymały mu nerwy.* – Podciął sobie żyły? – *Nie moja sprawa* – szepce Kipisz, gdy jego ludzie wnoszą trumnę z bohaterem do chaty w chutorze. Ostatnia chałupa, droga się tu kończy. Bus z trumną brnie powoli przez śnieg. Biedny, dwuizbowy domek z drewna zapełnia się płaczkami. Pogrążą się w żałobnych pieśniach, dymach kadzideł i zawodzeniu.

Kapitan czerwony na twarzy. W chutorze wszyscy patrzą na niego jak na raroga – jakby to on posłał na wojnę i doprowadził do śmierci ich sąsiada. To, że kapitan nie jest niczemu winny – bo odpowiada tylko za pochówki – dla tutejszych nie ma znaczenia. Wzięli chłopa, zwrócili trupa! Wdowa płacze, bo ziemia zostanie bez gospodarza, a biedna chałupa jeszcze bardziej podupadnie. Ludzie szepcą. Nie lubią dziś obcych.

Do Rusłana podchodzi miejscowa nauczycielka. – *Dlaczego trumna nie jest przykryta flagą? Dlaczego żołnierze bez karabinów? Czy to znaczy, że nie będzie salwy honorowej? – Nie będzie salwy. Mamy regulamin. Zgodnie z regulaminem dziś salwy honorowej nie będzie. – Skandal!*

Rusłan wraca do busa, w którym znów pachnie walerianą. Potem gada ze starszym chutoru. – *Baba się awanturuje, a ja przecież nic nie mogę zrobić... – Porozmawiam z nią. – A jak znowu przyjdzie? – Pan powie, że salwy nie będzie z tych samych powodów, dla których ciało nie pojedzie do cerkwi.*

Cmentarz. Duchowny – ten, który nie zgodził się na pożegnanie w cerkwi – mówi pięknie o walce i braterstwie broni. Płatki opadają na czoło i policzki nieboszczyka. Zostają już tak, bo twarz woskowa, zimna. Wdowa podejdzie, wytrze śnieg i ucałuje męża ostatni raz. Potem Rusłan Walerianowicz wyda komendę: – *Zamykajcie wieko, chłopcy.*

Po uroczystości mundurowi wsiądą w milczeniu do busa. Nikt ich nigdzie nie zaprosi, nie podziękuje, nie spróbuje zatrzymać. Baby poburczą jeszcze pod nosem na Rusłana: – *Nie po ludzku zachował się komendant! Nie po ludzku!*

W domu Rusłan prosi Łarysę, żeby nalała mu kieliszek. – *Jak było, Rusłanie? – Jedna baba się buntowała! – Zawsze mają do ciebie pretensje. – Tak, wszyscy oprócz umarłych. – To już tylko 270 dni, Rusłanie! A jutro będzie 269* – pociesza go Łarysa.

PAWEŁ RESZKA

Z powodów bezpieczeństwa niektóre personalia i szczegóły zostały zmienione.

eprasa.pl 22434338fa

Kochać czy rzucać?

Łukasz Pawłowski, współautor „Podkastu amerykańskiego” i analityk MSZ, o tym, czy polska miłość do Ameryki przetrzyma wybryki trumpizmu.



ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

JĘDRZEJ WINIECKI: **– Polska niespecjalnie garnie się do trumpowskiej Rady Pokoju, hybrydy ONZ i prywatnego klubu golfowego, zawiązanej na szczycie w Davos. Na razie Donald Trump odnosi się ze zrozumieniem do polskich wahań. Czy nie zmieni zdania?**

ŁUKASZ PAWŁOWSKI: – Prezydent i w ogóle amerykańska prawica zdają się mieć pozytywny stosunek do Polski. Widzą w nas kraj konserwatywny i wciąż jednorodny etnicznie, utrzymujący wysokie wydatki na zbrojenia i blisko współpracujący z USA m.in. w energetyce i wojskowości. Polska – obok Korei Południowej czy Izraela – wymieniana jest w gronie „wzorowych” sojuszników. Błędem byłoby jednak przekonanie, że pod każdym względem mamy z USA wspólne interesy i że Waszyngton nie będzie próbował na nas wymuszać działań zgodnych z własnymi priorytetami. Trump do każdej relacji podchodzi w sposób transakcyjny i od każdego sojusznika chce uzyskać jak najwięcej. Dlaczego w przypadku Polski miałoby być inaczej?

Co widać w amerykańskim podejściu do Ukrainy i polskich obawach, obecnych nawet wśród naszej konserwatywnej prawicy, że na tym odcinku Trump interesu Polski ostatecznie nie zabezpieczy.

Wiele wskazuje na to, że chce po prostu jak najszybciej zakończyć wojnę. Jego administracja nie postrzega Rosji jako poważnego zagrożenia dla USA. W Strategii Bezpieczeństwa Narodowego zapisano chęć przywrócenia „strategicznej stabilności” w stosunkach z Rosją. Kreml kusi USA odbudowaniem relacji gospodarczych i rzekomo wielkimi pieniędzmi, jakie w Rosji mogą zarobić amerykańskie firmy. I to wszystko są niepokojące sygnały zarówno dla Ukrainy, jak i dla całej Europy.

Traktowanie Władimira Putina jako przyszłego partnera brzmi bardziej niż niepokojąco.

Widzimy w sondażach, że nawet w społeczeństwach tak proamerykańskich jak polskie oceny naszego sojuszu z USA i wiarygodności Waszyngtonu spadają. Choć trudno stwierdzić, w jakim stopniu odpowiada za to akurat stosunek prezydenta Trumpa do Putina, a w jakim duża nieprzewidywalność i bezwzględność tej administracji.

Skąd polska miłość do Ameryki? Wiele społeczeństw w Europie odnosi się do niej ze znacznie większą rezerwą.

Mamy wyidealizowany obraz Stanów Zjednoczonych. Wciąż dla wielu – chociaż ta grupa maleje – Ameryka pozostaje wzorem tzw. normalnego państwa, którego pragnęli zwłaszcza obywatele PRL. Ukształtowało się wtedy przekonanie, że wszystko może się tam udać i – jak mówi jeden z bohaterów „Kochaj albo rzuć” – wszystko jest najlepsze i największe. Tam jest się wynagradzanym proporcjonalnie do swojego wysiłku. Tam działają instytucje. I tam można odnieść sukces bez kontaktów i kombinowania. Z amerykańską pensją niższej klasy średniej czy nawet klasy robotniczej w ludowej Polsce było się królem życia. Moc tego wyobrażenia przykrywa trudy migracji oraz ówczesne i obecne problemy w Stanach.

Dawniej na polski mit pracowali Kościuszko z Pułaskim i Brzezińskim, emigracja z Galicji, rejsy „Batorym”, dolarowe zakupy w Peweksie i perypetie Greenpointu. A teraz?

Kwestie wolnościowe i przekonanie, że w Stanach panuje znacznie większa swoboda niż w przeregulowanej Europie. Można „być anarchistą, mieć w d... rząd i polityków”, bo tam „możesz wszystko” i jest „najlepszy keczup na świecie”, o czym w piosence „Stany” na początku lat 90. śpiewał Muniek Staszczyk. ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ Z drugiej strony jesteśmy w zupełnie innym miejscu niż 20–30 lat temu. Dolar nie ma takiej siły nabywczej, a jakość życia w Polsce się poprawiła. Po co więc ruszać do USA? Sami Amerykanie narzekają na drożyznę. Nowy burmistrz Nowego Jorku właśnie wygrał wybory, obiecując obniżenie kosztów codzienności. Bo w jego mieście nawet pensja na poziomie 150 tys. dol. rocznie, która niemal wszędzie gwarantowałaby komfortowe życie, nie daje wiele, skoro wynajęcie pokoju wielkości schowka na szczotki kosztuje fortunę.

Dlaczego po 1989 r. Polska tak mocno postawiła na Amerykę?

Była zwycięską kontrpropozycją dla Związku Radzieckiego, oczekiwano od niej gwarancji bezpieczeństwa i kochano amerykański styl życia. Po upadku PRL wszystkie polskie rządy, niezależnie od opcji, utrzymywały ten sam proatlantycki kierunek. I słusznie! Dzięki temu udało się nakłonić prezydenta Billa Clintona do rozszerzenia NATO. Bez natowskich gwarancji bezpieczeństwa nie mielibyśmy pewnie takiego sukcesu gospodarczego. Ameryka przez dekady była ideałem, a potem stała się także najważniejszym sojusznikiem i absolutnym filarem naszego bezpieczeństwa. Dlatego tak wielu polskim politykom, zwłaszcza ze starszych pokoleń, trudno zaakceptować, że ten etap dobiega końca.

Przez trzy dekady z okładem nie doszło nad Wisłą do otwartej dyskusji o tym, czy taki układ z Ameryką nam pasuje.

Bo był korzystny, nawet jeżeli pozostawał niesymetryczny. Pozytywna ocena stosunków z USA jest w znacznej mierze pokłosiem uwodzicielskich umiejętności Amerykanów. Wiele państw trwa w głębokim przekonaniu, że utrzymują z Waszyngtonem specjalne stosunki. I że Stany Zjednoczone mogą mieć wiele różnych przymierzy, bo są globalną potęgą, ale to właśnie związki z nami są absolutnie wyjątkowe. W rzeczywistości tak pewnie jest z Izraelem. Reszta może tylko sądzić, że jest Ameryce niezbędna bądź bardzo potrzebna. Przez większość historii Stanów Zjednoczonych Polski albo nie było na mapie, albo nie była w pełni suwerenna. I jakoś Amerykanie dawali sobie radę.

Polscy politycy zabiegali o jak najwięcej amerykańskich żołnierzy. Drżeliśmy o tarczę antyrakietową. Nadal kusimy budową „Fortu Trump".

Po to też poszliśmy do Iraku – żeby pokazać, że jesteśmy sojusznikiem, na którego można liczyć, w odróżnieniu od tzw. starej Europy. I dlatego zasługujemy, by nas brać pod amerykański parasol. Teraz w całej Europie coraz głośniejsze są pytania, czy ten parasol zadziała w chwili próby. Podobnie można zadać pytanie o obecność amerykańskiego biznesu. Przyciągano go, bo liczono, że im więcej będzie dużych przedsiębiorstw w Polsce, tym chętniej Amerykanie będą nas bronić. Liczyliśmy też, że amerykańskie firmy będą naszym narzędziem wpływu w Waszyngtonie.

A stawały się pretekstem do interwencji ambasadorów USA w wewnętrzne polskie sprawy. Teraz Ameryka Polskę zdradza?

To zbyt ostre sformułowanie. W Niemczech są silne pokłady antyamerykanizmu – wśród intelektualistów, wśród nacjonalistycznej prawicy i różnych odmian lewicy. A i tak Niemcy starają się trzymać Amerykanów jak najbliżej. Politycy głównych partii wciąż próbują zachować obecny układ. Nie tylko Polacy są zaskoczeni. Brytyjczycy są w gorszej sytuacji, bo brexit odciął ich od wsparcia Unii. Prawie wszyscy w Europie nie wiedzą, na kim w tym nowym świecie opierać swoje bezpieczeństwo.

Tak w Polsce kochamy Amerykę, że przykładamy do niej inną miarę? Podwójny standard?

Proszę wykonać proste ćwiczenie: jakbyśmy zareagowali, gdyby wypowiedzi Donalda Trumpa o Grenlandii powtórzył słowo w słowo Xi Jinping albo Władimir Putin? Albo gdyby Rosja lub Chiny porwały przywódcę obcego państwa – nawet dyktatora? W podobny pobłażliwy sposób postrzegamy sytuację wewnętrzną w USA. Gdyby w Bułgarii splądrowano parlament, załamywalibyśmy ręce nad tą słabą, walącą się demokracją. Tymczasem w Polsce – ale nie tylko u nas – wciąż się powtarza, że amerykańskie instytucje są silne. Bo skoro przetrwały ćwierć milenium, to nic im nie grozi.

Były przestrogi?

Amerykanie od dawna są sfrustrowani postawą Europy. Uważają, że Stary Kontynent funkcjonuje jak Szwajcaria świata. Mały, bogaty półwysep żyje na wyższym poziomie niż ich kraj. I oczekuje, że zwykli Amerykanie, jakiś farmer z Iowa czy sklepikarz z Idaho, będą łożyć na jego bezpieczeństwo. Gdy Barack Obama uprzejmie zachęcał, byśmy brali większą odpowiedzialność i wydawali więcej na zbrojenia, to nie brano go poważnie. Myślano – i nadal niektórzy tak sądzą – że Amerykanie muszą tu zostać na zawsze, bo to służy ich fundamentalnym interesom.

Aż przyszedł ktoś, kto te interesy zdefiniował inaczej.

Niekonwencjonalność Donalda Trumpa pomaga zrozumieć, że świat z perspektywy Waszyngtonu wygląda inaczej niż z perspektywy Europy. Wypowiedzi amerykańskiego prezydenta warto traktować i dosłownie, i poważnie. A mówi: słuchajcie, możliwe, że nas tu wkrótce nie będzie i musicie brać odpowiedzialność na siebie.

Trump rujnuje świat, w którym III RP zbudowała swój sukces?

Fareed Zakaria pisał niedawno w „Washington Post", że wzrost potęgi jakiegoś państwa zwykle wywołuje nerwowe reakcje jego sąsiadów, którzy starają się ten rosnący potencjał równoważyć. Szukają patrona albo pogłębiają stosunki między sobą. Tak jest wokół Chin i Korei Płn., gdzie denerwują się Korea Płd., Japonia, Tajwan i Filipiny. I tak jest w otoczeniu Rosji. Ale akurat w przypadku Stanów Zjednoczonych potężne niegdyś państwa – Francja, Niemcy czy Wielka Brytania – potrafiły pokojowo uznać, że ich czas minął, a Ameryka stanie się ich protektorem w zamian za poczucie wspólnoty wartości i świadomości, że ta wielka siła działa na rzecz jakiegoś większego dobra.

Zatęsknimy za tym w Polsce?

Stosunki transatlantyckie nie były do końca równe i nigdy polityka zagraniczna USA nie kierowała się wyłącznie niewinnymi ideałami. Ale przynajmniej zachowywano pozory. W przypadku interwencji w Iraku George W. Bush zmontował koalicję ponad 40 państw. Były wystąpienia w ONZ, co prawda z nieprawdziwymi informacjami podawanymi w Radzie Bezpieczeństwa, ale mimo wszystko. Uważano, że trzeba na tym forum przedstawić jakieś argumenty. Instytucje międzynarodowe miały dla Amerykanów pewne znaczenie. Teraz nie mają. Prezydent Trump jako unilateralista uważa, że wielka potęga może działać zgodnie ze swoimi życzeniami i bez konsekwencji.

Czyli będzie tylko gorzej?

Lider brytyjskich Liberalnych Demokratów zadaje pytanie, czy obecność amerykańskich żołnierzy na Wyspach wzmacnia ich bezpieczeństwo, czy raczej osłabia. Z kolei Amerykanie mówią wprost: albo budujesz własną siłę i nas wspierasz, albo nie będziemy cię traktować poważnie. I tak, ten amerykański

eprasa.pl 22434338fa

rząd uważa, że normalne reguły przestały obowiązywać, a świat dzielą między siebie wielkie potęgi. Trump postrzega świat jak Manhattan, gdzie rywalizuje się o atrakcyjne działki. W grze są inne firmy deweloperskie, które są poważnym konkurentem i które trzeba szanować, z nimi się rywalizuje. Ameryka jest jedną z nich, dwie pozostałe to Chiny i Rosja. Europa w tej metaforze nie jest firmą, co najwyżej atrakcyjną działką.

Czy kiedy premier Donald Tusk mówi, że jest najbardziej proamerykańskim politykiem w Europie – choć Trump z Grenlandią jednak przesadza – to zwraca się do Amerykanów, czy do swoich wyborców?

W obie strony, przy czym Polacy wiedzą swoje. Widzimy to w sondażach. Tylko pytanie, co zrobić, kiedy rozsypuje się główny filar porządku światowego. Ewentualne przejęcie Grenlandii będzie miało fundamentalne konsekwencje. Jest rzeczą niewyobrażalną, że największy sojusznik zapowiada aneksję terytorium innego sojusznika, mimo że Dania jest gotowa na wielkie ustępstwa.

Dlaczego to nie trafia do Waszyngtonu?

Bo prezydentura Trumpa to spektakl. Codziennie musi się coś dziać. Obawiam się, że jego myśli krążą wokół lipcowych obchodów 250. rocznicy uchwalenia Deklaracji Niepodległości i łuku triumfalnego, który chce zbudować w Waszyngtonie. Powiększenie terytorium USA uświetniłoby oba te przedsięwzięcia. Jeżeli reakcją Europejczyków na ewentualne przejęcie Grenlandii nie będą poważne sankcje na amerykańskie firmy, to nie odzyskamy w Waszyngtonie szacunku.

Ameryka znika jako ideał. Co ją w Polsce zastąpi?

Jedni będą szukali ratunku we wzmocnionej współpracy z krajami europejskimi – czy to w ramach UE, czy różnych „koalicji chętnych". Wśród innych nasili się myślenie suwerenistyczne. Wzrośnie przekonanie, że sami damy radę, sami się będziemy układać z największymi potęgami, w tym z Ameryką – bo przecież jesteśmy ich szczególnym sojusznikiem – i że na pewno sobie poradzimy. Tylko nie wiem, jakie wartości i interesy będą nas wtedy łączyć.

Prawa strona marzy o wcieleniu założeń realizmu politycznego. Fascynuje ją amerykańska siła, odrzucanie politycznej poprawności i hipokryzji.

W przypadku kraju leżącego na równinie między Niemcami i Rosją osamotnienie nie wygląda jak przepis na sukces. Przez ostatnie 35 lat korzystaliśmy z tego, że porządek światowy był w miarę przewidywalny. To pozwalało na inwestycje, budowanie długofalowej obecności zagranicznego biznesu w Polsce i tworzenie biznesu polskiego. Jak tego zabraknie, zapanuje prawo silniejszego. Pojawi się obawa, że dowolny interes można po uważaniu przejąć.

Do jakiego stopnia prezydent Karol Nawrocki jest reprezentantem trumpizmu?

Nie szedłbym tak daleko. Niemniej otoczenie prezydenta popełnia błąd, wierząc w specjalne stosunki z rządem w Waszyngtonie. Sądzą, że coś im się należy z racji wspólnoty poglądów na pewne sprawy albo dlatego, że dziś Amerykanie ucierają nosa Francuzom czy Brytyjczykom. Należy się raczej spodziewać, że Polska też usłyszy jakieś żądania. Jeśli chce się wpływać na amerykańską politykę, to trzeba mieć twarde narzędzia. Np. gdyby polska mniejszość w USA była zjednoczonym blokiem, zwłaszcza w takich stanach jak Pensylwania, miałaby gigantyczną wartość. Ale nie jest.

Trudno sobie wyobrazić, by czołowi kandydaci w polskich wyborach prezydenckich nie pofatygowali się po głosy za Atlantyk. Prawicowe media proszą swoich polonijnych odbiorców o datki. To podtrzymuje odziedziczoną po PRL renomę Polonii jako grupy hojnej, zamożnej i na różnych polach wpływowej.

Przepraszam, ale kiedy Polonia była wpływowa? Wpływy w USA można zyskać albo dużymi pieniędzmi, których politycy zawsze potrzebują na sfinansowanie wciąż drożejących kampanii, albo kontrolą nad zdyscyplinowaną i znaczącą grupą elektoratu, która może poprzeć tego lub innego kandydata. O ile mi wiadomo, organizacje polonijne w USA nigdy nie miały w nadmiarze ani jednego, ani drugiego.

Możemy oczywiście odgrywać większą rolę, zwłaszcza teraz, gdy obraz Polski zmienia się z kraju na dorobku i zawsze goniącego innych na kraj, który odniósł sukces i staje się coraz bardziej atrakcyjny. Możemy z pewnością ten wizerunek wzmacniać, korzystając z obecności tych polskich obywateli, którzy wyjechali do USA nie z musu i „za chlebem", ale na studia, dla rozwoju kariery, i odnoszą tam sukcesy.

Czy gdyby następcą Trumpa został Demokrata, to statek jeszcze w stronę Polski zawróci?

Nie sądzę. Amerykanie będą się koncentrować na wyzwaniach wewnętrznych. W Narodowej Strategii Bezpieczeństwa czytamy, że Europie grozi „cywilizacyjne wygumkowanie", bo zalewa nas fala migrantów, a sami się nie rozmnażamy. Do pewnego stopnia to prawda. Ale mam wrażenie, że Amerykanie projektują na całą Europę swoje własne problemy. Wskaźnik urodzeń w Stanach Zjednoczonych też drastycznie spadł. Za przyrost naturalny odpowiada niebiała część populacji. A imigranci do USA to już nie są, tak jak chciałby Trump, biali Norwedzy czy Szwedzi, ale mieszkańcy krajów Ameryki Południowej czy Azji. Błyskawicznie zmienia się struktura społeczna.

W takich okolicznościach powietrze z balonika polaryzacji gdzieś będzie musiało ujść i nie zapowiada się, by lekarstwem na jednoczenie Amerykanów był pomysł: hej, wróćmy do superrelacji z Europą. Tym bardziej że odchodzi pokolenie polityków ukształtowanych w czasach zimnej wojny i bliskich stosunków transatlantyckich. Ostatnim takim prezydentem był Joe Biden.

Nie pomoże nam nawet ta okoliczność, że Trump żenił się ze Słowiankami?

Jego najstarszy syn podobno rozumie czeski, co ma być zasługą dziadków. Ale czy z tego powodu Czechy stoją wysoko na liście priorytetów prezydenta? Rodzina ze strony jego ojca pochodzi z Niemiec – widzi pan jakieś wyjątkowe relacje z Niemcami? Ludzie z otoczenia Trumpa często powtarzają, że nie uznają „myślnikowych Amerykanów", *hyphenated Americans*, czyli np. osób określających się jako Italian-Americans czy Polish-Americans. Teraz są po prostu Amerykanami i to interes Stanów Zjednoczonych stawiają na pierwszym miejscu.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI



Łukasz Pawłowski (ur. 1985) – doktor socjologii, psycholog, publicysta i autor książek. Wspólnie z Piotrem Tarczyńskim prowadzą „Podkast amerykański". Kieruje departamentem strategii w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 22434338fa

Errata do Apokalipsy

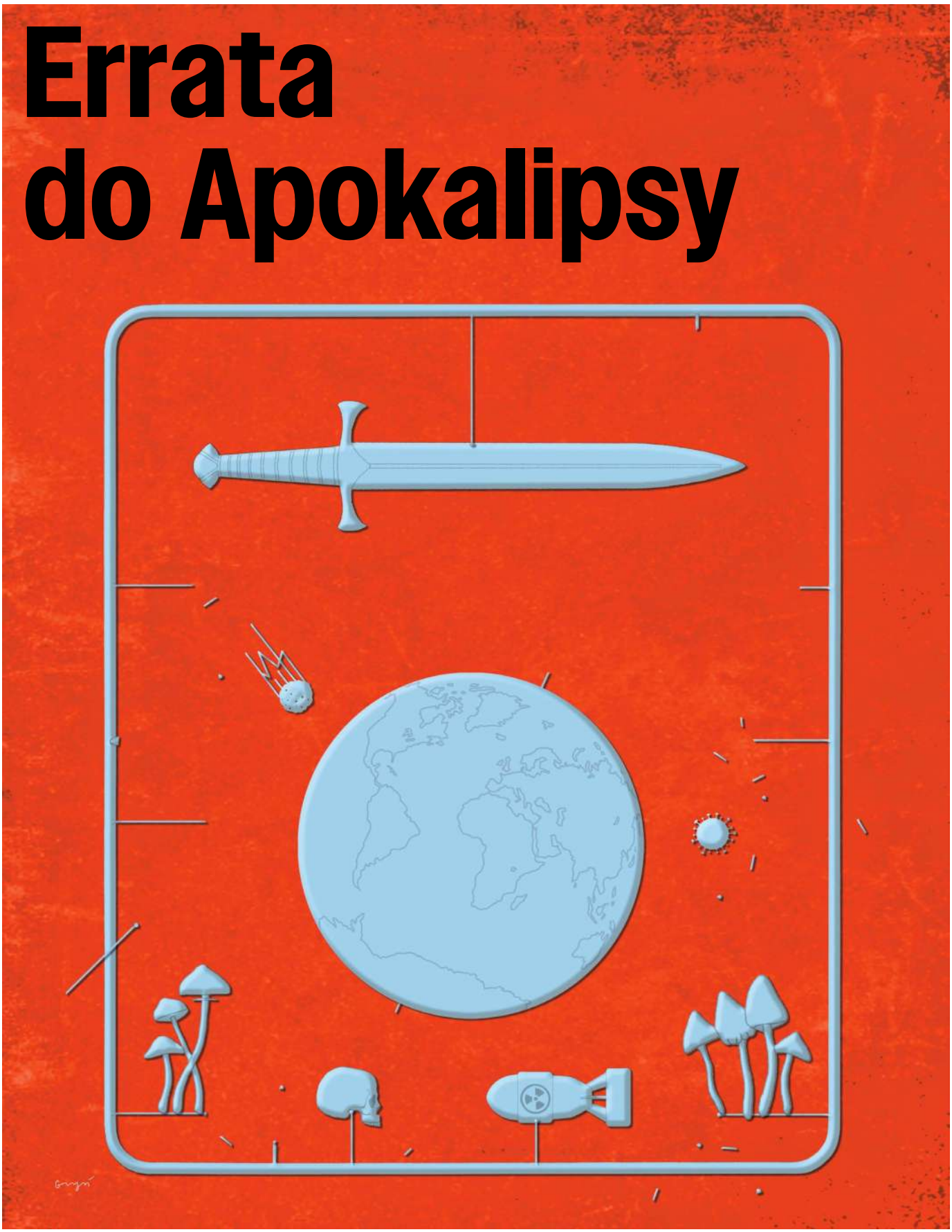

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 22434338fa

Rzetelna wiedza o tym, czego się bać, to lekarstwo na strach przed globalną katastrofą – mówią Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński, autorzy książki „Co to będzie? Krótki przewodnik po końcach świata".

KASPER KALINOWSKI: **– Które zagrożenie wydaje się najbardziej realne?**

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: – Niedawno mieliśmy pandemię, która może być zaledwie przygrywką do tego, co może nas czekać. Covid-19 zabił 7 mln ludzi (według oficjalnych danych – przyp. red.).

AGATA KAŹMIERSKA: – Właśnie wygasa ostatnie z amerykańsko-rosyjskich porozumień o ograniczeniu strategicznych zbrojeń jądrowych. Wiele wskazuje, że znów zacznie się straszenie „atomówkami", choć od dawna wiemy, że grożenie sobie końcem świata to żadna strategia, lecz dowód braku wyobraźni. W 1962 r., podczas kryzysu kubańskiego, przez błąd systemu i niedźwiedzia wspinającego się na ogrodzenie bazy wojskowej w Duluth w Minnesocie uruchomiono alarm, który doprowadził do startu bombowców z ładunkami jądrowymi na pokładzie. Takie przykłady można mnożyć.

W.B.: – I nie chodzi tylko o fałszywe alarmy. Amerykanie przyznają się do 32 incydentów „Broken Arrow", co oznacza utratę lub poważne uszkodzenie broni jądrowej. Im najczęściej atomówki wypadały z samolotów. W Związku Radzieckim i Rosji także dochodziło do wypadków z udziałem uzbrojenia jądrowego (m.in. zatonięcia przenoszących je okrętów). Eksperci doliczyli się co najmniej 34 utraconych głowic.

Całkiem realnym zagrożeniem wydają się też asteroidy. I raczej nie możemy liczyć na Bruce'a Willisa.

W.B.: – Wysadzenie asteroidy jak na filmie raczej nie wchodzi w grę. Asteroida, zamiast ulec dezintegracji, mogłaby się rozpaść na kilka wciąż dużych fragmentów, które uderzyłyby nie w jeden, lecz w kilka punktów na Ziemi, co nie poprawiłoby naszej sytuacji. Stąd pomysły, żeby lecący w naszą stronę obiekt „poszatkować" za pomocą konwencjonalnych albo atomowych wybuchów, by wpadł w atmosferę jako chmura gruzu, która spowodowałaby zniszczenia, ale nie kataklizm. Na razie jednak nie mamy technologii, która by to umożliwiła.

Dużo lepszym rozwiązaniem jest zepchnięcie asteroidy z kursu. Takie eksperymenty już są prowadzone. Sonda misji DART trzy lata temu uderzyła w Dimorphosa, księżyc większej asteroidy Didymos. Test wypadł lepiej niż zakładano. Przed uderzeniem Dimorphos obiegał Didymosa w ok. 11 godz. i 55 min. Po uderzeniu okres skrócił się o 33 min, a celem były zaledwie 73 s.

A.K.: – Mój ulubiony pomysł zakłada pomalowanie asteroidy na kolor odbijający światło. Ciśnienie promieniowania słonecznego mogłoby wystarczyć, by zmienić jej kurs. Oczywiście pod warunkiem że odkrylibyśmy ją wystarczająco wcześnie.

Swego czasu było głośno o scenariuszu ataku zombie. Czyżby eksperci potraktowali ten problem poważnie?

A.K.: – Na pewno poważnie tę sprawę traktuje US Army. Dowództwo Strategiczne USA w 2011 r. w ramach ćwiczeń planistycznych CONPLAN 8888 (symulacja ekstremalnych, chaotycznych kryzysów bez odniesienia do realnych państw, religii czy grup społecznych – przyp. red.) opisało całą gamę możliwych zombie: od klasycznych ożywionych trupów, poprzez zombie wegetariańskie, aż po kurczaki. Te ostatnie to – jak stwierdzono – jedyny „potwierdzony naukowo" ich rodzaj (chodzi o osobniki nieskutecznie uśmiercone przez hodowców – przyp. red.).

W.B.: – Z tej osobliwej symulacji wynika, że wszystkie chwyty będą dozwolone, bo prawo reguluje operacje wojskowe w odniesieniu do życia ludzkiego i zwierzęcego, a zombie – wedle wojskowych – nie są ani jednym, ani drugim. Broń jądrowa prawdopodobnie byłaby najlepszym środkiem walki z hordami żywych trupów. Zadaniem żołnierzy ma być początkowo ochrona samych siebie, czyli zabarykadowanie się w bazach.

A.K.: – Jednocześnie wojskowi przewidują, że już na początku ataku zombie możemy zapomnieć o ochronie zdrowia, bo najpewniej to lekarze będą pierwszymi ofiarami. Żywności też nie będzie, bo nikt nie będzie zbierać plonów, a krowy pouciekają. Miną miesiące, a nawet lata, nim głód przestanie być zabójcą niemniej skutecznym niż żywe trupy (wojskowi planiści zapewnili, że „taka metoda stanowi inspirację dla innych szkoleń, które mogą wydawać się bardzo nudne" – przyp. red.).

A popularna dzięki serialowi „The Last of Us" wizja zabójczych grzybów?

W.B.: – Istnieje hipoteza, że właśnie w obronie przed grzybami ssaki i ptaki wykształciły stałocieplność. Grzyby nie lubią, kiedy jest za ciepło. Problem polega na tym, że w wielu regionach świata średnia temperatura otoczenia zaczyna się zbliżać do temperatury ludzkiego ciała. Grzyby się dostosowują i coraz lepiej znoszą warunki wewnątrz naszych organizmów.

A.K.: – Na liście *priority pathogens* Światowa Organizacja Zdrowia umieszcza 19 gatunków lub grup grzybów, które mogą stać się realnym zagrożeniem dla ludzi. Drożdżak *Candida auris* nie tylko dostosował się do temperatury naszych organizmów, ale jest odporny na działanie standardowych leków. W ogóle grzybice są trudne do leczenia, bo zwykle to, co szkodzi grzybom, jest trujące także dla nas. Tymczasem nawet u 95 proc. zakażonych *Candida auris* infekcja przebiega bezobjawowo, co oznacza, że nieświadomie zarażają oni innych. Grzyb, który dostaje się do krwi, serca lub mózgu osoby o obniżonej odporności, wywołuje wielonarządową drożdżycę, która zabija nawet do 60 proc. zakażonych.

Z kolei antybiotyki przyczyniły się do uodpornienia bakterii?

W.B.: – Sięgamy po nie chętnie i często bez potrzeby. Według ostrożnych szacunków ONZ bakterie oporne na antybiotyki mogą zabić nawet 39 mln ludzi do 2050 r.

A Covid-19? Ludzkość czegoś się nauczyła?

W.B.: – To nie tylko kwestia wniosków, jakie wyciągnęli zarządzający systemami opieki zdrowotnej, ale może przede wszystkim naszych indywidualnych decyzji. Nie dbamy o siebie. Ile osób z naszego otoczenia zaszczepiło się na Covid-19? Minęło kilka lat od pandemii, a zachowujemy się tak, jakby nic się nie stało. W opowieściach o tamtym czasie największym problemem wydają się wyrzeczenia związane z lockdownami. Czy to naprawdę tak wielki wysiłek, skoro udało się uratować wiele milionów ludzi?

A.K.: – Zdaniem ekspertów kolejna pandemia jest kwestią czasu, a my robimy wszystko, by zebrała jeszcze większe żniwo. Dodajmy do tego zamrożenie środków na naukę przez administrację Donalda Trumpa. Robert F. Kennedy jr, sekretarz ds. zdrowia i opieki społecznej, obciął środki na badania nad szczepionkami mRNA w zasadzie do zera. Nie mamy też szans na opracowanie leków, nad którymi pracowano od lat, choć wiele z nich było w ostatniej fazie badań. ▶

eprasa.pl 22434338fa

▶ Zagrożeń z laboratoriów jest więcej. Zwracacie uwagę na lustrzane życie. Czym jest?

W.B.: – Wszystkie organizmy mają prawoskrętną helisę DNA, a aminokwasy – zwykle lewoskrętną. Nie ma powodu, dla którego akurat te kierunki zostały wybrane przez ewolucję, ale to one się utrwaliły. Wiele laboratoriów prowadzi jednak prace nad komórkami, które będą skonstruowane odmiennie. Mają być nadzieją na nową klasę leków lub szczepionek, bo nasze organizmy miałyby trudności z ich rozłożeniem. Niestety, nie wiemy, jaką reakcję układu odpornościowego mogą wywołać.

A.K.: – Na razie tworzenie w ten sposób całych bakterii to pieśń odległej przyszłości, ale część specjalistów uważa, że zagrożenie jest realne. 38 ekspertów, w tym dwóch noblistów i Craig Venter, który pierwszy prowadził prace nad sekwencjonowaniem ludzkiego genomu, opublikowało w „Science" list otwarty. Ostrzegają, że lustrzane życie może stać się gatunkiem inwazyjnym i przyczyną śmiertelnych infekcji u większości gatunków roślin i zwierząt.

W.B.: – To także kwestia kontroli nad patogenami. Na świecie istnieje ponad 50 obiektów BSL-4 – laboratoriów o najwyższym poziomie zabezpieczeń. Co najmniej 17 kolejnych jest w budowie lub w fazie planowania. To szczególnie niebezpieczne w chwili rozpadu współpracy międzynarodowej, bo trudniej o mechanizmy realnej kontroli. A wystarczy pech albo niekompetencja. W historii zdarzały się wypadki i naruszenia procedur o potencjalnie katastrofalnych skutkach. Ośrodek badawczy armii amerykańskiej w Dugway w latach 2005–15 przez pomyłkę wysłał do 194 laboratoriów żywe bakterie wąglika, które mogły służyć jako broń biologiczna.

A.K.: – Równolegle w biotechnologii mamy do czynienia z rewolucją. Codziennie słyszymy o sztucznej inteligencji, ale inżynieria genetyczna staje się nie tylko coraz tańsza, lecz również coraz łatwiej dostępna. Przyjrzyjmy się Nagrodom Nobla z ostatniej dekady – nagradzane są kolejne, coraz bardziej precyzyjne metody manipulowania DNA czy białkami.

A połączenie inżynierii genetycznej ze sztuczną inteligencją to przepis na katastrofę?

W.B.: – Natura ma dla nas wystarczająco dużo niespodzianek. Nie musi się posiłkować sztuczną inteligencją. Richard Preston w książce „Strefa skażenia" opisał to na przykładzie eboli. Jej pierwsza epidemia w Zairze wybuchła wkrótce po tym, gdy przez las deszczowy puszczono drogę, która stała się kanałem transmisji. W konsekwencji wirus, który wcześniej zakażał kilka populacji małp i pojedyncze wioski, stał się problemem ogólnoświatowym. Te same udogodnienia stwarzamy dla innych patogenów. Budujemy im autostradę łączącą cały świat. Większość nowych chorób, które nas dopadają, w tym Covid-19, pochodzi od zwierząt. Według Światowej Organizacji Zdrowia na trzydzieści kilka nowych patogenów człowieka odkrytych w ostatnich dziesięcioleciach 75 proc. to zoonozy. Dotyczy to również HIV czy wspomnianej eboli. Nie byłoby ich, gdybyśmy nie zakłócili naturalnych ekosystemów.

Dlaczego w książce o końcach świata znalazł się rozdział o incelach i feministkach?

A.K.: – Paradoksalnie wielu z nas wciąż uważa, że zagrożeniem jest przeludnienie na Ziemi. Tymczasem wiele wskazuje, że populacja *Homo sapiens* w połowie lat 80. XXI w. najprawdopodobniej nieznacznie przekroczy 10 mld, a potem zacznie się kurczyć. W wielu miejscach już zmniejsza się katastrofalnie. W Japonii sprzedaż pieluch dla dorosłych przekroczyła sprzedaż pieluch dla dzieci, a w Korei Południowej szkoły podstawowe są zamykane i przerabiane na domy starców lub schroniska dla kotów.

W.B.: – Badanie opublikowane w „The Lancet" wskazuje, że w 2050 r. dodatni lub zerowy przyrost naturalny będzie mieć już tylko jedna czwarta krajów na świecie. Na koniec wieku zostanie sześć: Samoa, Somalia, Tonga, Niger, Czad i Tadżykistan.

A.K.: – Szkoły opustoszeją jako pierwsze. Po nich uniwersytety, kina, sklepy, stadiony. Nie będzie komu nagrywać nowej muzyki ani kręcić filmów. Asteroidy, zarazy, wojny przynajmniej dają nam szansę zrobić cokolwiek.

Katastrofy, które opisujecie, paradoksalnie ujawniają to, co w ludziach najlepsze.

W.B.: – Przytaczamy historię socjologa Charlesa Fritza, który zaciągnął się do amerykańskich Sił Powietrznych i został wysłany do Anglii, gdzie z bliska oglądał skutki niemieckich bombardowań. Zachowania ludzi w tym czasie opisywał jako pełne „życzliwości, współczucia i działania dla dobra wspólnego". Nie chodziło tylko o wzrost morale. Zamiast paniki i grabieży dostrzegł wspólne gotowanie, gościnność i pomoc sąsiedzką. Zauważył, że nigdy nie widział tyle dobra między ludźmi, jak w miastach, które zostały doszczętnie zrujnowane. Resztę życia spędził na badaniu zachowań ludzi w obliczu największych katastrof. Obejmowały rozmowy z ocalałymi z trzęsień ziemi, tornad, katastrof lotniczych, a także przyglądanie się epidemiom i powodziom. I wszędzie było podobnie. Musimy stanąć na progu nieszczęścia, aby zachowywać się tak, jak powinniśmy.

A.K.: – Wbrew temu, czym nas karmi Hollywood, z badań wynika, że nie będzie żadnego „Mad Maxa". Ludzie podczas katastrof i po nich zwykle sobie pomagają, a więzi społeczne ulegają wzmocnieniu i odbudowie. Przemoc i panika to niemal zawsze wyjątki, nie reguła. Ciekawe, że panikują zwykle elity, a przynajmniej ludzie, którzy byli za elitę uważani. Zwykle to oni, bojąc się tłumu, podejmują paniczne decyzje i powodują chaos, którego się tak obawiają. Szczególnie wyraźnie było to widać podczas powodzi w Nowym Orleanie, gdzie zdecydowana większość ludzi sobie pomagała, gdy brak było wsparcia instytucji i rządu. Media trąbiły o szabrownikach okradających zalane domy, ale później okazało się, że najczęściej byli nimi – niemal zawsze identyfikowani w mediach jako czarni mężczyźni – ludzie, którzy próbowali znaleźć jedzenie albo wodę nadającą się do picia. To oni, a nie instytucje, ratowali siebie nawzajem. Gotowali posiłki, organizowali schronienie, otwierali darmowe kliniki. Byli dla siebie po prostu dobrzy.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI



Wojciech Brzeziński – dziennikarz zajmujący się nauką, techniką i ich wpływem na społeczeństwo i świat. Laureat Grand Press, Prix CIRCOM, stypendysta Fundacji Knighta na Massachusetts Institute of Technology. Współautor książki „Strefy cyberwojny".

Agata Kaźmierska – zdobywczyni wielu nagród dziennikarskich (m.in. Grand Press i SDP), specjalizuje się w tematyce międzynarodowej. Autorka artykułów i filmów dokumentalnych o globalnych kryzysach i granicach ludzkiej odporności. Współautorka książki „Strefy cyberwojny".

© GRAŻYNA MAKARA/WYDAWNICTWO PORT

eprasa.pl 22434338fa



Kanadyjski lodołamacz „Amundsen" tym razem z łatwością przecinał kry

Przerębel Arktyka

Lodowa skorupa Last Ice Area miała przetrwać najdłużej i stać się arktyczną arką Noego. Tymczasem zaczyna pękać nawet tam, gdzie była nie do sforsowania od tysięcy lat.

ANDRZEJ HOŁDYS

Na samym krańcu świata, gdzie Grenlandia i Kanada niemal się stykają, znajduje się rozległy fragment Oceanu Arktycznego uważany za główny bastion wieloletniego lodu morskiego. Gdy w niezbyt odległej przyszłości niemal cała morska Arktyka zacznie odmarzać w ciepłej połowie roku, w tej twierdzy jeszcze przez długi czas ocean pozostanie ukryty pod lodem o wielometrowej grubości, utrzymującym się przez okrągły rok. Słowem – będzie po staremu. Ten kawałek Arktyki, nazwany po angielsku Last Ice Area (Ostatni Obszar Lodu Arktyki, LIA), miał stać się ostoją niedźwiedzi polarnych, fok, morsów, wielorybów, a także tych mikroskopijnych glonów, które do przetrwania potrzebują lodu. Dziś ta wizja znika.

Najnowsze ostrzeżenie pojawiło się we wrześniu 2025 r., gdy kanadyjski lodołamacz straży przybrzeżnej „Amundsen" zakończył pierwsze kompleksowe badanie oceanograficzne Wysp Królowej Elżbiety, najbardziej na północ wysuniętej części kanadyjskiego Archipelagu Arktycznego. Cieśniny między wyspami były od tysiącleci wypełnione starym, wieloletnim lodem. W przeszłości niejeden okręt usiłował się przez niego przebić i za każdym razem kończyło się to porażką. W latach 70. XIX w. Brytyjczycy posłali wiceadmirała George'a Naresa, aby podjął próbę pokonania cieśniny, dziś noszącej jego imię, oddzielającej Wyspę Ellesmere'a od Grenlandii, ale i on nie dał rady. Oba jego okręty napotkały barierę lodową nie do pokonania. Od tamtej pory dano sobie spokój z forsowaniem tej przeszkody.

Również uczestnicy zeszłorocznego rejsu „Amundsena", wpływając pomiędzy Wyspy Królowej Elżbiety, oczekiwali, że dość szybko drogę zagrodzi im jedna z najgrubszych na świecie morskich pokryw lodowych. Zamiast tego lodołamacz z łatwością przecinał kry. Ku zaskoczeniu uczestników wyprawy lód był miękki, popękany niczym rozbity dzban i znacznie cieńszy, niż przewidywano. „Myśleliśmy, że czeka nas ciężka przeprawa, tymczasem przebijanie się przez lodową połać okazało się dość łatwe. Powiedziałbym nawet: zbyt łatwe" – relacjonował oceanograf David Babb z University of Manitoba podczas dorocznej konferencji naukowej ArcticNet w grudniu 2025 r. w Calgary.

Uczestniczący w rejsie marynarze i naukowcy byli zdumieni. Oczekiwali lodu twardego i zwartego, ukształtowanego przez dziesięciolecia zamarzania, tymczasem nawiercone w nim rdzenie ujawniły słabość strukturalną, świadczącą o tym, że nawet tu pak lodowy, choć ▶

© LEE THOMAS/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 22434338fa

▶ wciąż ma grubość wielu metrów, traci odporność.

Inny badacz, Mallik Mahmud z McGill University w Montrealu, dołożył w Calgary kolejny element do tej układanki. Korzystając z danych satelitarnych, wykazał, że od końca lat 90. XX w. początek wiosennego topnienia lodów w kanadyjskim Archipelagu Arktycznym następuje średnio o pięć dni wcześniej z każdą dekadą. Również jesienne mrozy przychodzą coraz później. Te dodatkowe dni z temperaturami powyżej 0 st. C mają znaczenie. Nawet gruby lód zaczyna się degradować, gdy jest wystawiony na działanie coraz dłuższych letnich okresów. „Wieloletni lód miał tu kiedyś swoją ostoję. Teraz przybywa tu, aby umrzeć" – stwierdził ponuro naukowiec na koniec swojego wystąpienia.

Niepokój od Pacyfiku

Moment rejsu nie mógł być lepiej wybrany. Wcześniej bowiem Arktyka doświadczyła wyjątkowo ciepłej zimy. Jesienią 2024 r. lód w centralnej części Oceanu Arktycznego zaczął się tworzyć później i był cieńszy niż zwykle. W rezultacie mniej napłynęło go potem, wraz z prądami morskimi, ku Kanadzie i Grenlandii. Następnie przyszła wczesna wiosna i długie lato. W efekcie pak lodowy wokół Wysp Królowej Elżbiety nie zdążył się odbudować do września. Tylko dlatego „Amundsen" mógł odbyć swoją misję i przeprowadzić obserwacje.

Wyniki napawały niepokojem z wielu powodów. Podczas wyprawy mierzono m.in. temperaturę i zasolenie wody na różnych poziomach – aż do głębokości kilkudziesięciu metrów. Temperatura była wyraźnie wyższa, a zasolenie okazało się nieco niższe niż w latach 60. XX w., kiedy Kanadyjczycy wykonali w tych samych miejscach serie pomiarów, wędrując po lodzie i nawiercając go co jakiś czas. Analizy chemiczne wody przeprowadzone przez zespół Babba wskazywały na coraz większy napływ cieplejszych wód pacyficznych, przybywających przez Cieśninę Beringa. „To ciepło nie dociera jeszcze bezpośrednio do lodu, ale sygnalizuje zmiany zachodzące w arktycznym systemie krążenia wody. W niedalekiej przyszłości mogą zdestabilizować cały region" – ostrzegał naukowiec.

Badacze z „Amundsena" zapewne znali pracę opublikowaną w styczniu 2025 r. w „Communications Earth & Environment". Wywołała ona spore poruszenie, jej autorami byli bowiem nestorzy badań Last Ice Area i autorzy tej nazwy – Bruno Tremblay, Stephanie Pfirman i Robert Newton. Sięgnęli po stworzony przez naukowców z Texas A&M University Community Earth System Model, który z nieosiągalną wcześniej precyzją pozwala symulować rozmaite procesy zachodzące na globie w skali lokalnej, także wędrówki lodu morskiego przez wąskie arktyczne cieśniny.

Wcześniejsze, mniej dokładne modele pokazywały Archipelag Arktyczny i Cieśninę Naresa jako potężną barierę, na której zatrzymują się wielkie kry z innych rejonów Oceanu Arktycznego. Jednak w symulacjach, które wykonali Tremblay, Pfirman i Newton, ta bariera słabnie, a jej dalsze losy zależą od tego, jak bardzo ociepli się klimat na globie.

Scenariusz zagłady ostatniego całorocznego lodu morskiego w Arktyce w komputerowych scenariuszach wygląda następująco: zimą Ocean Arktyczny będzie zapewne wciąż zamarzać, nawet w nieco cieplejszym klimacie. Jednak pokrywa lodowa stanie się cieńsza i delikatniejsza, a sztormy i prądy morskie będą ją łatwo rozłupywać, natomiast jej resztki odprowadzać poza Arktykę. W rezultacie coraz mniej lodu zacznie wędrować w kierunku Archipelagu Arktycznego i północnej Grenlandii, a ten, który już tam jest, będzie coraz brutalniej spychany ku cieplejszym wodom i tam stopnieje.

Z symulacji wspomnianej trójki badaczy wynika, że przy znacznym wzroście temperatur globalnych ten „ostatni lód" zniknie w ciągu zaledwie dekady po tym, jak latem zacznie odmarzać cały centralny Ocean Arktyczny wokół bieguna północnego. Innymi słowy, nie będzie żadnej Last Ice Area – lodowej arki Noego o powierzchni ok. 1 mln km kw., zapewniającej przez wiele dekad całoroczne schronienie licznym arktycznym gatunkom. Jej przetrwanie byłoby możliwe tylko pod warunkiem znacznego spowolnienia tempa ocieplania się Ziemi, w tym terenów za kołem podbiegunowym północnym, na których od pół wieku temperatury podnoszą się szybciej od średniej globalnej.

Ludzie przyszli po lodzie

Wyniki symulacji zmusiły Tremblaya, Pfirman i Newtona do radykalnej rewizji własnych ocen sprzed 15 lat. To oni jesienią 2010 r. podczas konferencji American Geophysical Union przedstawili koncepcję otoczenia szczególną ochroną rozległej strefy wieloletniego lodu o szerokości kilkuset kilometrów, ciągnącej się na Oceanie Arktycznym na długości ok. 2 tys. km, na północ od Kanady i Grenlandii. Poza zmrożonymi wodami przybrzeżnymi Oceanu Arktycznego zaliczyli do niej również cieśniny, zatoki i przesmyki Wysp Królowej Elżbiety, skute lodem od niepamiętnych czasów.

To po tym lodzie wędrowali przed 5 tys. lat pierwsi ludzie, którzy skolonizowali ten kawałek świata. Przybyli z Syberii, ale nie mieli nic wspólnego z tymi Azjatami, którzy znacznie wcześniej stali się przodkami Indian. Paleoeskimosi – jak nazwano ten lud – podążyli z Alaski od razu na wschód i dotarli do północnej Grenlandii. Ok. 700–800 lat temu wyginęli zastąpieni przez kolejną falę arktycznych nomadów – Inuitów, którzy także przybyli z Azji, wędrując po tym samym „wiecznym lodzie".

Swoją trwałość, grubość i stabilność zawdzięcza on głównemu prądowi morskiemu Oceanu Arktycznego, zwanemu dryfem transpolarnym. Jest to gigantyczny wir krążący zgodnie z ruchem wskazówek zegara, porywający lód gromadzący się w pobliżu Syberii i transportujący go w kierunku półkuli zachodniej. Część tego lodu płynie do Atlantyku, głównie przez cieśninę Fram oddzielającą Grenlandię od Spitsbergenu, jednak większość dociera z wirem do północnego skraju kanadyjskiego archipelagu i Grenlandii, gdzie się gromadzi, tworząc potężne grzędy.

Co płynie przez połynię

Piętnaście lat temu Tremblay, Pfirman i Newton uznali, że jest to ostatnie miejsce w Arktyce, z którego zniknie lód morski. Już wtedy jednak dostrzegli pierwsze symptomy niepokojących zmian, z których najważniejszym było systematyczne zmniejszanie się ilości lodu docierającego z syberyjskich mórz. Założyli jednak, że mimo wszystko Last Ice Area przetrwa wraz z unikalnym ekosystemem jeszcze wiele dekad po tym, jak reszta Arktyki stopnieje.

Rzeczywistość okazała się mniej optymistyczna. Obserwacje satelitarne oraz boje dryfujące wraz z lodem wskazywały na wzrost jego mobilności od początku poprzedniej dekady. Stawał się cieńszy i przez to mniej stabilny. Wiatry i prądy morskie łatwiej go kruszyły i porywały,

eprasa.pl 22434338fa

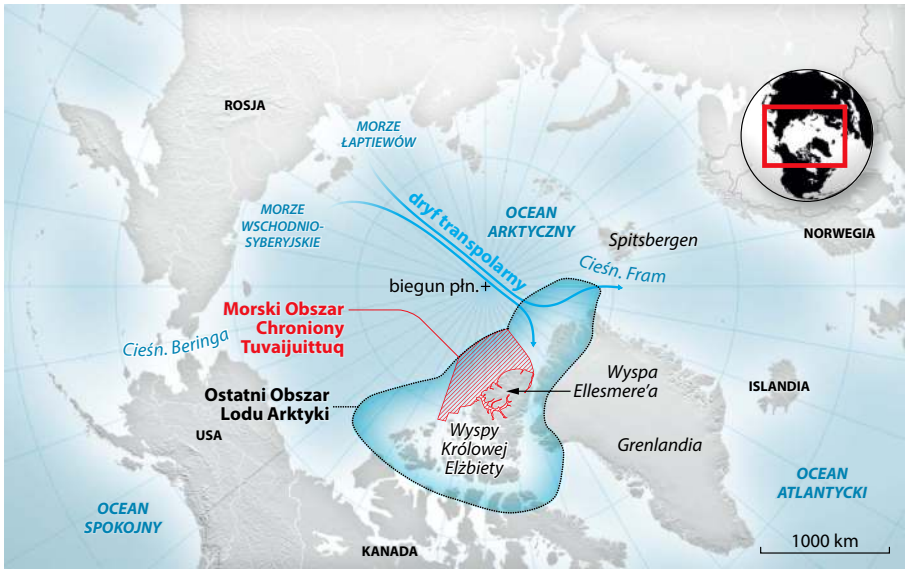

spychając na południe. Ponieważ dane obserwacyjne stawały się coraz bardziej niepokojące, w 2021 r. badacze postanowili zweryfikować swoje oceny sprzed dekady. W pierwszej kolejności przyjrzeli się wędrówkom lodu po Oceanie Arktycznym.

Analiza wykazała, że cały ten system ulega rozpadowi. W miarę ocieplania się klimatu lód formujący się w syberyjskich morzach szelfowych staje się coraz cieńszy, a jego część albo topnieje, zanim zdąży z prądem morskim dotrzeć w pobliże Kanady, albo też zostaje skierowana w stronę Atlantyku. W pracy opublikowanej w „Earth's Future" Tremblay, Pfirman i Newton prognozowali, że do połowy XXI w. morza Łaptiewów i Wschodniosyberyjskie zaczną niemal w całości odmarzać latem i tym samym wyschnie główne źródło lodu zasilającego Last Ice Area. Pozostanie jeszcze lód docierający z centrum Oceanu Arktycznego, ale i jego dostawy zaczną szybko spadać.

Skutek będzie dramatyczny: Last Ice Area straci większość lodu wieloletniego, a średnia grubość paku lodowego zmniejszy się z obecnych siedmiu metrów do zaledwie jednego – prognozowali badacze, zwracając uwagę, że dalsza przyszłość będzie zależeć od tempa ocieplania ziemskiego klimatu. „Jeśli będzie szybkie, już niedługo cały Ocean Arktyczny zacznie odmarzać latem. Jeśli to tempo będzie jednak wolne, jest nadzieja, że pewna część wieloletniego lodu ocaleje na północ od Kanady. Będzie niestabilny, podatny na destrukcję, a jego powierzchnia znacznie się skurczy" – napisali w 2021 r.

Niespecjalnie zdziwiony tymi wnioskami był Kent Moore, geofizyk z University of Toronto. Przyglądając się zdjęciom satelitarnym z maja 2020 r., na północ od Wyspy Ellesmere'a dostrzegł rozległą połynię – obszar niezmrożonego oceanu wśród lodu morskiego. W tym przypadku ów „przerębel" miał długość ok. 100 km i szerokość kilkudziesięciu. Był dziełem silnych wiatrów, które odepchnęły lód od lądu, ale sam fakt, że mogły to uczynić, oznaczał, iż Last Ice Area powoli słabnie.

Już w 2019 r. Moore wyliczył, że od początku lat 80. XX w. grubość lodu na tym obszarze zmniejszyła się o ok. 1,5 m. „Arktyczna forteca jeszcze się trzyma, ale jej lodowe mury kruszeją z każdą dekadą" – napisał w konkluzji badań.

Identyczne przemyślenia mieli naukowcy uczestniczący w 2020 r. w rejsie niemieckiego statku badawczego „Polarstern". W pewnym momencie, płynąc od strony bieguna północnego w kierunku Spitsbergenu, jednostka znalazła się we wschodniej części Last Ice Area. Spodziewano się ujrzeć grubą, zwartą skorupę, a była rozbita na kawałki, między którymi znajdował się młody, jednoroczny lód. Zeszłoroczna publikacja Tremblaya, Pfirman i Newtona w „Communications Earth & Environment" postawiła kropkę nad i: twierdza jest o wiele mniej solidna, niż się wydawało, i choć runie jako ostatnia, nie będzie długo stawiać oporu.

Kto marzy o odmarzaniu

Mimo tej ponurej perspektywy naukowcy podkreślają, że ochrona Last Ice Area wciąż ma znaczenie. Nadal bowiem jest to ten kawałek Oceanu Arktycznego, gdzie skorupa lodowa jest najgrubsza. Babb podczas grudniowej konferencji opowiadał, jak w trakcie rejsu „Amundsena" w ciągu jednej nocy wokół okrętu uformowała się skorupa lodowa o grubości 10 cm. „Bitwa pomiędzy ciepłem a zimnem wciąż tu trwa i nie jest rozstrzygnięta" – uznał. Gdyby udało się zatrzymać wzrost temperatur globalnych, arktyczny lód morski być może zacząłby się odbudowywać w drugiej połowie XXI w., a zagrożone gatunki dostałyby więcej czasu na adaptację lub migrację. Wychodząc z tego założenia, już w 2019 r. utworzono tu tymczasowy Morski Obszar Chroniony Tuvaijuittuq, który obejmuje jedną trzecią Last Ice Area i ma powierzchnię porównywalną z Polską. W 2024 r. przedłużono jego istnienie na kolejne pięć lat.

Jednak jeden obszar chroniony, nawet tak duży, zda się na niewiele, jeśli obok nie powstaną kolejne. Tymczasem to, co dla naukowców, przyrodników i rdzennej ludności jest ponurą perspektywą, dla innych stanowi obietnicę olbrzymich zysków.

Odmarznięcie Oceanu Arktycznego oznacza, że łatwiej będzie się dostać do surowców mineralnych znajdujących się pod jego dnem. Transport, górnictwo i przemysł mogą wtedy dodatkowo zagrozić arktycznej przyrodzie. Już dziś w lodzie, który dociera z Syberii do brzegów arktycznej Kanady i Grenlandii, stwierdza się podwyższone ilości rozmaitych zanieczyszczeń pochodzących z drugiej strony oceanu. Ich źródłem są syberyjskie pola gazowe i kopalnie takich metali jak nikiel i miedź.

Słowo Tuvaijuittuq znaczy po inuicku: „miejsce, gdzie lód nigdy nie topnieje". Dla rdzennych mieszkańców Archipelagu Arktycznego debata na temat przyszłości Last Ice Area ma fundamentalne znaczenie. Ich kultura, bezpieczeństwo żywnościowe i sposoby transportu są silnie związane z istnieniem wieloletniego lodu morskiego.

„Nasza tożsamość i tradycja są związane ze swobodnym przemieszczaniem się po lodzie morskim. To dzięki niemu możemy utrzymywać kontakty między naszymi osadami. On jest naszą autostradą" – napisali rok temu przedstawiciele społeczności inuickiej w liście do ONZ i rządu Kanady, zwracając uwagę, że kiedy z Oceanu Arktycznego zniknie ostatni lód, wraz z nim znikną nie tylko liczne gatunki, ale też prastare dziedzictwo kulturowe.

ANDRZEJ HOŁDYS

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 22434338fa

Dać myszy słowo

Ze zdumieniem przeczytaliśmy artykuł „Znak orłana” Wojciecha Piaseckiego i Tomasza Heesego (POLITYKA 46/25). Jako współautorzy współczesnego polskiego nazewnictwa ptaków i ssaków czujemy się zobowiązani do zajęcia stanowiska.


NAUKA PROJEKTPULSAR.PL

Znak orłana

WOJCIECH PIASECKI
TOMASZ HEESE

Kto ty jesteś? Polak mały! Jaki znak twój? Orzeł biały? Niestety, już nie. Gdyby ten ptak wiedział, jak go nazywają niektórzy polscy naukowcy, poczerwieniałby ze wstydu...

Mysz, nie myszarka

Linneusz zaproponował swój system m.in. po to, by ograniczyć nadmierne rozbudowywanie nazw w językach narodowych. Badacze różnych dziedzin i zgadzają się, że w publikacjach szczegółowych należy podawać pełną nazwę naukową, nie pozwala tworzyć wymyślnych, dodatkowych nazw lokalnych. Niestety w Polsce w ostatnich kilkunastu latach zasadę tę porzucono.

Grupa biologów, nie dość uważnie wczytawszy się w nauki Linneusza, zaczęła wprowadzać do obiegu tysiące nowych, dziwacznych nazwisk świata (W. Cichocki i in., „Polskie nazewnictwo ssaków świata”, Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa, 2015). Ta nowa tendencja jest na skalę masową promowana w internecie. I nagle mysz leśna przestała być myszą, a stała się myszarką, mucha stała się muchówką, a fóka – szarytką. Niektórzy zmienili się w mopka, orzeł – w orłana (Ichthyaetus melanocephalus) stał się kaszką czarnogłową, a biedronka siedmiokropkowa – biedronką siedmiokropkową.

Nie wiemy, czy ktoś z autorów artykułu „Znak orłana” zechce zostać w przyszłości mopkiem albo kaszką czarnogłową, ale z pewnością nie ma takiego prawa, by narzucać innym swoje dziwactwa językowe.

Autorzy artykułu przedstawiają proces porządkowania i aktualizowania nazw wernakularnych (krajowych, zwyczajowych) zwierząt jako zjawisko nowe, masowe i destrukcyjne, będące skutkiem „nadgorliwości” wąskiego środowiska. Taka narracja jest nie tylko nieuprawniona, lecz także świadczy o braku elementarnej znajomości historii polskiej zoologii. Polskie nazewnictwo ssaków i ptaków, podążające za podziałem systematycznym, ma w Polsce ponad 240-letnią tradycję sięgającą prac Krzysztofa Kluka (1779), Feliksa Pawła Jarockiego (1821), a następnie Gustawa Belkego, Benedykta Dybowskiego i wielu innych autorów XIX i XX w.

W systemie Karola Linneusza większość drobnych gryzoni była pierwotnie zaliczana do rodzaju *Mus*. Wraz z rozwojem wiedzy i zmianami w systematyce stopniowo tworzono i porządkowano polskie nazwy rodzin, rodzajów i gatunków. Z logiki prezentowanej przez Panów Profesorów wynikałoby zatem, że nie powinniśmy używać takich nazw jak badylarka, nornik, nornica, orzesznica, żołędnica czy karczownik, ponieważ pierwotnie wszystkie te formy należały do rodzaju *Mus*, a więc „były po prostu myszami”. Tego rodzaju rozumowanie prowadzi do oczywistych absurdów i podważa sens jakiegokolwiek rozwoju nazewnictwa.

Zastanawiająca niechęć

Szczególnie rażące są przykłady, którymi autorzy próbują zilustrować rzekome „absurdy” nowego nazewnictwa. Przypisanie twórcom aktualnych list ptaków wprowadzenia nazwy „orłan” dla bielika *Haliaeetus albicilla* jest po prostu nieprawdą. W żadnej wersji oficjalnych wykazów nazw ptaków – od 1999 r. do dziś – taka nazwa nie została użyta. „Orłan” jest dawnym, marginalnym synonimem innego gatunku – bielika olbrzymiego *Haliaeetus pelagicus*, funkcjonującym sporadycznie w literaturze historycznej i – niestety – w niektórych ogrodach zoologicznych (Łódź, Zamość).

Autorzy artykułu sugerują, że „nietoperz stał się mopkiem”, co ma rzekomo dowodzić sztucznego i arbitralnego tworzenia nowych nazw. Tymczasem „mopek” odnosi się do jednego konkretnego rodzaju i gatunku – *Barbastella barbastellus* – i funkcjonuje w języku polskim od drugiej połowy XIX w. To stabilna, dawno ugruntowana nazwa wernakularna, od dziesięcioleci obecna w literaturze naukowej, atlasach, kluczach do oznaczania oraz materiałach dydaktycznych. W środowisku chiropterologicznym – specjalistów od nietoperzy– nigdy nie była przedmiotem kontrowersji ani problemów terminologicznych.

Autorzy artykułu są specjalistami w zakresie parazytologii i hydrobiologii, a nie biologii ssaków czy ptaków, co może tłumaczyć pominięcie podstawowych opracowań oraz realiów funkcjonowania nazewnictwa wernakularnego w tych grupach zwierząt. Zastanawiające jest również, czy deklarowana niechęć do polskich nazw ptaków i ssaków miałaby obejmować także inne dziedziny biologii i medycyny. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by w parazytologii – dziedzinie, którą zawodowo reprezentuje jeden z autorów artykułu – konsekwentnie rezygnowano z nazw wernakularnych na rzecz wyłącznego używania terminów łacińskich. Czy należałoby zatem uznać za niewłaściwe określenia takie jak zarodziec dla *Plasmodium* czy tasiemiec dla *Taenia*? Czy lekarz miałby informować rodzica, że dziecko zakażone jest *Enterobius vermicularis*, zamiast użyć powszechnie rozumianej nazwy „owsiki”? Nazwy chorób pasożytniczych – takich jak bąblowica, glistnica czy rzęsistkowica – są od dawna integralną częścią języka medycyny i dydaktyki akademickiej.

Niezrozumienie różnic

Uproszczeń i nieścisłości w artykule jest więcej. Na przykład nazwy „pływacz” i „długopłetwiec”, przedstawiane jako rzekome współczesne neologizmy, są w rzeczywistości określeniami o długiej tradycji. Funkcjonowały w języku polskim już w latach 30. XX w., a jako pierwszy użył ich w publikacjach prof. Michał Siedlecki – protozoolog zajmujący się m.in. biologią morza, zamordowany w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Zostały one następnie utrwalone w klasycznych opracowaniach, takich jak „Polskie nazewnictwo zoologiczne. Ssaki” (Anonymus 1968) oraz „Mały słownik zoologiczny. Ssaki” (1973) pod redakcją prof. Kazimierza Kowalskiego.

Autorzy artykułu zdają się nie rozumieć różnicy między systematyką, etymologią a nazewnictwem wernakularnym. Krytykują rozróżnianie nazw takich jak „mysz” (rodzaj *Mus*) i „myszarka” (rodzaj *Apodemus*), sugerując, że wprowadza ono zamęt i jest zbędne dla odbiorcy. Tymczasem odrębność tych rodzajów była podkreślana przez wybitnych polskich teriologów już kilkadziesiąt lat temu. Dr Andrzej L. Ruprecht z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży

eprasa.pl 22434338fa



wielokrotnie zwracał uwagę na fakt, że gryzonie z rodzaju *Apodemus* nie są „myszami" w sensie biologicznym.

Rozróżnienia tego typu funkcjonują powszechnie w wielu językach i nie są traktowane jako problem, lecz jako narzędzie porządkowania wiedzy o różnorodności biologicznej. Nazwa „świnka morska" (rodzaj *Cavia*) była zmieniana wielokrotnie. W wielu opracowaniach pojawiają się takie nazwy jak kawie, świnki, skowyki, morświnki, a teraz znowu są kawie. Warto wspomnieć, że nazwę „kawia" pierwszy zaproponował Stanisław Bonifacy Jundziłł w 1807 r.

Anachroniczne podejście

Wbrew sugestiom autorów artykułu proces tworzenia i aktualizowania nazw wernakularnych nie jest polską osobliwością ani lokalną fanaberią. To standardowa praktyka międzynarodowa realizowana w sposób systematyczny i zespołowy. Zaktualizowane listy nazw w językach niemieckim, angielskim, hiszpańskim i francuskim zostały opublikowane m.in. w „Illustrated Checklist of the Mammals of the World" (2020). We wrześniu 2025 r. ukazało się także nazewnictwo ssaków świata w języku bułgarskim. Nazwy wernakularne traktowane są jak niezbędne narzędzie komunikacji, edukacji i popularyzacji wiedzy biologicznej.

Aktualnie opisanych jest ponad 6,4 tys. gatunków ssaków, a liczba ta systematycznie rośnie wraz z postępem badań molekularnych i rewizji systematycznych. W tej skali uzupełnianie i porządkowanie nazw wernakularnych nie jest „mnożeniem bytów", lecz naturalną konsekwencją wzrostu wiedzy o bioróżnorodności. Polega na systematycznym uzupełnianiu luk tam, gdzie wcześniej nazw krajowych nie było. Fakt, że w starszych opracowaniach wiele gatunków pozostawało bez nazw polskich, wynikał nie z zasady metodologicznej, lecz z ograniczonego dostępu do okazów, wiedzy i kontaktu z fauną pozaeuropejską. Dzisiejsza skala poznania świata przyrody czyni takie podejście anachronicznym.

Autorzy artykułu całkowicie pomijają fakt, że nazwy zwyczajowe odgrywają dziś kluczową rolę nie tylko w edukacji szkolnej, lecz także w ochronie przyrody, komunikacji społecznej, działalności organizacji pozarządowych, turystyce przyrodniczej oraz debacie publicznej. Ludzie chcą nazywać organizmy w języku, którym posługują się na co dzień. Oczekiwanie, że użytkownicy przyrody będą posługiwać się wyłącznie nazwami łacińskimi, jest nie tylko nierealistyczne, ale i sprzeczne z praktyką stosowaną w innych dziedzinach biologii oraz medycyny.

Odnosząc się do zapowiedzi skierowania sprawy do Rady Języka Polskiego, trudno nie zadać pytania, czego właściwie miałaby ona dotyczyć. Nazwy wernakularne w przypadku świata ożywionego nie są przedmiotem normatywnego rozstrzygania w sensie językoznawczym. Warto przypomnieć, że polskie nazewnictwo ptaków – jako pierwsze z nowoczesnych opracowań tego typu – było konsultowane z językoznawcami, w tym z wybitnym znawcą onomastyki, słowotwórstwa i dawnej polszczyzny prof. Januszem Strutyńskim. Jednym z kluczowych wniosków było uznanie nazw wernakularnych organizmów za nazwy własne, a więc za pełnoprawne elementy systemu języka.

Autorów artykułu w POLITYCE gorąco zachęcamy do zapoznania się przynajmniej ze wstępem „Polskiego nazewnictwa ssaków świata", publikacji Muzeum i Instytut Zoologii PAN z 2015 r., której jesteśmy autorami. Jej lektura pozwoliłaby uniknąć wielu nieporozumień i błędów obecnych w omawianym tekście. Ze względu na ograniczoną objętość odpowiedzi nie możemy się do nich wszystkich odnieść.

Nietrafione uproszczenia

Warto spojrzeć na ten spór szerzej – nie tylko jako na techniczną dyskusję o systematyce, lecz także jako na pytanie o rolę języka w opisie świata. Nazwy wernakularne nie są konkurencją dla nomenklatury naukowej ani jej uproszczoną wersją. Są elementem języka, kultury i komunikacji społecznej, a ich funkcjonowanie obok nazw łacińskich jest standardem w nowoczesnych społeczeństwach. W polskiej tradycji nie jest to myśl nowa ani kontrowersyjna.

Już w XVI w. Mikołaj Rej świadomie opisywał świat przyrody po polsku, nie widząc w tym zagrożenia dla rzetelności opisu, lecz jego naturalne dopełnienie. Trudno uznać, że to, co było fundamentem nowoczesnej polskiej kultury, miałoby dziś stać się przejawem „nadgorliwości" czy nieporządku. Dlatego warto, by w dyskusji o nazwach zwierząt i roślin brać pod uwagę fakty, znajomość tradycji oraz realiów współczesnej nauki, a nie sugestywne, lecz nietrafione uproszczenia, wynikające z braku znajomości podstawowej literatury przedmiotu. Spór o nazwy nie jest bowiem sporem o słowa, lecz o to, jak chcemy mówić o świecie, który poznajemy, chronimy i przekazujemy kolejnym pokoleniom.

DR **JAN CICHOCKI**,
UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI
PROF. DR HAB. **WIESŁAW BOGDANOWICZ**,
MUZEUM I INSTYTUT ZOOLOGII PAN
MGR **WŁODZIMIERZ CICHOCKI**,
EMERYTOWANY PRACOWNIK
MUZEUM TATRZAŃSKIEGO
IM. DR. TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO
W ZAKOPANEM
MGR **PAWEŁ MIELCZAREK**,
EMERYTOWANY PRACOWNIK
UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
DR **AGNIESZKA WAŻNA**,
UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI

Od redakcji – dalszą dyskusję o nazewnictwie przenosimy na łamy portalu naukowego POLITYKI: **projektpulsar.pl**

© POLITYKA

eprasa.pl 22434338fa



Załoga Challengera. Nauczycielka Christa McAuliffe stoi z lewej strony. Poniżej: **tuż po starcie.**

Gorączka startu



Na marzec NASA planuje misję Artemis 2. Pada na nią cień katastrofy wahadłowca Challenger, który 40 lat temu wzniósł się z tej samej platformy startowej i rozpadł na oczach świata.

MARCIN ŻYŁA

Ostatni poniedziałek stycznia 1986 r. był w USA mroźny do szpiku kości. W ośmiu stanach zamknięto szkoły. Śniegiem sypnęło nawet w Atlancie. Na Florydzie chłód zagroził uprawom cytrusów. Większości nie zdążono jeszcze zebrać.

Zmartwieni plantatorzy migali za szybami aut inżynierów, których wieczorem wezwano na pilną telekonferencję do Centrum Lotów

eprasa.pl 22434338fa

Kosmicznych im. Kennedy'ego. Oni też byli w nerwach. Kierownictwo NASA czekało na ich zgodę na zaplanowany nazajutrz start. Dziesiąta podróż Challengera – jednego z czterech wahadłowców, które dotąd wykonały już 24 loty na orbitę – wydawała się rutynowa.

Jednak ten start miał być wyjątkowy. W szkołach całego kraju miały go oglądać na żywo dzieci.

Kosmos dla każdego

40 lat temu roześmianą twarz 37-letniej Christy McAuliffe – którą wybrano w programie „Nauczyciel w kosmosie" i ekspresowo wyszkolono na astronautkę – znali w Stanach Zjednoczonych prawie wszyscy. Miała poprowadzić pierwsze w dziejach lekcje z orbity. Ale dla administracji prezydenta Ronalda Reagana ważniejszy był przekaz, że w kosmos może lecieć każdy.

Po kryzysach ery Jimmy'ego Cartera wahadłowce – czyli przypominające samoloty pojazdy kosmiczne, z których, inaczej niż z kapsuł programu Apollo, korzystano wielokrotnie – udowodniły światu, że USA są ciągle potęgą w technologii. Astronauci umieszczali na orbicie nowe satelity, przechwytywali te uszkodzone, eksperymentowali w specjalnie zaprojektowanym laboratorium. Challenger wyniósł w kosmos pierwszą Amerykankę. To z jego pokładu wykonano znaną fotografię astronauty unoszącego się swobodnie z plecakiem odrzutowym w przestrzeni kosmicznej.

„It's morning again in America" (W Ameryce znów jest rano) – hasło ze spotu wyborczego Reagana, wybranego w 1984 r. na drugą kadencję, miało przywodzić na myśl spokój i stabilność. Coraz bardziej dbająca o wizerunek NASA już wcześniej planowała wysłanie na orbitę cywila – dziennikarza lub polityka. Ale Biały Dom zdecydował, że pierwszy ma lecieć ktoś spoza establishmentu. Nauczyciel, który pewnego poranka zamiast w szkole, pouczyłby z kosmosu, świetnie się nadawał do wizji „zwykłej niezwykłej Ameryki".

Wątpliwe, by tamtego wieczoru Roger Boisjoly, biorący udział w telekonferencji inżynier firmy Morton Thiokol, zaprzątał sobie głowę pomysłami Reagana. Martwiło go coś innego – jeden z dwóch i pół miliona elementów wahadłowca.

Zawodny pierścień

Gumowy pierścień o obwodzie 12 m i średnicy 8 mm uszczelniał miejsca łączeń segmentów dwóch pomocniczych rakiet nośnych, które odpalano w chwili startu. Przez dwie pierwsze minuty lotu pomagały one silnikom wahadłowca pokonać ziemskie przyciąganie. Działały jak fajerwerki – po uruchomieniu nie można było ich zatrzymać.

Boisjoly i jego koledzy kilkakrotnie oglądali zużyte pierścienie z rakiet wyławianych z oceanu po poprzednich startach. Wiedzieli, że pod wpływem płonącego gazu czasem niespodziewanie się odkształcały. Choć nigdy nie doszło do wycieku gazu przez złącze, było jasne, że materiał, z którego wykonano uszczelki, wyjątkowo źle reagował na mróz. W przeddzień startu Challengera z elementów wieży startowej zwisały sople lodu.

Na to, co wydarzyło się podczas tamtej telekonferencji – usilne nalegania kilku inżynierów, aby odwołać start, sprzeciw kierownictwa lotu oraz ostateczną rekomendację podpisaną przez przedstawiciela Morton Thiokol, producenta rakiet pomocniczych – psychologia społeczna ukuła sformułowanie „gorączka startu". Opisuje ono tendencję ludzi do nadmiernego angażowania się w uprzednio obrany kierunek działania – zwłaszcza jeśli wcześniej zainwestowali w niego czas lub pieniądze.

Wtedy Boisjoly o tym nie wiedział. Po zakończeniu dyskusji nie mógł uwierzyć, że NASA zezwoliła na lot. I wciąż liczył, że do niego nie dojdzie. Nie on jeden. „Dziś chyba nie wystartujemy" – powiedział rano przez telefon swojej matce Michael J. Smith, pilot Challengera – po czym ponownie poprosił ją o sprawdzenie prognozy pogody.

Odliczania jednak nie przerwano.

Granice ryzyka

Dwadzieścia minut przed południem 28 stycznia 1986 r. zespół wahadłowca Challenger – na który oprócz pojazdu z astronautami składały się zewnętrzny zbiornik paliwa i dwie rakiety pomocnicze – rozpadł się w 73. sekundzie lotu. Zginęła cała siedmioosobowa załoga. Obok katastrofy bliźniaczej Columbii, która kilkanaście lat później została rozerwana podczas wejścia w atmosferę, jest to do dziś najtragiczniejszy wypadek w historii astronautyki.

– *Doszło do niego w efekcie zjawiska, które socjologowie nazywają „normalizacją odchyleń"* – mówi Adam Higginbotham, autor niedawno wydanej w Polsce książki „Katastrofa Challengera. Historia bohaterstwa i dramatu na krawędzi kosmosu". – *Polega ono na tym, że ludzie pracujący ze skomplikowaną technologią z czasem zaczynają odchodzić od sztywnych zasad bezpieczeństwa. Jeśli nie zdarzy się poważna katastrofa, coraz bardziej poszerzają granice tzw. dopuszczalnego ryzyka. Aż w końcu działają w sposób, który wcześniej sami uznaliby za niebezpieczny.*

Richard Feynman – fizyk i noblista, który wszedł w skład komisji prezydenckiej powołanej do zbadania wypadku wahadłowca – porównał to zjawisko do człowieka grającego w rosyjską ruletkę, który przykłada rewolwer do skroni i pociąga za spust. A gdy broń nie wypala, błędnie konkluduje: „Skoro nic się nie stało, mogę to zrobić jeszcze raz".

– *Rzecz w tym, że na prawdopodobieństwo katastrofy nie ma wpływu to, że jakieś ryzykowne działanie jeszcze do niej nie doprowadziło. Kilka miesięcy po Challengerze, w odmiennych warunkach politycznych, podobny mechanizm doprowadził do awarii w elektrowni atomowej w Czarnobylu* – dodaje Higginbotham.

Komisja szybko ustaliła bezpośrednią przyczynę katastrofy. Była nią powstała na skutek działania ujemnych temperatur deformacja uszczelki – dokładnie to, co od miesięcy martwiło niektórych inżynierów z Morton Thiokol. Feynman zademonstrował to przed kamerami: materiał, z którego wykonano feralne pierścienie, włożył do pojemnika z lodem.

Dochodzenie ujawniło częste ignorowanie opinii inżynierów przez menedżerów w NASA oraz współpracujących z agencją firmach. Wskazało na ryzyko związane też z minimalizowaniem kosztów za wszelką cenę. Jego symbolem było spotkanie Feynmana i Boisjoly'ego, który zeznawał jako świadek. Wykładowca z Kalifornijskiego Instytutu Technicznego, uczelni od lat kształcącej kadry NASA – oraz inżynier, który podczas przesłuchania otwarcie skrytykował kulturę pracy w swojej firmie. Żaden z nich nie mógł się pogodzić z faktem, że w Ameryce kończy się era inżynierów.

Gdy kilkanaście lat wcześniej w pożarze kabiny na platformie startowej zginęła trzyosobowa załoga misji Apollo 1, w bardzo amerykańskim duchu tragedię przekuto na determinację – dwa lata później człowiek wylądował na Księżycu. Ale przełom ▶

© NASA, BETTMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 22434338fa

▶ lat 70. i 80., gdy debiutowały wahadłowce, to już inne czasy. Dla kierownictwa NASA do wymagań technologicznych i tych związanych z bezpieczeństwem doszła konieczność zabiegania o finansowanie w Kongresie. Loty wahadłowców odbywały się w reżimie walki o pieniądze na kolejne programy. Agencja oczekiwała częstych startów.

Według Adama Higginbothama latające do 2011 r. wahadłowce były najbardziej złożonymi maszynami, jakie kiedykolwiek zbudowano. Dopiero po utracie Challengera NASA przyznała, że prawdopodobieństwo katastrofy nie wynosiło, jak utrzymywała wcześniej, jeden do stu tysięcy. Było tysiąc razy większe.

Po wystąpieniu przed komisją Rogera Boisjoly'ego spotkał w firmie ostracyzm. Wielu kolegów uznało go za nielojalnego. Został odsunięty od projektów kosmicznych, popadł w depresję.

Katastrofa z MTV

Po latach okazało się, że katastrofa Challengera największe piętno odcisnęła na masowej wyobraźni. Dla Amerykanów z pokolenia X – urodzonych między połową lat 60. i początkiem lat 80. – obrazy smug kondensacyjnych na błękitnym niebie Florydy stały się jedną z ikon ery Reagana – obok walkmana, reklam Benettona czy zdobywających w tym okresie popularność płyt kompaktowych. Wielu z nich do dziś twierdzi, że oglądało wypadek na żywo – co, zważywszy na ograniczony jeszcze wtedy zasięg CNN, nie zawsze jest prawdą.



Moneta upamiętniająca tragedię wahadłowca

– *Na długo przed utratą Challengera wahadłowce stały się ikoną nowoczesnej Ameryki. Gdy w 1981 r. startowało MTV, pierwszym obrazem, jaki pokazało w czołówce, był start wahadłowca* – mówi Adam Higginbotham. – *Udane starty pozwoliły administracji Reagana mówić o powrocie amerykańskiej potęgi technologicznej. To jeden z powodów, dlaczego rozpadnięcie się wahadłowca tak utkwiło w masowej świadomości Amerykanów.*

Co więcej, z perspektywy lat okazało się, że katastrofa Challengera symbolicznie zakończyła krótki okres odprężenia z początku drugiej kadencji Reagana. W 1985 r. w ZSRR władzę przejął Gorbaczow. Zaczęła się pierestrojka i negocjacje w sprawie redukcji broni nuklearnej. Trwał najlepszy okres amerykańskiej popkultury: w kinie leciał „Powrót do przyszłości", w radiu „Born in the USA" Bruce'a Springsteena. Singiel „We Are the World", tyleż wzruszająca, co naiwna próba uczynienia świata lepszym przez gwiazdy pop, był numerem jeden na liście przebojów kilka miesięcy przed katastrofą Challengera.

Także dlatego – choć przyczyną wypadku były błędy ludzkie – w wyobraźni wypadek Challengera rozpoczął złą passę roku 1986, który światu przyniósł jeszcze awarię w Czarnobylu oraz coraz bardziej niepokojące doniesienia o dziurze ozonowej i nowym wirusie HIV. Wraz z Challengerem do historii przeszedł amerykański „zwykły poranek" ze spotu Reagana.

Późniejszej katastrofy Columbii nie zapamiętano już tak dobrze. – *W 1986 r. nikt nie mógł pojąć, że coś takiego może się wydarzyć na żywo w telewizji* – mówi Adam Higginbotham. – *Gdy w 2003 r. zniszczeniu uległa Columbia, byliśmy bardziej uodpornieni na takie tragedie. Półtora roku wcześniej Al-Kaida zaatakowała Amerykę. Trauma po 11 września była tak świeża, że przyćmiła emocje po kolejnym wypadku wahadłowca.*

Dzieci Challengera

Szok po katastrofie był punktowy. Za sprawą Christy McAuliffe dotyczył przede wszystkim dzieci. Według psychologów ponad miesiąc po wypadku aż 44 proc. najmłodszych Amerykanów co najmniej raz narysowało rozpadający się wahadłowiec. Długofalowe skutki traumy wywołanej oglądaniem w telewizji śmierci pierwszej „nauczycielki w kosmosie" naukowcy szacują do dziś.

Katastrofę wahadłowca mogli w swoich szkołach oglądać Reid Wiseman, Victor Glover, Christina Koch i Jeremy Hansen. Czworo na razie słabo rozpoznawalnych z nazwisk astronautów, którzy niedługo – może już w pierwszej połowie marca – wystartują w ramach misji Artemis 2 do pierwszego od ponad pół wieku lotu w okolice Księżyca.

Wtedy mieli między 7 a 11 lat. 17 stycznia ich rakietę ustawiono na platformie startowej 39B – tej samej, z której do ostatniego lotu wzniósł się Challenger. W nieco innych nastrojach niż za optymistycznego Reagana – w cieniu Donalda Trumpa i amerykańskich pretensji o Grenlandię – ludzkość rozpoczyna nowy, ryzykowny projekt kosmiczny.

Pytanie brzmi: czy jest gotowa to ryzyko podjąć. – *Challenger na zawsze zmienił sposób myślenia o lotach kosmicznych. W styczniu 1986 r. przestały być one dla nas czystą przygodą. Bardziej niż wcześniej zaczęliśmy sobie uświadamiać, że wiążą się z ryzykiem* – mówi Adam Higginbotham. – *Z drugiej strony podobnie jak w erze wahadłowców, współczesne media przedstawiają te podróże jako niemal rutynowe.*

A co z polityką? Na razie NASA jak ognia unika pytań o nią. Na konferencji prasowej załoga misji Artemis 2 powtarzała, jak ważna jest współpraca między naukowcami i inżynierami z całego świata.

Dedykacja Jarre'a

Wśród zdjęć i filmów zapamiętanych z 28 stycznia 1986 r. brakuje jednego kadru. Nie pasował do nagłej, spektakularnej tragedii. Nie zmieściły się na nim chmury dymu po rozpadnięciu się wahadłowca, podziw i przerażenie na twarzach świadków, niedowierzanie w oczach kontrolerów z Houston.

Na tym zdjęciu, wykonanym z pewnej odległości, ostatni start Challengera płoszy stado ptaków, które rozlatują się na wszystkie strony. 133 tony metalu, paliwa, gazów, a gdzieś w tym siedmioro ludzi, 70 sekund przed śmiercią. I zwierzęta uciekające przed ogniem.

Właśnie to ujęcie najbardziej pasuje do jednego z utworów Jeana-Michela Jarre'a. Francuski artysta, gwiazda muzyki elektronicznej lat 80., umówił się na wspólne, synchroniczne *jam session* z Ronaldem McNairem, muzykiem amatorem i astronautą z Challengera. McNair, bez wiedzy NASA, już raz przemycił na orbitę saksofon. Drugi raz się nie udało. Trzy miesiące po katastrofie Jarre zadedykował astronaucie jeden z utworów z nowej płyty. Nosi tytuł „Dernier rendez-vous". Ostatnie spotkanie.

MARCIN ŻYŁA

© UIG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 22434338fa

Pakt z diabłami



20 lat temu Jarosław Kaczyński zawarł z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin słynny tzw. pakt stabilizacyjny, żeby nie nazywać tego koalicją rządzącą, bo tej, w takim składzie, się wstydził. Czy w 2027 r. może powtórzyć podobny manewr z Mentzenem i Braunem?

RAFAŁ KALUKIN

Był czwartek 2 lutego 2006 r., mniejszościowy rząd Kazimierza Marcinkiewicza wchodził w czwarty miesiąc swojej chybotliwej egzystencji. Ale wszystkie reflektory skierowane były na Jarosława Kaczyńskiego, który próbował ratować grzęznący w sporach projekt IV RP. Scenariuszy miał do wyboru kilka, ale zwłaszcza jeden budził ogromne emocje opinii publicznej.

Negocjacje PiS z Samoobroną i LPR trwały od jakiegoś czasu, ale wciąż nie dowierzano, że Kaczyński zdecyduje się na trwały układ z partnerami o tak marnej reputacji. Do tej pory jedynie korzystał z ich głosów, niczego nie dając w zamian. Można więc było podejrzewać, że to z jego strony kolejny blef, gra na zwłokę, robienie zasłony dymnej. Toteż zapowiedź podpisania „paktu stabilizacyjnego" postawiła tamtego ranka na nogi całą klasę polityczną. Uroczystość zapowiedziano na godz. 17.30 w sejmowej sali 106. Dziennikarze przybyli tłumnie, bo obraz Kaczyńskiego przekraczającego Rubikon był na wagę złota.

Początek ceremonii jednak odwlekano, a organizatorzy wydawali się zmieszani. Nagle w zniecierpliwionej dziennikarskiej ciżbie padło zaskakujące pytanie: „To wy nic nie wiecie? Przecież oni już podpisali!". Konsternacja, ale po chwili wszystko się wyjaśniło. Faktycznie pakt już zawarty, tyle że można to było obejrzeć wyłącznie w TV Trwam, a reszcie mediów zaoferowano popłuczyny w postaci konferencji prasowej z udziałem sygnatariuszy.

Dziennikarzom skoczyło ciśnienie. Ogłosili bojkot. Kamery i mikrofony wylądowały na podłodze. Pojawił się poseł PiS Marek Suski, który próbował pouczać, że na wiarygodność trzeba sobie zasłużyć, czym dolał oliwy do ognia. Kierownictwo PiS ostatecznie uznało, że należy załagodzić konflikt. Zaaranżowano więc ponowne podpisywanie paktu przez Jarosława Kaczyńskiego i jego nowych politycznych przyjaciół Andrzeja Leppera i Romana Giertycha. I tak izolujący populistów kordon sanitarny pękł z hukiem.

Dojrzewanie do moheru

Ostentacyjne uprzywilejowanie niszowej stacji Tadeusza Rydzyka nie mieściło się w ówczesnym modelu kultury politycznej. Był to pierwszy precedens dzielenia mediów na służące władzy i wrogie, co dzisiaj stanowi normę. Nieprzypadkowo Kaczyński wykonał taki gest akurat pod adresem redemptorysty z Torunia. Rydzyk był głównym orędownikiem rodzącego się nowego układu politycznego.

Do tej pory patronował skrajnym ruchom narodowo-katolickim, z których w 2001 r. udało się wypłynąć na szersze wody jedynie Lidze Polskich Rodzin kierowanej przez Romana Giertycha. Jej radykalizm nie dawał jednak nadziei na realną władzę, co zakonnika z żyłką do interesów na pewno uwierało. Co innego PiS z jego solidarnościowym szlachectwem, dostępem do wielkich mediów i świeżo ustrzelonym wyborczym dubletem (prezydentura i Sejm). O takiego partnera warto było zabiegać.

Rzecz w tym, że postsolidarnościowa prawica miała z Rydzykiem problem. Radio Maryja brzydko kojarzyło się z antysemityzmem, tajemniczymi nadajnikami w Rosji, podejrzanymi machinacjami finansowymi. Stosunek do niego dzielił biskupów, co też miało znaczenie. Poza tym Rydzyk miał spore zasługi w rozwaleniu AWS, bo sterowani przez niego posłowie prawie zawsze głosowali na opak. Ponieważ jednak wywierał ogromny wpływ na poglądy swoich słuchaczy, nikt z prawicy nie chciał podpaść ojcu dyrektorowi.

Ukształtował się zatem swoisty kanon poprawności. W pierwszej kolejności należało zawsze docenić Radio Maryja za misję ewangelizacji, a dopiero w drugiej dyskretnie dystansowano się od politycznego radykalizmu rozgłośni. Jedynie szef ▶

© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 22434338fa

▶ „Gazety Polskiej" Piotr Wierzbicki nie owijał w bawełnę, lansując teorię dwóch wrogów i pozycjonując własne pismo „między Rydzykiem i Michnikiem". Ale on nie był politykiem i nie musiał liczyć głosów.

Jarosław Kaczyński z pewnością łakomie patrzył na kilkumilionową „rodzinę" Radia Maryja. Żyli jednak w trochę innych światach, nawet jeśli Rydzykowi od czasu do czasu zdarzało się zaprosić jakiegoś pisowca do audycji. W ówczesnym PiS nie wypadało mimo wszystko tropić masonów albo podważać teorii ewolucji. A już szczególnie dla braci Kaczyńskich, wychowanych w kulcie Piłsudskiego i niechęci wobec tradycji endeckiej, taki obskurantyzm musiał być naprawdę obmierzły.

Klimat epoki

Lody zostały przełamane w kampanii prezydenckiej 2005 r., kiedy Rydzyk ogłosił hasło „zatopić Platformę", po czym oficjalnie poparł Lecha Kaczyńskiego w jego rywalizacji z Donaldem Tuskiem. Był to ważny gest na drodze do unicestwienia dominującego wówczas przekonania o trwałości POPiS-owej wspólnoty. Już po wyborach lider PO dołożył swoje trzy grosze, kiedy z trybuny sejmowej nazwał ów nieformalny jeszcze sojusz „moherową koalicją". Zagotowało się po prawej stronie, która zarzuciła Tuskowi pogardę dla prostego ludu (i tak już zostanie...). Medialni celebryci z Janem Pospieszalskim na czele pozowali do zdjęć w moherowych beretach i nagle Radio Maryja stało się modne, zbliżając PiS do radykalnej prawicy.

Trudniej było uzasadnić Kaczyńskiemu współpracę z Samoobroną. „Jest tworem byłych oficerów służb bezpieczeństwa (...). To formacja używana do ochrony tyłów tego całego układu (...). To są ludzie, którzy nabrali kredytów i chcą żyć jak przedsiębiorcy, a nadają się do kopania rowów" – mówił o formacji Leppera raptem dwa lata wcześniej. Nieraz oskarżał ją również o powiązania z Rosją. Chociaż najbardziej zapadły w społeczną pamięć słowa Ludwika Dorna o „brudnej wycieraczce Leszka Millera".

W swojej biografii prezesa PiS Piotr Zaremba opisuje scenę z sejmowego korytarza z 1993 r. Pod oknami demonstrowała Samoobrona, miotając zepsutym mięsem i kośćmi. A w oknie pojawił się Kaczyński i przyjaźnie machał wściekłej tłuszczy. Na pytanie, dlaczego to robi, odparł: „Pozdrawiam swoich wyborców, choć oni o tym jeszcze nie wiedzą".

Tyle że w latach 90. Kaczyński nie był gotowy do poważnego romansu z „ludem". Obawiał się jego destrukcyjnych popędów. Dostrzegał ból transformacji, ale nie kwestionował jego źródeł, czyli trudnych ekonomicznych reform. To go różniło od radykalniejszej prawicy Jana Olszewskiego i Antoniego Macierewicza oraz związkowych watażków w rodzaju Andrzeja Leppera bądź Zygmunta Wrzodaka.

Stając w kolejnej dekadzie na czele PiS, chętniej flirtował z populizmem, chociaż wciąż nie był to populizm socjalny. Kaczyński nie interesował się zresztą gospodarką i nie miał ludzi, którzy by się na niej znali. Pisanie programu ekonomicznego na wybory 2005 r. powierzył posłowi z trzeciego szeregu, którego nazwisko nic nie mówiło opinii publicznej. To liberalna Platforma monopolizowała ten obszar, podczas gdy PiS był partią jednego tematu: wielkiej rozprawy z „postkomunizmem", rozbicia „układu", budowania „IV RP".

Ale taki był klimat epoki. Afera Rywina wywindowała uczciwość do rangi cnoty naczelnej w polityce. Zbliżając do siebie formacje Tuska i Kaczyńskiego jako spadkobierców świata solidarnościowego, którzy ślubują wspólnie przywrócić ład moralny. Najpierw należało jednak zakończyć skorumpowane rządy Millera, a przy okazji pozbyć się jego „brudnej wycieraczki".

Koalicja, której nie było

Cała konstrukcja pękła, kiedy we wrześniu 2005 r. wycofał się z kampanii prezydenckiej kandydat SLD Włodzimierz Cimoszewicz. Został skutecznie ogłuszony zaaranżowaną przez PO intrygą i nagle zagrożenie „postkomunizmem" zniknęło. Spośród liczących się kandydatów w rywalizacji o pałac pozostali już tylko Donald Tusk i Lech Kaczyński.

Do tej pory jako ideowi sojusznicy co najwyżej licytowali się w antykomunistycznej solenności. Tusk zresztą sądził, że tak już pozostanie do końca. Nie musiał niczego zmieniać, prowadził wyraźnie i poczuł się pewniakiem. To Kaczyński musiał znaleźć sposób, żeby uwypuklić dzielące ich różnice. Doradcy Michał Kamiński i Adam Bielan zaproponowali, żeby uderzyć w liberalny program Tuska, który lansował projekt podatku liniowego. Trzeba to było jednak jakoś na nowo uzasadnić. Ogłoszono więc, że Polska będzie się odtąd dzielić na solidarną i liberalną.

Kandydat PO został ugodzony pomysłowym spotem z lodówką pustoszejącą po wprowadzeniu podatkowej reformy. I nagle to PiS zaczął łapać wiatr w żagle, niespodziewanie wygrywając 25 września wybory parlamentarne. Dwa tygodnie później Tusk jeszcze zdołał wyprzedzić Kaczyńskiego w pierwszej turze prezydenckich, chociaż zbierały się nad nim ciemne chmury. Najwięcej bowiem zależało od 15 proc. wyborców trzeciego na mecie Leppera...

A ten właśnie wyczuł szansę na wyjście z izolacji i sam zgłosił akces do Polski solidarnej. Do tej pory miał status trędowatego, którego należy omijać. Kaczyńscy nie dziękowali jakoś specjalnie wylewnie, ale poparcia nie odrzucili. To Tusk w debacie telewizyjnej nerwowo odmieniał nazwisko watażki przez wszystkie przypadki, czym dodatkowo sobie szkodził, bo nie przyswoił jeszcze zasady, że nie wolno utożsamiać skompromitowanych polityków z ich wyborcami. Najpierw przegrał debatę, a potem wybory.

I tak nastał jeden z dziwniejszych okresów polskiej polityki po 1989 r. Cała Polska wciąż miała wdrukowane przekonanie o nieodzowności koalicji PO-PiS. A zarazem jej powstanie byłoby wbrew prawom politycznej grawitacji. Gdyby to Platforma wygrała obie elekcje, nie byłoby problemu. Taki był układ domyślny, który Kaczyńscy akceptowali. Jeszcze lepiej, gdyby podzielono się pałacami i zapanowałaby równowaga. Ale po podwójnej wiktorii Prawa i Sprawiedliwości nie było już szans na wielką koalicję.

Bo jesienią 2005 r. Tusk wiedział coś, czego nie wiedzieli jeszcze Lepper z Giertychem, a dekadę później zbagatelizowali Jarosław Gowin i Zbigniew Ziobro. Że z Kaczyńskimi nie wolno wchodzić w układ, będąc słabszym partnerem. Platforma przećwiczyła to w Warszawie w latach 2002–05, wspierając stołeczną prezydenturę Lecha Kaczyńskiego. Ten zaś obsesyjnie skupił się na tropieniu „układu warszawskiego", zasypując prokuraturę setkami zawiadomień o przestępstwach rzekomo popełnionych przez środowisko jednego z liderów PO Pawła Piskorskiego.

Obolały Tusk nie chciał powtarzać tamtego błędu. Pozorował więc negocjacje z PiS, stawiając zaporowe warunki. Kaczyńskiemu bardziej zależało na koalicji,

eprasa.pl 22434338fa

chociaż na własnych zasadach. Nieprzypadkowo desygnował na premiera umiarkowanego Kazimierza Marcinkiewicza, który grał rolę wabika. Gotowy był nawet wspaniałomyślnie oddać Platformie marszałka Sejmu i połowę stanowisk w rządzie. Tyle że bez choćby jednego resortu siłowego, co podsycało nieufność Tuska.

Apetyt rośnie

10 października 2005 r. Sejm głosował wotum zaufania dla wciąż mniejszościowego rządu Marcinkiewicza. Kaczyński liczył na głosy Samoobrony i LPR, chociaż – nie mając jeszcze docelowego planu – niczego konkretnego im nie obiecywał. Z rana odwiedził go Lepper i oświadczył, że wciąż się waha.



Sejm 2006 r., dziennikarze bojkotują konferencję w sprawie „paktu stabilizacyjnego". Pakt został podpisany bez udziału niezależnych mediów, był transmitowany jedynie przez Telewizję Trwam.

© WITOLD ROZBICKI/REPORTER

Prezes PiS wygłosił tamtego dnia jedno z najbardziej zuchwałych wystąpień w swojej karierze, w którym podjął próbę przesunięcia osi podziału. Nagle okazało się, że to Platforma jest „wycieraczką" SLD. Że to źli liberałowie od samego początku III RP ochraniali „stolik do brydża", przy którym łupią Polskę agenci, gangsterzy, oligarchowie i skorumpowani politycy. Jednocześnie Kaczyński zrehabilitował „projekty radykalne", o których mówił, że „odnoszą się do polskiej rzeczywistości" i „opisują realne problemy społeczne". I dlatego zasługują na szansę w poważnej polityce, tylko muszą do tego dojrzeć. Rybka połknęła haczyk, wotum zostało uchwalone. A niedługo później nowy układ zostanie jeszcze scementowany podziałem łupów w mediach publicznych.

Tyle że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Jeszcze w październiku Lepper chełpił się przed Tuskiem: „Myśleliście, że barbarzyńcy zostali pokonani, a to barbarzyńcy pokonali was!". W grudniu jego zausznik Ryszard Czarnecki ogłaszał: „Kończymy okres romantyczny i zaczynamy pragmatyczny. Romans nie może trwać w nieskończoność". Samoobrona chciała normalnej koalicji, czyli stanowisk. Tak samo LPR, a do tego Giertych spłatał Kaczyńskiemu okrutnego psikusa, namawiając Tuska do przepchnięcia w Sejmie powszechnego „becikowego". Wbrew rządowi, który akurat dopinał budżet i liczył wydatki.

Kaczyński już nie miał złudzeń, że Tusk da się kiedyś przekonać do koalicji z PiS. Ale wciąż miał silne atuty. Marcinkiewicz okazał się popularny, słupki PiS poszły w górę o 10–15 proc. Podjął więc próbę rozbicia Platformy, zapraszając do rządu Zytę Gilowską. Nowa wicepremierka była co prawda skrajnie liberalną ekonomistką i słabo pasowała do Polski Solidarnej, ale za to cieszyła się sympatią w PO. Wypchnięta pół roku wcześniej przez Tuska budziła współczucie jako jego ofiara. Kaczyński liczył, że pójdą za nią inni. Jego wysłannicy mamili stanowiskami kolejnych ważnych polityków Platformy Jacka Saryusza-Wolskiego i Jana Rokitę. Ten ostatni miał nawet usłyszeć, że może sobie wybrać dowolne stanowisko poza prezydentem i prezesem PiS. Ale Gilowska już nie znalazła naśladowców.

Od romansu do zaślubin

Testował więc Kaczyński kolejny scenariusz. Opóźniając uchwalenie budżetu i manipulując konstytucyjną wykładnią, PiS twierdził, że prezydent ma prawo rozwiązać Sejm. Część pisowskich elit z Dornem na czele przekonywała prezesa, że nowe wybory to jedyny sposób na skok do przodu i ocalenie idei IV RP. Alternatywą jest gnicie rządu mniejszościowego albo brudząca koalicja z populistami. Wszystko już było dopięte, nawet drukowały się plakaty na kampanię, kiedy prezes odwołał akcję. „A czy ty Ludwik wiesz, kto byłby twarzą tej kampanii? Marcinkiewicz!" – miał powiedzieć zaszokowanemu tym Dornowi.

I tak z puli możliwych scenariuszy pozostała już tylko „brudna" koalicja z Lepperem i Giertychem. Trzeba ją było tylko jeszcze trochę oswoić i po to był „pakt stabilizacyjny". Czyli praktycznie jednostronny układ, w którym LPR i Samoobrona zobowiązały się do popierania rządu, na razie bez konkretnych korzyści dla siebie, ale z podtekstem, że to etap przejściowy. I to właśnie tamtego dnia mosty zostały oficjalnie przerzucone ponad kordonem sanitarnym, zmieniając na zawsze logikę polskiej polityki.

Z czasem Kaczyński połknął formacje Leppera i Giertycha wraz z ich tożsamościami. Socjalny populizm pierwszego i nacjonalizm drugiego staną się dominującym rysem w PiS, któremu w obecnym kształcie znacznie bliżej do dawnych „przystawek" niż samego siebie sprzed dwóch dekad. Ale zmienił się również po przekroczeniu Rubikonu sam prezes PiS. Tak jakby wtedy uznał, że skoro już raz złamał własne zasady, one odtąd przestają obowiązywać. Czy jeśli okaże się to konieczne do odsunięcia Donalda Tuska od władzy, to przekroczy kolejną granicę i zawrze nowy pakt stabilizacyjny np. z Koroną Grzegorza Brauna? Pamiętajmy rok 2006.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 22434338fa



Ciotowskie dziady 4/6

Lubiewo według Michała Witkowskiego, reż. Jędrzej Piaskowski, Wrocławski Teatr Współczesny

Ponad dwie dekady minęły od premiery najgłośniejszej powieści Michała Witkowskiego – „Lubiewo" wyszło w 2004 r. i szturmem wzięło czytelników i krytykę obrazem wrocławskiego środowiska homoseksualnego epoki PRL, z pokątnymi spotkaniami w szaletach, polowaniami na „luja", wyprawami pod radzieckie koszary, „Wielkim Atlasem Ciot Polskich", tytułową plażą. Witkowski swoją książkę porównywał do „Dekameronu", a zbiór opowieści rozpoczynał od historii dwóch starszych mężczyzn – Patrycji i Lukrecji – wspominających z nostalgią dawne czasy i podboje. W 2011 r. w adaptacji Piotra Siekluckiego w krakowskim Teatrze Nowym brawurowo wcielili się w ich role Edward Kalisz i Paweł Sanakiewicz. We wrocławskim przedstawieniu w „ciotowski" świat wprowadzają Krzysztof Boczkowski i Tadeusz Ratuszniak. Grają relikty epoki, starszych, zdecydowanie niezamożnych panów w peruczkach i damskich kapelusikach, siedzących nad koniakiem w kawiarni Orbisu pod czujnym okiem bufetowej pani Joli – Matki Joanny od Pedałów. Scenografia jest umowna i październikowa, jak świat peerelowskich gejów, którzy „niczego nie mają. Wszystko muszą sobie dopowiedzieć, dokłamać, dozmyślać. Krótko mówiąc, doprzeginać". Dopowiadają sobie w stylu „Dynastii", przebojów Anny Jantar i urządzając ciotodramy. A dramaturg Hubert Sulima i reżyser Jędrzej Piaskowski ani przez moment nie pozwalają zapomnieć, że pod spodem pulsuje brutalna rzeczywistość – z poniżeniem, pobiciem, gwałtem i śmiercią. Jednocześnie bohaterki (grane przez aktorów obu płci) nie są wybielane, to część tamtego świata, z nowym, symbolizowanym przez grupę queerowych osób aktywistycznych, nie mają nic wspólnego. Większość scen jest obliczona na *cringe* – niewygodna, wybijająca widza z komfortu. „Lubiewo" wraca po latach do Wrocławia nie jako ciotowski „Dekameron", lecz ciotowskie „Dziady".

ANETA KYZIOŁ

serial

Kompromaty 4/6

Ponies, twórcy serii: Susanna Fogel i David Iserson, 8 odc., SkyShowtime

W nowym serialu platformy SkyShowtime Emilia Clarke, czyli Matka Smoków z „Gry o tron", jest brunetką, nazywa się Bea Grant i pracuje jako sekretarka w ambasadzie USA w Moskwie. Jest 1977 r., trwa zimna wojna. Kiedy mąż Bei – agent CIA – i jego partner giną, obie wdowy wkraczają do akcji. Tak zaczyna się to absurdalne i komiksowe, a z czasem wciągające połączenie kina szpiegowskiego i kumpelskiego (*buddy movie*) w kobiecym wydaniu. Wykształcona, opanowana i mówiąca po rosyjsku Bea oraz będąca jej przeciwieństwem Twila – grana przez Haley Lu Richardson, czyli Portię, asystentkę Tanyi w „Białym Lotosie" – łączą siły i tworzą więź. Z tytułowych *ponies* (mianem „persons of no interest" nazywa się w języku wywiadowczym osoby niewzbudzające podejrzeń) stają się agentkami na tropie wielkiego spisku. „Jest ich tyle, że pozwoliłyby Sowietom wpływać na nas przez kolejne dekady" – mówi jeden z agentów CIA na widok kaset z kompromatami. To o nie toczy się gra: KGB na masową skalę podstawia przybyszom z zagranicy piękne kobiety, rejestruje ich seksualne zabawy, a potem używa tych nagrań do szantażu. Brzmi znajomo? Kontekst sprawy Jeffreya Epsteina i medialnych spekulacji dotyczących podłoża łagodnego stosunku prezydenta Trumpa wobec Rosji nadaje tej produkcji ciężaru większego, niż wynikałby z samego scenariusza. Ten zalicza klasyczne szpiegowskie punkty: werbowanie agentów, zmiany tożsamości i pościgi, dorzucając przyjaźń i romanse. Oraz koncert Eltona Johna. AK



Od lewej: **Twila (Haley Lu Richardson) i Bea (Emilia Clarke) – wdowy na tropie spisku**

eprasa.pl 22434338fa

Totalitarny koszmar 5/6

Prawo Alabamy (The Alabama Solution), reż. Andrew Jarecki i Charlotte Kaufman, prod. USA, 115 min, HBO Max

Po obejrzeniu nominowanego do Oscara dokumentu „Prawo Alabamy" zszokowany recenzent „Variety" pisał: „To jeden z najmocniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek widziałem, demaskujący nieludzki system amerykańskiego więziennictwa". Film powstawał pięć lat i jest efektem dziennikarskiego dochodzenia w sprawie gwałtów, samobójstw i lawinowo rosnącej liczby morderstw w zakładzie karnym Easterling oraz w innych więzieniach południowo-wschodniej Alabamy. Autorzy posłużyli się materiałami nielegalnie kręconymi przez osadzonych telefonami komórkowymi, na których zostały zarejestrowane nieludzkie warunki, w jakich odsiadują kary, oraz dantejskie sceny znęcania się, torturowania, bicia przez strażników. Film odsłania systemowy charakter przemocy i tuszowania zbrodni dokonanych głównie przez przedstawicieli prawa. Sprawców nie da się pociągnąć do odpowiedzialności, bo twierdzą, że działali w samoobronie, a sędziowie bez względu na wszystko i tak trzymają ich stronę. Mają też pełne poparcie republikańskiej gubernatorki Alabamy. Chociaż brzmi to strasznie, te miejsca przypominają obozy koncentracyjne, gdzie funkcjonariusze traktują i wykorzystują osadzonych gorzej niż niewolników. Jeśli ktokolwiek jeszcze wierzy, że w Ameryce prawa człowieka są szanowane, a demokracja kwitnie, obejrzawszy ten film, przestanie mieć złudzenia.

JANUSZ WRÓBLEWSKI





Kozioł ofiarny 3/6

Samotnik (Shelter), reż. Ric Roman Waugh, prod. USA, Wielka Brytania, Kanada, 107 min, w kinach od 13 lutego

Dawno, dawno temu był sobie agent CIA uczestniczący w supertajnym programie Treadstone, którego celem było stworzenie perfekcyjnego zabójcy. Dzięki wrodzonym umiejętnościom oraz gruntownej tresurze stał się elitarnym kilerem na usługach agencji. Niestety, na skutek wypadku oraz zdrady cierpiał na amnezję, a próby ustalenia, kto go wrobił i kim właściwie jest, uczyniły go symbolem kina akcji XXI w. oraz wyrzutkiem balansującym między obowiązkiem, lojalnością a osobistymi wartościami. Mason, grany przez **Jasona Stathama** w szpiegowskim thrillerze „Samotnik", nie ma złożoności moralnej Jasona Bourne'a i wszystko doskonale pamięta, co nie znaczy, że nie działa wedle tego samego schematu. Przeszkolony przez MI6, został uznany za najlepszą broń do zabijania, ale ponieważ raz odmówił wykonania egzekucji niewinnego człowieka, to przez następne 10 lat musiał się ukrywać przed zemstą „głębokiego państwa" w latarni morskiej na jednej z bezludnych wysp Archipelagu Szetlandzkiego. „Samotnik" nie udaje, że odkrywa Amerykę, gra znaczonymi kartami najlepiej, jak potrafi, czerpiąc pełnymi garściami nie tylko ze sprawdzonych rozwiązań wspomnianej serii, ale i z oryginalnych pomysłów na ścieżkę dźwiękową wziętych choćby z „Tenet". Efekt jest do przewidzenia – po wyjściu z kina amnezja gwarantowana. JW

Powroty 5/6

Stanisław Ciok. **Fotografie**,
Stara Galeria ZPAF, Warszawa, do 8 marca

Trudno zachować obiektywizm wobec prac kogoś, kogo się osobiście znało, lubiło i szanowało za to, co robi. Ale fotografie Staszka Cioka, naszego wieloletniego kolegi z POLITYKI, i bez tych sentymentów się bronią. Ciok odszedł nagle, równo rok temu, a ta wystawa jest rodzajem hołdu złożonego jego pracy: reporterskiej fotografii, którą z pasją uprawiał przez ponad 40 lat. Pierwsza część ekspozycji to klasyczne obyczajowe impresje wprost z polskiej wsi końcówki PRL i początków rodzącego się kapitalizmu. Momentami groteskowy świat, który już praktycznie nie istnieje i może być dowodem na to, jak gigantyczną drogę przeszliśmy w ostatnich dekadach. Zatrzymane w kadrach obrazy, w których humor cudownie przeplata się z melancholią, a wszystko spaja wrażliwość oraz sympatia Staszka do świata. Część druga to projekt „Bezsenne", który Ciok konstruował w ostatnich latach życia. To ten sam świat wsi i małych miasteczek, z reguły o dwie dekady młodszy, ale



całkowicie pozbawiony ludzi. Impresje o pejzażu, architekturze, pełne odpadów cywilizacji, ale i niekłamanych zachwytów nad czystą, nieskalaną przyrodą. Praktycznie każda z blisko 70 zebranych w galerii fotografii mogłaby stanowić temat osobnej fascynującej opowieści, w której pamięć i upływający czas grałyby zapewne główne role.

PIOTR SARZYŃSKI

© FILIP WIERZBICKI, KATALIN VERMES/PEACOCK TV LLC, HBO MAX, DANIEL SMITH/BLACK BEAR, STANISŁAW CIOK

eprasa.pl 22434338fa



Uciec z Belfastu 5/6

Michael Magee, **Blisko domu**, przeł. Hanna Pustuła-Lewicka, Czarne, Wołowiec 2026, s. 384

„To było bardzo proste. Zamachnąłem się, przywaliłem i upadł" – tak się zaczyna powieściowy debiut północnoirlandzkiego pisarza Michaela Magee. Belfast, 20-latkowie, którzy marzą, żeby gdzieś wyjechać i zacząć nowe życie. Brak pieniędzy i pracy, alkohol i dragi. Sean studiował literaturę angielską w Liverpoolu, ale wrócił do domu i próbuje zaczepić się w jakiejś pracy, zarobić jakieś „funie" (funty). Jest dziewczyna, z którą go wiele łączy, może jej nawet pokazać opowiadanie, które napisał, ale ich relacja jest bardzo skomplikowana. Sean jest ciągle w ruchu, przemierzamy z nim jego rodzinny kawałek Belfastu, bary i kluby, w których pracuje, siedzimy w domu z jego mamą. Mimochodem poznajemy przeszłość: samotna matka z dwojgiem dzieci, której kazano przechowywać broń.



Potem przeszukania „Brytoli". Postać ojca, która kładzie się cieniem na tej rodzinie. Scena, kiedy ojciec pluje na swojego syna. Ta powieść o ludziach bez szans jednocześnie jest opowieścią o historii tego miejsca i o historii rodzinnej. Wszyscy tutaj w czymś utknęli, uwikłani i pokonani trudnościami. Mama ma swój wentyl – maluje i próbuje sprzedawać obrazy. I w tym wszystkim jest też literatura, książki, które można ukraść z księgarni, ale też ustawić w nowym wynajmowanym mieszkaniu, które są kodem porozumienia. Można pokazać dziewczynie, co się czyta w kawiarni, ale zwykle nic z tego nie wynika. Polski przekład dobrze oddaje zadziorność tej gawędy, strasznej i miejscami śmiesznej. Przede wszystkim jest w niej mnóstwo życia. Sean idzie dalej.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

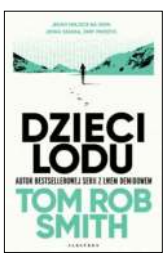

Ludzie na lodzie 3/6

Tom Rob Smith, **Dzieci lodu**, przeł. Robert Ginalski, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2026, s. 448

Pomysł wyjściowy powieści przypomina nieco film „Greenland", tyle że zamiast zagrażającej życiu na Ziemi komety mamy inwazję obcych, a bezpieczne schronienie daje nie biegun północny, tylko południowy. Kosmici stawiają ludziom ultimatum: kto dotrze na Antarktydę w ciągu 30 dni, przetrwa, pozostali zostaną unicestwieni. Toma Roba Smitha – wcześniej autora niezłych kryminałów – nie do końca interesuje ani sam proces ewakuacji, ani temat potencjalnej walki z najeźdźcami. „Dzieci lodu" to raczej podszyty (tanią) filozofią thriller o tym, co ludzkość może zrobić z szansą na przetrwanie. A robi to co zawsze: jedni próbują odbudować cywilizację opartą na współpracy i zaufaniu, inni knują, ile wlezie, manipulują genetyką i hodują rasę nadistot, która ma się dostosować do arktycznych mrozów. Smith pisze bardzo sprawnie i z werwą, choć pytań o logikę niektórych wydarzeń lepiej sobie nie zadawać. Zanadto się spieszy do finału, przede wszystkim kosztem bohaterów – poza pojedynczymi wyjątkami ledwo naszkicowanych. Nie do końca sprawdza się tu gatunkowy miszmasz: to jednocześnie postapokaliptyczna science fiction, technothriller i powieść przygodowa z ukłonami w stronę „Frankensteina", „Wyspy doktora Moreau" i może nawet książek Verne'a, a w tym gąszczu „Dzieci lodu" nieco gubią własny charakter. Jednak intrygujących pomysłów wystarcza Smithowi, by utrzymać napięcie do końca.

JAKUB DEMIAŃCZUK

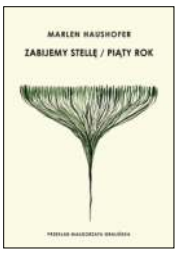

Coś się pogmatwało 5/6

Marlen Haushofer, **Zabijemy Stellę/Piąty rok**, przeł. Małgorzata Gralińska, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2026, s. 144

Austriaczka Marlen Haushofer wplatała w swoje prozy wątki autobiograficzne, twierdząc, że to naturalne. „Nigdy nie piszę o niczym innym jak tylko o własnych doświadczeniach. Wszystkie moje bohaterki są cząstkami mnie samej" – wyznała. To cytat zaczerpnięty z posłowia tłumaczki, cennej lektury uzupełniającej. Aluzje do własnej biografii są tu bardzo subtelne, czasem to obrazki, powidoki, wyraźne zwłaszcza w arcyciekawej powieści „Ściana" (wydanej w Polsce w 2023 r.). „Zabijemy Stellę" i „Piąty rok" to nowele z lekkim zabarwieniem wojennym (krótkie sceny z ukrywania się w piwnicy, wspomnienie poległych), niby różne, ale mają wspólne elementy. Anna przyjmuje pod swój dach nastoletnią córkę znajomej Stellę, która ma za sobą szkołę z internatem. To nie jest idealny dom. Richard, mąż Anny, stale dopuszcza się zdrad, żonę traktuje jak własność, jest perfidnie czarujący. Układ, jakkolwiek toksyczny, był uporządkowany, a Stella jako jego nowy element wprowadza nieco chaosu. To się nie może dobrze skończyć. Anna jest zarazem pierwszo- i drugoplanową postacią, nie ma – i nie chce mieć – wielkiej mocy sprawczej. Tak jak nie ma jej Marili, wychowywana przez dziadków bohaterka „Piątego roku", za mała, by rozumieć, co się stało z jej rodzicami, zdana na instynkt, sny i przeczucia. Haushofer opisuje różne formy relacji dorosłych i dzieci i nie udziela prostej odpowiedzi na pytanie o to, kto zawinił, gdy dzieje się coś katastrofalnego. „Coś się pogmatwało", ale przecież nie samo, zaniechanie i bierność to też rodzaj winy. Najciekawsze są w tej prozie chyba ulubione wątki Haushofer: osamotnienie i różne formy ucieczki od życia.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© EAMONN M. MCCORMACK/GETTY IMAGES/NERO BOOK AWARDS, MP (9)

eprasa.pl 22434338fa

Niezwykła Zitong 5/6

Zitong Wang, **Chopin (nagrania konkursowe, 2 CD)**, NIFC



Na ostatnim Konkursie Chopinowskim 27-letnia Chinka (ur. 3 lutego) Zitong Wang zaliczyła powrót jeszcze bardziej efektowny niż zwycięzca Eric Lu. On skoczył z nagrody na nagrodę, ona zaś w 2021 r. nie wyszła poza pierwszy etap, a tym razem otrzymała trzecie miejsce. Udowodniła, że jest nie tylko niezwykle muzykalna, ale też jest prawdziwą osobowością. Z pewnością pomogła jej nauka u Dang Thai Sona, który stał się mentorem wyróżniających się pianistów, w tym Bruce'a Liu i Erica Lu. Ten wpływ okazał się duży także w doborze utworów: wietnamski pianista jest orędownikiem mniej znanego repertuaru chopinowskiego, o czym przekonaliśmy się już cztery lata temu, słuchając Bruce'a Liu. Zitong jest również wspaniała w takich bibelocikach jak Ecossaises czy nieopusowany Walc E-dur. Jednak potrafi przy tym być naprawdę głęboka, nie tylko w zjawiskowych nokturnach i mazurkach (ze szczególnym naciskiem na wzruszający ostatni Mazurek f-moll op. 68 nr 4), ale też w niesamowitej Sonacie b-moll, za którą otrzymała Nagrodę Krystiana Zimermana – całkowicie słusznie.

DOROTA SZWARCMAN

Wciąż w natarciu 5/6

Dezerter, **Wolny wybieg**, Mystic Production



Niebawem ta punkowa supergrupa będzie obchodzić 45-lecie, ale nic nie wskazuje na to, by zamierzała już tylko cieszyć się zasłużoną sławą. Dowodem – najnowszy album. Dezerter nigdy nie schodzi poniżej odpowiednio wysokiego poziomu, a „Wolny wybieg" to z jednej strony znakomita realizacja wzorca muzyki punkowej („Jad", „Źródło"), a z drugiej – śmiałe wycieczki poza ustalony idiom. Wszyscy wiemy, że Robert Matera jest sprawnym gitarzystą (i coraz lepszym wokalistą), Jacek Chrzanowski świetnym basistą, a Krzysztof Grabowski perkusistą i bardzo dobrze umieją eksplorować różne klimaty muzyczne. Liczy się jednak najbardziej to, co zawsze w dokonaniach grupy – ideowe przesłanie tekstów. Grabowski jako ich autor wie, jak łączyć krytyczny ogląd rzeczywistości z formą, by hasłowość nie wykluczała refleksji. I tak jest teraz: znakomite zestawienie sieciowego algorytmu z metaforą zniewolenia w piosence tytułowej, fraza „trudno uwierzyć, w co ludzie wierzą" w „Bajce" to niejedyne przykłady. Ten album to donośny krzyk i ostrzeżenie przed ekologiczną i polityczną apokalipsą.

MIROSŁAW PĘCZAK

Dźwięki Północy 4/6

Hér, **Monochrome**, Season of Mist



Długo trzeba było czekać na debiutancki album formacji Hér, ale trzeba przyznać, że dziś trafia w punkt. Po pierwsze, trójmiejskiemu kwintetowi udało się podpisać kontrakt z francuską wytwórnią Season of Mist. Wprawdzie wydawca ten kojarzy się z ciężką muzyką metalową, a Polacy (m.in. skrzypek Tomasz Chyła i saksofonista Piotr Chęcki) wywodzą się z jazzowego środowiska i nie mają nawet w składzie gitarzysty, ale atmosfera „Monochrome" jest odpowiednio ciemna i gęsta. Co prowadzi do punktu drugiego: czas na publikowanie takiej muzyki, inspirowanej mitologią nordycką, posępnej, skupionej na długich partiach instrumentalnych, jest idealny, bo i metalowe zespoły często podążają w tę stronę. Po trzecie wreszcie, te utwory spoglądające w mroźną Północ, wpisują się – zaskakująco w tych czasach – nawet w pogodę za oknem. Motława w Gdańsku jest skuta lodem. Śpiewany po angielsku materiał wydaje się przy tym odpowiednio ponadnarodowy w charakterze, by piątkę świetnych instrumentalistów wypromować i otworzyć im za granicą nie tylko sceny jazzowych festiwali.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Napalm Death, Klub Progresja, Warszawa, 17 lutego

Każdy występ Brytyjczyków z Napalm Death to mocne przeżycie, nie tylko ze względu na uderzeniową dawkę ekstremalnej muzyki, lecz także na towarzyszące jej przesłanie. Zespół nigdy nie ukrywał swoich lewicowych przekonań, a wokalista Barney Greenway łatwo nawiązuje kontakt z publicznością, mówiąc o potrzebie walki o swoje prawa i solidarności z wykluczonymi. A przy okazji: koncert Napalm Death to szansa, by usłyszeć najkrótszy utwór świata, trwający niecałe półtorej sekundy „You Suffer". Tak, grają go na żywo i naprawdę szkoda (choć łatwo) to przegapić. JD



Przepis na szczęście (Partir un jour), reż. Amélie Bonnin, 94 min, w kinach

Zwycięzczyni telewizyjnego programu kulinarnego Cécile (piosenkarka **Juliette Armanet**) tuż przed otwarciem własnej restauracji w Paryżu musi wrócić na chwilę do rodzinnego domu na prowincji. Nie jest to najoryginalniejsze dzieło na świecie (choć nie tak banalne, jak sugerowałby polski tytuł), ale za to bezpretensjonalne i z francuskimi przebojami, które – wykonywane przez bohaterów w stylu karaoke – porywająco oddają ich stany emocjonalne. Trochę ciepła i miłości (nie tylko do muzyki) na mrozy (i walentynki). *Alors on danse!* AK



Żuławski. Kino Ekstazy, różne miasta, od 17 lutego

W 10. rocznicę śmierci Andrzeja Żuławskiego rusza w Polsce objazdowa retrospektywa jego filmów. To trzy tytuły z okresu, gdy reżyser pracował we Francji: „Opętanie" z **Isabelle Adjani** (nagrodzoną za tę rolę w Cannes), „Najważniejsze to kochać" z Romy Schneider oraz „Narwana miłość" z Sophie Marceau, swobodna adaptacja „Idioty" Dostojewskiego. Wszystkie pokazane zostaną w odrestaurowanych kopiach. Plakat cyklu projekcji zaprojektował znany z łamów POLITYKI Arkadiusz Hapka, a szczegółowe informacje o pokazach można znaleźć na stronie resetfilm.pl. BCH

eprasa.pl 22434338fa



Matka brata

BARTEK CHACIŃSKI

Walentynkowa premiera kinowa „Wichrowych Wzgórz” promuje drugą, muzyczną. Ale może to płyta z muzyką promuje film, skoro jej autorką jest tak popularna **Charli XCX**?

eprasa.pl.22434338fa





Od lewej: **Jacob Elordi i Margot Robbie w adaptacji „Wichrowych Wzgórz". Charli XCX w poświęconym sobie filmie „The Moment".**

W tym roku 14 lutego świat będzie śledzić opowieść o miłości w wydaniu brutalnym, mrocznym i ryzykownym seksualnie. Na taką zapowiada się ekranizacja „Wichrowych Wzgórz" Emily Brontë, klasycznego gotyckiego romansu, z którego Emerald Fennell zrobiła dramat erotyczny. Towarzyszyć mu będzie płyta z nowymi piosenkami Charli XCX, a zapowiadała go piosenka, do której ta jedna z najpopularniejszych gwiazd dzisiejszej sceny pop zaprosiła nie jakiegoś młodego amanta, tylko Johna Cale'a, 83-letniego dziś założyciela The Velvet Underground, rockowej grupy budzącej niegdyś kontrowersje swoimi fascynacjami sadomasochizmem, narkomanami i awangardą. W refrenie tej niepokojącej piosenki krzyczy, że „umrze w tym domu", a w kolejnych miłość wydaje się czymś sąsiadującym z nienawiścią albo grożącym ciężkim uzależnieniem.

Propozycja współpracy przyszła esemesem od reżyserki. Fennell przysłała scenariusz, Charli – czyli Charlotte Aitchison – przeczytała go, podekscytowana, odnalazła się w gotyckim klimacie, po czym oddzwoniła. A kiedy usłyszała, że chodzi o piosenkę do filmu, zaproponowała od razu cały album. Dlaczego to ją zaproszono? Powodów jest tak dużo, że wystarczy na dłuższą opowieść. Pierwszy jest najprostszy: w tej chwili osoba pracowitej brytyjskiej wokalistki i kompozytorki wydaje się gwarantować zainteresowanie dowolnym tematem.

Pomaluj mój świat

W 2024 r. Charli XCX zafascynowała świat kolorem zielonym. Dokładniej: limonkową zielenią. Do tego jeszcze czcionką Arial Narrow oraz hasłem „brat", czyli „bachor", opisującym niesforną, nonszalancką, buntowniczą i niezależną postawę życiową. Tytuł jej płyty został memem, słowem roku Collins Dictionary, pojawił się też w finale Młodzieżowego Słowa Roku w Polsce, a całe lato '24 okrzyknięto jako *brat summer*. Kamalę Harris uznano za prezydencką kandydatkę w stylu brat. Bo po rzuconej przez Charli XCX uwadze, że „Kamala to brat", słowo zawędrowało także na konwencję wyborczą amerykańskich Demokratów. A płyta – na słynną playlistę Baracka Obamy i na szczyty list przebojów po obu stronach oceanu.

Na listach bestsellerów Charli z powodzeniem zmagała się tamtego lata z Taylor Swift, chociaż wydaje się pod wieloma względami jej przeciwieństwem – bardziej niegrzeczna, do tego po angielsku ironiczna i mocniej zdystansowana do kariery. Na płycie „Brat" zastanawia się nad tym, czy w ogóle zasługuje na popularność i sukces. Śpiewa: „Drzwi są otwarte, jestem sławna, ale nie całkiem/ Idealna do tego, by wtopić się w tło/ Jedną nogą w zwykłym życiu".

Jako 33-latka ma za sobą długą już, trwającą ponad 18 lat karierę, w której nie zawsze wszystko komercyjnie wychodziło, a przerwy między sukcesami bywały długie. Ale z żelazną konsekwencją większość spraw brała w swoje ręce i stale wykpiwała oczekiwania w stosunku do kobiet, które muszą przyciągać uwagę, czy to na ulicy, czy na scenie: idealnych, ze spiętymi włosami, wymalowanymi oczami, prostymi zębami i przyklejonym na stałe uśmiechem. Dokładnie o tym śpiewała w pierwszej piosence „!Franchescaar!", którą jako nastolatka napisała w 2008 r. i wrzuciła do sieci.

Kariera na kredyt

Aitchison wychowała się na fali dziewczęcej piosenki, na którą dziś patrzy się jako pop-feminizm na sprzedaż (pisaliśmy o niej w POLITYCE 27/25): Britney Spears i Spice Girls. W wieku 7 lat sama chciała być spajsetką, tylko taką w bardziej mrocznym stylu. Piosenki zaczęła pisać i nagrywać sama, stając się jednym z wielu odkryć serwisu MySpace, gdzie każdy mógł publikować tworzoną przez siebie muzykę. Pojawiła się tam jako 15-latka, zauważył ją organizator nielegalnych imprez tanecznych we wschodnim Londynie. I z miejsca przysłał zaproszenie na występ.

„Dorastałam na wsi, nie miałam pojęcia o kulturze klubowej" – opowiadała Charli, choć dodać trzeba, że to wieś nieopodal lotniska Stansted, godzinę jazdy od Londynu. Na pierwszy koncert – w jednym z opustoszałych magazynów – przywieźli ją rodzice. Uczestnicy byli dużo starsi od niej i w dużej części na haju. „Mój ojciec dostał nawet na miejscu propozycję zakupu MDMA" – mówiła w wywiadzie dla magazynu „Rolling Stone". „Ale zrozumiał, że chodzi o MDF, płytę pilśniową, więc wytłumaczył, że nie ma akurat miejsca w samochodzie, ale chętnie weźmie od sprzedawcy numer telefonu". Choć tu z kolei trzeba dodać, że ojciec pracował w branży kulturalnej, a rodzice byli na tyle ▶

© AMY SUSSMAN/GETTY IMAGES, WARNER BROS., A24

eprasa.pl 22434338fa

▶ zorientowani, żeby zaciągnąć kredyt na pierwsze działania uzdolnionej córki.

Uczyła się w małomiasteczkowym college'u, a na studiach w londyńskiej Slade School of Fine Art czuła się nie dość oczytana, niewystarczająco elokwentna i w zbyt małym stopniu cool. Choć zarazem kontrakt płytowy podpisała w wieku 18 lat. Przed dwudziestką miała pierwszy numer jeden na brytyjskiej liście bestsellerów – utwór nagrany z duetem Icona Pop. Pierwszy oficjalny album wydała, mając lat 20. „Nie wiedziałam, kim jestem" – mówiła później. Płyta „True Romance" to potwierdzała, ale jak na prosty album pop zebrała dużo dobrych recenzji, do dziś da się jej słuchać z zainteresowaniem, za to wynikami na rynku nie zachwyciła. „Sprzedało się jakieś 12 sztuk" – ironizowała później autorka. Później jednak w jej muzyce splotło się tak wiele atrakcyjnych wątków, że i komercyjnie musiało się udać.

Wrócić do lat 90.

Przełom przyniosły jej sentymenty dorastającego pokolenia jej rówieśników i wyczucie nowych trendów. „Chcę tylko wrócić do roku 1999, pojechać w swoją okolicę/ Chcę tylko cofnąć się w czasie i zaśpiewać: *Hit me, baby, one more time*" – śpiewała Charli XCX na płycie „Charli" w 2019 r., cytując Britney. To okazało się – przy całej powracającej modzie na lata 90. – bardzo aktualne. A jednocześnie chwytliwe, szczególnie w połączeniu z estetyką wytwórni PC Music, z której producentami Charli współpracowała. Ich styl jest rzeczywiście mocno inspirowany latami 90., tyle że brzmienie ówczesnego popu podaje w formie bardziej krzykliwej i plastikowej, a przy tym bardziej agresywnej. A.G. Cook, Danny L. Harle czy zmarła przedwcześnie Sophie, bliscy Charli producenci, tworzyli mainstreamową muzykę na sterydach: taneczną i wykorzystującą partie wokalne przetworzone przez efekt Auto-Tune.

Te ostatnie słychać już w całym dzisiejszym popie i hip-hopie – rzecz stała się, bez względu na nasz stosunek do jej brzmienia, pewnym wyznacznikiem swoiście rozumianej nowoczesności. Charli XCX radzi sobie z takimi partiami świetnie – pewnie również dlatego, że śpiewać potrafi i bez wsparcia Auto-Tune'a. Wykorzystuje go odważnie, co zresztą łączy się z całą jej sceniczną postawą („Piję, palę i używam Auto-Tune" – rzuciła w jednej z rozmów). Wizerunek, który wypracowała na autorskich płytach, był niby dalekim echem jej idolek z końca lat 90., z Britney Spears włącznie, ale w formie bardziej odważnej, przesadzonej, do tego wyzywającej i prowokującej w stopniu, który wtedy w muzycznym show-biznesie by nie przeszedł.

Już nawet na okładkach płyt widać było tę przesadę, a elementom znanym z lat 90. – fluorescencyjnym kolorom i wyraźnemu negliżowi na zdjęciach – towarzyszyły niepokojące sygnały. Jak na „Crash", gdzie widać Charli w bikini na masce samochodu, tylko że szyba jest pęknięta, a głowa artystki – zakrwawiona.

Na koncertach nosiła spódniczki jeszcze krótsze niż gwiazdy popu z przełomu wieków, zwracając przy tym uwagę na to, że ludzie często słuchają muzyki oczami. Obsesyjnie śledzą takie elementy jak długość spódnic i głębokość dekoltu, a jeśli ich zdaniem dochodzi do przesady, w reakcjach z miejsca pojawia się słowo „beztalencie".

„Niektórzy dziennikarze nie dowierzają, że jestem autorką własnych piosenek, co więcej – że piszę je dla innych. Tymczasem dziś kobiety to jedne z najlepszych autorek piosenek" – przekonywała. Zapraszały ją do współpracy Rihanna i Gwen Stefani, a jej piosenki nagrali Raye, Camila Cabello, Will.i.am, Selena Gomez i Blondie. Lista jest długa i pokazuje, że sukcesy w show-biznesie nie biorą się ze szczęśliwych zbiegów okoliczności. A za wizerunkiem niesfornej, imprezowej dziewczyny w przypadku Charli XCX kryje się model kariery znany z polskiej telewizji: kobieta pracująca. Żadnej pracy się nie boi.

Nie lubi każdego

Piosenki zebrane na nowej płycie „Wuthering Heights" nie są pierwszymi, które Charli napisała dla kina. Uwagę przyciągnęła „Speed Drive" do filmu „Barbie", w kilku innych tytułach wykorzystano jej gotowe utwory. A kariera kinowa Charlotte Aitchison wykracza poza ścieżkę dźwiękową. „Aktualnie film inspiruje mnie kreatywnie bardziej niż muzyka" – napisała do fanów przy okazji „Wichrowych Wzgórz". I widać to w ostatnich dwóch latach bezustannie.

W Polsce gościliśmy Charli XCX na planie „Erupcji" – małym filmie Pete'a Ochsa pokazywanym na American Film Festival, w którym gra turystkę z Wielkiej Brytanii wchodzącą w relację z warszawską florystką. W tej drugiej roli wystąpiła Lena Góra, która w wywiadach nie szczędziła pochwał dla profesjonalizmu i pracowitości gwiazdy. „Inteligentna, świadoma i oddana temu, co robi" – charakteryzowała ją w wywiadzie dla TVN24.

W podobnym czasie powstawały dwa kolejne filmy z Charli na planie: thriller „The Gallerist", w którym wystąpiła u boku Natalie Portman, oraz „I Want Your Sex" Gregga Arakiego, gdzie partneruje z kolei Olivii Wilde. Oba miały premierę na tegorocznym festiwalu Sundance. Ale oba też przykrył rozgłos wokół „The Moment" Aidana Zamiriego, czyli fabularyzowanego, ironicznego dokumentu o samej Charli XCX. To film, który opowiada z dystansem o sławie i karierze w muzycznym biznesie. Rzecz dotyczy dylematów związanych ze sprzedawaniem siebie i monetyzacją raz zdobytej sławy. Bo czy z *brat summer* można uczynić produkt, który będzie zarabiał jak najdłużej? Pojawiająca się tu karta kredytowa w kolorze okładki płyty „Brat" to zapewne żart artystki z samej siebie – rok temu odbierała przecież prestiżową Brit Award w kategorii za sprawą umowy sponsorskiej nazwanej „Mastercard Album of the Year". Rosanna Arquette i Alexander Skarsgård grają tu fikcyjne postaci, ale Charli XCX – rzecz jasna siebie.

Nie jest to jej pierwszy film o sobie. 11 lat temu była bohaterką krótkiego dokumentu BBC3 „F-Word And Me" (Słowo na K i ja) o kobietach w muzycznym biznesie w XXI w. Opowiadała w nim, że przemysł muzyczny jest w gruncie rzeczy oparty na internetowych opiniach – co dziś stało się powszechnie rozumianą prawdą – i deklarowała: „Nie lubię każdego, wiem, że nie każdy mnie lubi, i nie mam z tym problemu". Nie każda gwiazda muzyki dla wszystkich potrafi to zadeklarować. W tym biznesie „bycie miłym i fajnym" to zdaniem Charli podstawowa waluta. Drugą jest bycie przewidywalnym, a ona jako jedna z nielicznych postaci świata popu wydaje się otwarta na artystyczne ryzyko.

W produkcji są kolejne filmy z Charli XCX w obsadzie. Być może nawet świat kina odbierze ją na jakiś czas muzyce. Na razie płyta „Wuthering Heights" łączy dwa światy i wyznacza kolejny punkt zwrotny w karierze. Lindsay Zoladz z „New York Timesa" przewidywała, że pierwszy krok po płycie „Brat" będzie wyzwaniem, bo trudno pozostać w przeżartym komercją biznesie ikoną pop i zachować buntowniczy wdzięk. Ale nonszalancję Charli XCX zachowuje. Inaczej niż większość gwiazdorskiej konkurencji szczerze deklaruje: jestem gotowa na porażkę.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 22434338fa

Dochtórka



Joanna Kulig w roli niepokornej lekarki Jolanty Wadowskiej-Król

Serial „Ołowiane dzieci" przywołuje walkę lekarki z autorytarnym systemem i ludzką mentalnością. Pokazuje Górny Śląsk od strony kosztów industrializacji. I pyta, czy wyciągnęliśmy wnioski.

ANETA KYZIOŁ

Noc, na żwirowisku zatrzymuje się samochód. Dwaj mężczyźni wywlekają z niego kobietę w worku na głowie. Stawiają przed trzecim, który celuje do niej z pistoletu. „Zatańczymy?" – pyta. „Boisz się mnie teraz?". Kolejne ujęcie to fragment „Kroniki Filmowej" z 1974 r. Lektor z entuzjazmem przedstawia Śląsk: 4 mln mieszkańców, Spodek jako symbol kosmicznej prędkości, z jaką region się rozwija, czarne złoto wyjeżdża z kopalń, produkcja hut co roku wzrasta o 7 proc. i trudno się dziwić, że właśnie tu z wizytacją przybędzie sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii ZSRR towarzysz Breżniew. Cięcie. Piękny letni dzień, jak w lecącym w tle przeboju Anny Jantar. Na festynie zorganizowanym przez Hutę Szopienice jest wszystko, co powinno być: wata cukrowa, napoje, pączki, ministrzelnica.

Atmosferę relaksu trochę psuje obraz apatycznego chłopca tępo wpatrującego się w pustą butelkę po oranżadzie oraz awantura przy stoisku z kiełbasą z rusztu. „Według mnie cena jest za kiełbasę i bułkę – taki duet jest narysowany" – szykowna kobieta wskazuje na planszę obok sprzedawcy, tłumacząc, dlaczego nie zamierza dopłacać za bułkę. Jej nastoletnia córka obok chce się zapaść pod ziemię ze wstydu, z kolejki za nimi słychać: „Pani kupiła, to pani nie blokuje". Ale kobieta jest stanowcza: „Czekam na dwie kiełbasy i dwie bułki". W końcu sprzedawca kapituluje. A następna osoba w kolejce zamawia: „Dla mnie też dwie kiełbasy i dwie bułki". Na ironiczne komentarze rodziny do jej uporu bohaterka odpowiada: „Czyli jak ktoś będzie cię chciał oszukać, to dla świętego spokoju mu na to pozwolisz, tak?". Chwilę później biegnie do omdlałego chłopca. Nazywa się Jolanta Wadowska-Król, jest pediatrą w okolicznej przychodni, leczy dzieci z Szopienic.

Początkowe sceny doskonale wprowadzają w sześcioodcinkowy, fabularny, ale oparty na faktach, serial Netflixa. Jest tu mała stabilizacja epoki Gierka, jest ludzki konformizm i kombinatorstwo, boom przemysłowy za cenę zdrowia najsłabszych oraz autorytarny system, który nie toleruje zbyt dociekliwych i upartych jednostek. A taką jednostką była dr Wadowska-Król, zwana Dochtórką albo Matką Boską Szopienicką. – *Na Śląsku historia jej walki o zdrowie dzieci z Szopienic jest znana, ale też bez przesady, bo to duży region. Sam urodziłem się, wychowałem i mieszkałem przez lata na Śląsku, a poznałem ją stosunkowo niedawno* – mówi Maciej Pieprzyca, reżyser serialu. Ma nadzieję, że produkcja z Joanną Kulig w głównej roli, oparta na książkowym, wydanym sześć lat temu fabularyzowanym reportażu Michała Jędryki „Ołowiane dzieci. Zapomniana epidemia", wprowadzi tę postać do powszechnej świadomości. – *Nasz serial jest o odwadze w trudnych czasach.* ▶

© ROBERT PAŁKA/NETFLIX

eprasa.pl 22434338fa

▶ *Każda zmiana zaczyna się od jednego człowieka, który mówi „nie" i wyraża niezgodę na krzywdę.*

Huta żywicielka

Zmarła trzy lata temu w wieku 84 lat Jolanta Wadowska-Król urodziła się w Katowicach, tu studiowała medycynę i całe zawodowe życie przepracowała w przychodniach dla dzieci, jej mąż Zbigniew był urologiem w szpitalu. Na początku lat 70. zauważyła, że dzieci z osiedli przylegających do Huty Metali Nieżelaznych w katowickich Szopienicach są niższe i chudsze niż ich rówieśnicy z innych okolic, powszechnie chorują na anemię i nieproporcjonalnie liczne są tu przypadki niepełnosprawności intelektualnych. Na zlecenie prof. Bożeny Hager-Małeckiej (bohaterkę na niej wzorowaną gra Agata Kulesza), ordynatorki szpitala w Zabrzu i konsultantki wojewódzkiej w dziedzinie pediatrii, przeprowadziła z pomocą pielęgniarki Wiesławy Wilczek (Kinga Preis) badania przesiewowe i wykryła olbrzymie stężenia ołowiu u 5 tys. dzieci. Tysiąc z nich wysłano do sanatoriów.

Cała akcja musiała zostać przeprowadzona dyskretnie, bez używania słów takich, jak „epidemia", „ołowica", „trucie" czy „przekroczenie norm zanieczyszczeń", bo nie wpisywały się w oficjalny partyjny przekaz o PRL jako „ósmej gospodarce świata", ze szczęśliwymi górnikami i hutnikami w centrum tego opartego na przemyśle ciężkim i przekraczaniu norm produkcji raju.

Równie trudnym zadaniem okazało się przekonanie rodziców chorujących dzieci, że huta, która od pokoleń daje im chleb i tożsamość: pracę, żłobki, przedszkola, organizuje festyny, zawody sportowe, zapełnia czas wolny – równocześnie truje i zabija. I to nie dorosłych – dotąd ołowicę uznawano za chorobę zawodową – ale żyjące za murem huty, wdychające trujące opary z jej kominów i bawiące się w pokrytym trucizną piasku dzieci. Anemia, otępienie, problemy poznawcze, czarne obwódki na dziąsłach, bociani chód, mnóstwo innych chorób. Ołów stopniowo atakuje cały organizm dziecka, zaczyna się już na etapie prenatalnym. Działa na układ nerwowy, zmienia budowę mózgu, co w jednych przypadkach objawia się upośledzeniem umysłowym, w innych – w późniejszym życiu – może się wiązać z depresjami, skłonnością do agresji i samobójstw.



Zbigniew Zamachowski jako partyjny karierowicz Zdzisław Grudzień i Michał Żurawski w roli majora SB Huberta Niedzieli

Maciej Pieprzyca przypomina: – *W 1974 r. Orły Górskiego zajmują trzecie miejsce na mistrzostwach świata w piłce nożnej, siatkarze zostają mistrzami świata w Meksyku, odbywa się premiera „Potopu", są nowe inwestycje i wzrost gospodarczy, w sklepach można kupić Coca-Colę i papierosy Marlboro. Ludziom żyło się względnie dobrze, byli nastawieni konformistycznie, nie wychylali się. I w to ogólne poczucie, że jest dobrze, wkracza dr Wadowska i mówi, że nie jest. To był naprawdę akt odwagi.*

Praca w sejfie

Do 2013 r., gdy w „Gazecie Wyborczej" ukazał się pierwszy reportaż o niej, pozostawała postacią nieznaną. „O jej zasługach usłyszałam trochę przez przypadek, razem z Judytą Watołą chciałyśmy ją odnaleźć, ale to było trudne" – opowiadała w „Wysokich Obcasach" współautorka tego reportażu Anna Malinowska. Aż przeglądając maile, trafiła na ogłaszany przez jednego z ówczesnych europosłów konkurs dla uczniów: „Okazało się, że pierwsze miejsce zajęła dziewczynka, która nagrała wideo o swojej babci, która w latach 70. ratowała dzieci przed ołowicą »Matka Boska Szopienicka«".

Przemilczenie było częścią ceny, jaką dr Wadowska-Król musiała zapłacić za uratowanie dzieci z Szopienic. Partia w końcu zgodziła się na likwidację Targowiska, osiedla przylegającego do huty, przesiedlenie rodzin do nowych bloków i uwzględnianie norm środowiskowych w pracy zakładu, jednak w oficjalnych dokumentach nie mógł pozostać ślad na temat ołowicy u dzieci. Ta nazwa nie pojawia się w badaniach przesiewowych dr Wadowskiej ani w kartach medycznych pacjentów – co stanowiło przeszkodę



Dr Jolanta Wadowska-Król przed muralem na jej cześć,

w późniejszym ubieganiu się o odszkodowania czy renty. Lekarce zaś zamknięto drogę do obrony doktoratu opartego na badaniach dzieci z Szopienic. Złożona na Śląskiej Akademii Medycznej praca doczekała się trzech negatywnych recenzji, anonimowych, po czym została utajniona i trafiła do sejfu uczelni.

Dr Wadowska-Król do emerytury pracowała w przychodni dla dzieci. W reportażu Radia Katowice sześć lat temu mówiła, że nie czuje się bohaterką, bo wciąż spotyka swoich byłych pacjentów i widzi konsekwencje ołowicy ciążące na ich całym życiu. W 2015 r. otrzymała odznakę honorową „Za Zasługi dla Ochrony Praw Człowieka", potem tytuł Honorowego Obywatela Miasta Katowice, została laureatką Nagrody im. Wojciecha Korfantego. W 2021, rok po premierze książki Michała Jędryki, jej byłego pacjenta, a przed ukazaniem się kolejnych: utrzymanej w konwencji powieści dla młodzieży „Moja Ołowianko, klęknij na kolanko" Marty Fox i „Doktórki od familoków"

eprasa.pl 22434338fa



Agata Kulesza w roli prof. Berger (wzorowanej na ówczesnej ordynatorce szpitala w Zabrzu)



Katowice, 2018 r.

Magdaleny Majcher, otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego.

W wywiadzie dla „Gazety Uniwersyteckiej" UŚ wspominała dzieciństwo, którego nie miała. Urodziła się w 1939 r., ojciec poszedł walczyć w armii Andersa. Gdy miała rok, jej matka w wyniku porażenia piorunem straciła częściowo wzrok i w związku z tym pracę nauczycielki. Potem zamieszkała u jednej ze swoich sióstr, a córka trafiła do drugiej. „Wiedziałam, że muszę się usamodzielnić, bo mogę liczyć tylko na siebie. Między innymi dlatego ciągle towarzyszyła mi myśl, że jeśli nie pomogę tym szopienickim dzieciom, to nikt im nie pomoże" – mówiła.

– *Przy tworzeniu postaci doktor Wadowskiej współpracowaliśmy z jej rodziną* – opowiada reżyser. Druga wnuczka lekarki, autorka spektaklu o swojej babci, absolwentka produkcji filmowej, pracowała w ekipie serialu Macieja Pieprzycy. – *Takie spotkania bardzo dużo dają, szczegóły są ważne dla budowy postaci. Staraliśmy się przenieść relacje, jakie były w rodzinie, to, że lubili muzykę, czy ich powiedzonka. W roli Joanny Kulig idealnie sprzęgły się ze sobą cechy prywatne aktorki i bohaterki: charyzma i energia. Ale staraliśmy się nie zrobić z doktorki pomnika, bo zależało nam na mocnej i prawdziwej postaci. I tu znów wielka zasługa Joasi Kulig: jej bohaterka jest z krwi i kości, ma swoje wahania, dylematy. Wie, że to, co robi, jest właściwe, ale też niebezpieczne. Widzi, że traci rodzinę, przerywa swoją misję, żeby ją znów rozpocząć, to ją uwiarygadnia.*

Inne spojrzenie

Serial Pieprzycy jest przyrównywany do biograficznego filmu „Erin Brockovich" Stevena Soderbergha, z Julią Roberts w roli kobiety stającej do walki z koncernem trującym środowisko i ludzi, a nawet do serialowego „Czarnobyla" Craiga Mazina i Johana Rencka. Choć to inna skala produkcji, twórcy obu serii stanęli przed pytaniem, jak wiarygodnie pokazać autorytarny system, z którym konfrontuje się bohaterka. W przypadku PRL łatwo o parodię, czego dowodem filmowy „Gierek" z Michałem Koterskim w tytułowej roli, czy ubiegłoroczny serial TVP „Czarna śmierć" Kuby Czekaja o epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu w 1963 r., aparat partyjny został tu pokazany w komiksowy sposób.

„Ołowianym dzieciom" udało się uniknąć karykatury. Głównie dzięki stworzeniu przez scenarzystę Jakuba Korolczuka fikcyjnej postaci antagonisty dr Wadowskiej-Król, majora SB Huberta Niedzieli – elementu pośredniego między zwykłymi ludźmi a wielką polityką. Urodzony w Zabrzu Michał Żurawski, który niedawno stworzył poruszającą kreację w „Heweliuszu", tu wciela się w człowieka, który zrobi wszystko, żeby wyrwać siebie i swoją rodzinę ze Śląska, gdzie tacy jak on mają wybór tylko między tyraniem w kopalni albo hucie. – *Doktor Wadowska była inwigilowana, jej działania obserwowane, ale funkcjonariuszy było kilku, nasz bohater nie ma jednego odpowiednika w rzeczywistości. To postać złożona psychologicznie i tragiczna* – tłumaczy reżyser.

Swoje odpowiedniki w rzeczywistości mają za to dwaj polityczni władcy Śląska: realistycznie odtworzeni wojewoda Jerzy Ziętek (Marian Dziędziel) i pierwszy sekretarz partii w regionie Zdzisław Grudzień (Zbigniew Zamachowski). Pierwszy – nazywany Jorgiem, powszechnie szanowany i lubiany, generał, z piękną kartą udziału w powstaniach śląskich, drugi – jego przeciwieństwo: karierowicz i intrygant, tyleż śmieszny co bezwzględny i niebezpieczny. Ambicje Grudnia, jego zazdrość i powszechnie znana na Śląsku nienawiść do publicznie go wyśmiewającego Ziętka napędzają ekranową historię.

Dla Śląska – opowiadanego dotąd głównie przez pryzmat historyczno-obyczajowy, na czele z klasycznymi filmami Kutza, powieściami i dramatami Twardocha czy spektaklami Teatru Śląskiego w Katowicach, którego aktorzy, z dyrektorem Robertem Talarczykiem włącznie, grają w serialu – „Ołowiane dzieci" to szansa na inne spojrzenie. Od strony kosztów industrializacji śląski dobrobyt, którego w PRL zazdrościły mu inne regiony, nierzadko zresztą także ekologicznie niszczone, miał swoją cenę: degradacja środowiska i zdrowia ludzi.

Szopienicka huta została postawiona w stan likwidacji w 2008 r., po 170 latach działalności. Dziś z molocha zatrudniającego w szczytowym momencie 5 tys. ludzi zostało niewiele, w jednej z hal działa muzeum. Ekipa „Ołowianych dzieci" serialową hutę budowała w nieczynnej elektrociepłowni w Zabrzu, dostawiając potrzebne elementy, a efektu dopełniła technologia komputerowa wykorzystywana w szerokich kadrach. Same Katowice też się zmieniły. Sceny na osiedlu familoków powstawały po części w Rudzie Śląskiej, Świętochłowicach czy w Zabrzu. Na miejscu Targowiska jest dziś park, wcześniej usunięto stamtąd 200 tys. ton skażonej ziemi.

Wiele się zmienia, ale wciąż wielu woli konformistycznie nie łączyć zanieczyszczenia powietrza z chorobami i wysoką śmiertelnością. Szopienicka huta już nie truje, ale smog wciąż tak. Przykład dr Wadowskiej-Król pozostaje w mocy.

ANETA KYZIOŁ

© ROBERT PAŁKA/NETFLIX (2), ANNA LEWAŃSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 22434338fa

Nie chcę wygłaszać oświadczeń, tylko poradzić sobie z emocjami, które nas dotykają – mówi kompozytorka Aleksandra Słyż, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii muzyka poważna.

Ta muzyka ma przytłaczać

DOROTA SZWARCMAN: **– Pochodzi pani z Ełku.**

ALEKSANDRA SŁYŻ: – Tak, tam się urodziłam i chodziłam do szkoły, ale moi rodzice mieszkają w Buczkach pod Ełkiem, blisko lasu i jeziora Selmęt Wielki. To teraz dla mnie miejsce najpiękniejszych wakacji.

A czy były w pani rodzinie zainteresowania muzyczne?

Hobbystyczne. Mama śpiewała w chórze. Dla rodziców było ważne, by zapewnić nam edukację artystyczną, więc zapisali mnie i siostrę do szkoły muzycznej. Chciałam grać na skrzypcach, ale byłam leworęczna, więc doradzono rodzicom, że lepiej zapisać mnie na wiolonczelę.

Trochę to dziwne.

Tak, ale ja się z tego bardzo cieszę, bo dzięki temu miałam wspaniałą nauczycielkę wiolonczeli, panią Monikę Łukawską, z którą do dziś utrzymuję kontakt. Bardzo wiele mnie nauczyła, nie tylko grania, ale też świadomego słuchania i myślenia o muzyce. Była przy tym wymagająca, czyli miała wszystkie cechy dobrego pedagoga. Na zawsze pozostanie niezwykle ważną osobą w moim życiu.

Ale na studia poszła pani na reżyserię dźwięku.

Najpierw zdawałam na wiolonczelę do poznańskiej Akademii Muzycznej, ale się nie dostałam. A że liceum kończyłam w klasie matematyczno-fizycznej i przedmioty ścisłe interesowały mnie równie mocno co muzyka, stwierdziłam,

PARTNER KATEGORII
ART& SCIENCE

Aleksandra Słyż
(ur. 1995 r.) – kompozytorka muzyki elektronicznej, łącząca też elektronikę z tradycyjnymi instrumentami. Studiowała reżyserię dźwięku na poznańskim Uniwersytecie Adama Mickiewicza i kompozycję w poznańskiej Akademii Muzycznej, a potem także w Royal College of Music w Sztokholmie. Debiutowała albumem „Human Glory" (Pointless Geometry). Nagrodę przyniósł jej sezon, w którym stworzyła m.in. spektakl „Ghsting" (wspólnie z Alex Freiheit) oraz muzykę na orkiestrę instrumentów futurystycznych (tzw. intonarumori).



eprasa.pl 22434338fa

że reżyseria dźwięku będzie dobrym połączeniem.

Ciekawe, że w Poznaniu reżyseria dźwięku jest na uniwersytecie przy wydziale fizyki, a w Warszawie na uczelni muzycznej.

W czasie, gdy studiowałam reżyserię w Poznaniu, kładziono tam równy nacisk na teorię i na praktykę. Może nawet teoria – akustyka czy elektronika – były ważniejsze, choć zajęcia praktyczne z nagrywania i miksowania dźwięku też oczywiście były. Bardzo dużo się tam nauczyłam, ale brakowało mi zajęć kreatywnych. Pomysł, żeby po pierwszym roku reżyserii zdawać na kompozycję, przyszedł do mnie sam: będąc na wakacjach, zobaczyłam na Facebooku ogłoszenie o dodatkowych naborach na Akademię Muzyczną. Dostałam się do klasy prof. Moniki Kędziory i tak się zaczęło.

Interesowała się pani już wtedy elektroniką w muzyce?

To był proces. Na pewno przyczyniła się do tego intensywnie działająca wówczas poznańska scena klubowa: w ciągu paru miesięcy można było usłyszeć takich wykonawców, jak Emptyset, Aisha Devi i Varg. A z drugiej strony na uczelni były takie osoby jak Rafał Zapała, kompozytor, który zajmował się elektroniką; była to dla mnie straszna tragedia, gdy zmarł w zeszłym roku. Naprawdę wiele mu zawdzięczam. Odbywały się też wydarzenia organizowane przez prof. Lidię Zielińską.

Ona założyła swego czasu studio muzyki elektronicznej na uczelni.

Ale najważniejsza dla mnie była decyzja, żeby pojechać na Erasmusa. Zapytałam wtedy prof. Zielińską, gdzie mogłabym się rozwijać w kierunku elektroniki, i poleciła mi dwa ośrodki, w tym KMH (Królewską Wyższą Szkołę Muzyczną) w Sztokholmie. Zaaplikowałam tam i spędziłam semestr na studiach licencjackich. Trafiłam do prof. Billa Brunsona, a później na studiach magisterskich do Henrika Friska. Brunson odpowiadał za rozbudowanie uczelni; teraz jest tam mnóstwo studiów ze świetnym wyposażeniem. W jednym z nich stoi syntezator Buchla, w drugim EMS VCS 3...

Prawdziwe zabytki…

...ale świetnie działające. W Sztokholmie działa też prężnie EMS, studio muzyki elektronicznej założone w latach 60. Kieruje nim obecnie Mats Lindström. Jest otwarte na rezydencje; mnie się udało dostać w zeszłym roku.

Nawiązała pani mnóstwo kontaktów.

Uwielbiam wracać do Szwecji, mam tam dużo przyjaciół, zresztą nie tylko tam, bo część osób, które poznałam w Sztokholmie, mieszka teraz np. w Londynie czy Berlinie. Czasem się odwiedzamy, pomagamy sobie wzajemnie w organizacji koncertów, możemy na siebie liczyć.

A ostatnio Szwedzkie Radio zamówiło u pani utwór.

Tak, zamówienie otrzymałam przez Annę Petrini. Usłyszała nagranie mojego „Suspended in Ratios" na orkiestrę i elektronikę na obradach Międzynarodowej Trybuny Kompozytorów; przedstawiły go tam Warszawska Jesień i Polskie Radio. Dostał tzw. rekomendację do nadawania w radiofoniach zrzeszonych w Europejskiej Unii Radiowej. I wtedy Anna postanowiła zamówić u mnie nowy utwór.

Pracowała też pani dla szwedzkiej firmy od gier wideo.

To był ciekawy epizod. Pod koniec studiów dostałam propozycję pracy w DICE, wytwórni gier komputerowych. Najpierw byłam na stażu, później na pół etatu i przeszłam przez cały projekt tworzenia jednej gry. Pracowałam z Hildur Gudnadóttir i jej mężem Samem Slaterem, którzy skomponowali do niej muzykę. Dostawałam od nich przeważnie surowe materiały, a moim zadaniem było wybranie i zmiksowanie różnych warstw dźwięku, nadanie formy poszczególnym utworom i implementowanie ich do gry.

Chyba pomogło, że w Poznaniu pracowała pani przy filmach animowanych?

Uwielbiam pracę z obrazem. Ale film i gra to jednak trochę różne formy. Film ma formę linearną i zamkniętą, a forma gry jest przeważnie otwarta i trzeba umieć zbudować jej strukturę w taki sposób, żeby mogła trwać minutę, a mogła też pół godziny. Nadbudowywać ją, kiedy w grze dzieje się coś bardziej intensywnego, i wycofywać, kiedy intensywność się kończy.

Czyli kompozytorzy tworzyli muzykę, a pani dopasowywała ją do sytuacji, jakie mogą być w grze.

To zależy. Za główny temat muzyczny gry odpowiadali oni, a poza tym były mniejsze elementy, do których dostarczyli mi materiały i miałam z nich zakomponować krótkie fragmenty. Oboje, inaczej niż ja, lubią pracę z nagraniami terenowymi. Dlatego też sposób mojej pracy przy tym konkretnym projekcie musiał się zmienić. Był to piękny, choć również stresujący dla mnie proces – wtedy stwierdziłam, że praca w korporacji nie jest dla mnie, i wróciłam do Polski.

Było dużo stresu, niepewności, czy będę w stanie utrzymać się ze sztuki. Na szczęście zostałam zaproszona do platformy SHAPE+, zrzeszającej młodych twórców i twórczynie sceny muzycznej i wizualnej. Rekomendował mnie tam polski festiwal Unsound. Dzięki platformie dostałam zaproszenia na ważne festiwale: CTM w Berlinie, ORF Musikprotokoll w Grazu w Austrii, zaprosiła mnie też do zrealizowania projektu MeetFactory, instytucja sztuki z Pragi czeskiej.

Z polskich festiwali po Unsoundzie pojawiła się pani na Sacrum Profanum, Festiwalu Prawykonań, Warszawskiej Jesieni, Sanatorium Dźwięku.

Zaproszenia od polskich festiwali są dla mnie bardzo ważne. Na Festiwalu Prawykonań, Sacrum Profanum i Warszawskiej Jesieni pokazałam swoje pierwsze utwory na orkiestrę i elektronikę. Na Unsoundzie w ubiegłym roku grałyśmy z Alex Freiheit „Ghsting". Wszystko zaczęło się od wiadomości od Alex, która chciała, żebym stworzyła z nią projekt bazujący na jej nagraniach terenowych z Turcji. Później stwierdziłyśmy, że chyba będzie lepiej zacząć z czymś nowym, od zera. Pierwszy raz spotkałyśmy się przed sylwestrem w 2023 r. Potem dostałam od Alex cały tekst „Ghstingu", który napisała w jeden dzień!

To mocny tekst o koszmarnym hotelu w Europie Wschodniej z punktu widzenia sprzątaczki czy też jej ducha...

Tak, ten dźwiękowy horror opowiada historię kobiet pracujących w hotelu. Już na etapie pracy nad nagraniem wiedziałyśmy, że chcemy z nim koncertować. Pierwszy raz zagrałyśmy we dwie na Dniach Muzyki Współczesnej w Białymstoku, a kiedy zaprosił nas warszawski festiwal Ephemera, zaproponowałyśmy, żeby projekt poszerzyć o performerki, zagrać też światłem i dymem. I tak na Ephemerze po raz pierwszy pojawiłyśmy się z Kasią Sikorą i Polą Nikiel oraz z Jacqueline Sobiszewski, która zajęła się reżyserią światła. Tej formy trzymamy się do dzisiaj.

To chyba pierwsza pani praca z tekstem. Robiła już pani spektakle, ale tylko z ruchem, z czujnikami ruchu. ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 22434338fa



▶To prawda. Na mojej pierwszej płycie „Human Glory" pojawiają się nagrania głosu, ale przetwarzane, traktowane jako efekt. No i pierwszy raz gram też w takim zespole; śmiejemy się, że tworzymy świetny girlsband.

W zeszłym roku robiła pani utwór w Muzeum Sztuki Nowoczesnej na sprzęcie ze Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia. Muzeum zamierza odtworzyć słynny czarny pokój Studia, zaprojektowany przez Oskara Hansena.

Czuję się ogromnie zaszczycona, że mogłam pracować na sprzęcie SEPR po ponad 20 latach jego nieużywania. Mam nadzieję, że wspaniałej ekipie MSN uda się przywrócić go do życia, jest już też projekt aranżacji przestrzeni bazujący na projekcie Hansena. Wiem, że mnóstwo osób z Polski i ze świata chciałoby tam przyjechać. Kiedy wstawiłam pierwsze zdjęcia z pracowni MSN na social media, od razu dostałam pytania, gdzie to jest, czy można tam pracować. O stan prac w MSN podpytywał mnie też zespół EMS w Sztokholmie. Myślę, że bez problemu moglibyśmy stworzyć w Warszawie instytucję na miarę EMS. Sztokholmskie studio zaprasza do pracy setki artystów rocznie na parutygodniowe rezydencje. Mam nadzieję, że u nas to też będzie przestrzeń otwarta, że będziemy mogli promować najważniejsze dziedzictwo polskiej muzyki elektronicznej z XX w. w najlepszy możliwy sposób.

À propos zabytków: w zeszłym roku wyszła płyta z koncertu zespołu The Orchestra of Futurist Noise Intoners, który odbył się na festiwalu Sanatorium Dźwięku w Sokołowsku; to orkiestra tzw. intonarumori, odtworzonych instrumentów eksperymentalnych, wymyślonych sto lat temu przez włoskiego futurystę Luigiego Russola. Jest na niej m.in. pani utwór stworzony z Gerardem Lebikiem, a w zespole grali też polscy muzycy: Marek Chołoniewski, Teoniki Rożynek...

Tak, to był projekt polsko-norweski, zainicjowany przez fundację In Situ, drugi koncert odbył się w Oslo w siedzibie centrum muzyki współczesnej nyMusikk.

O intonarumori niewiele wiadomo, zachowały się tylko projekty i zdjęcia. To były instrumenty akustyczne, nie elektroniczne. Było kilka prób ich odtwarzania.

Tak, ale to jest jedyna prawie pełna replika orkiestry tych instrumentów. Bardzo mało jest materiałów źródłowych, na których mógł się opierać Luciano Chessa, twórca tych replik i dyrygent w naszym projekcie. A projekt był niezwykły. Niestety, Gerarda Lebika też już z nami nie ma. Był wspaniałą postacią, mam nadzieję, że jego twórczość zostanie z nami na zawsze.

A jak państwo współpracowali?

Gerard zaprosił mnie wcześniej do Sokołowska, kiedy przyjechały instrumenty. Nagrywaliśmy brzmienia poszczególnych instrumentów, a później w studiu z tych nagrań zbudowaliśmy wstępną strukturę utworu, przygotowaliśmy także partyturę.

Powiedziała pani kiedyś, że pisząc utwory orkiestrowe, czasem robi pani najpierw wersję elektroniczną i z niej transkrybuje na instrumenty.

To prawda, nie jest to odwzorowanie jeden do jednego, ale w ten sposób mogę rozplanować czas. Lubię długie formy, więc czas jest dla mnie kluczowy, muszę się upewnić, czy każda fraza trwa dokładnie tyle, ile według mnie powinna. I tak też było w przypadku intonarumori. Utwór składa się z szeregu fragmentów; Gerard użył pięknego porównania: to tak, jakbyśmy oglądali obraz w galerii, a przechodząc do następnego kątem oka widzieli oba.

Najbliższa pani jest muzyka dronowa, składająca się z długich, statycznych brzmień. Wiele z tych dzieł przytłacza, jak np. utwór dla Radia Szwedzkiego.

Od dłuższego czasu próbuję przeprocesować sytuację naszego świata, chaotyczną i straszną. Tytuł utworu to „I Carry the Strengh"; myślę w nim o ludziach, którzy przypadkiem znaleźli się w oku cyklonu światowych konfliktów, choć chcą po prostu prowadzić normalne życie. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak są silni, ile cierpienia doświadczyli i doświadczą, i w jak wygodnej sytuacji jestem ja, będąc w kraju, gdzie – jak na razie – nie ma wojny. Wraca do mnie też myśl, że w dzisiejszym świecie postprawdy i social mediów nie wiemy, co się naprawdę dzieje. Dopływa do nas ogrom informacji; które są prawdziwe, możemy tylko domniemywać. Nie chcę muzyką wygłaszać oświadczeń, tylko poradzić sobie z przytłaczającymi emocjami, które nas dotykają, bo nie wiemy, czy robimy wystarczająco wiele, by pomóc. Ten element przytłoczenia chciałam uchwycić. Nie ukrywam też, że śmierć bliskich mi osób, Rafała Zapały i Gerarda Lebika, odcisnęła we mnie trwały ślad. Może to jest mój sposób radzenia sobie także z tymi emocjami.

ROZMAWIAŁA DOROTA SZWARCMAN

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY
LAT
zaiks Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partner Oficjalny
Warszawa

Partnerzy Kategorii
Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: Kujawy Pomorze; Fundusz Filmowy Kujawy Pomorze
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU FUNDACJA
Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl 22434338fa


ORLEN
RÓBMY WIĘCEJ
DLA MŁODYCH
ARTYSTEK
Dołącz do programu
kulturalnyorlen.pl

Szczyty zbrodni

Gdy widzę, jak Karkonosze zalewa fala ciupag, jak łąki nazywa się halami, jak opycha się ludziom na straganach oscypki, to ręce mi opadają – mówi Sławek Gortych, autor bestsellerowej serii górskich kryminałów.



ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: **– Jak się czuje autor, który zdołał sprzedać w Polsce ponad pół miliona egzemplarzy swoich książek? W dodatku autor z rocznika 1997.**

SŁAWEK GORTYCH: – Moja siostra namalowała kiedyś dla mnie akwarelę. Jest na niej karkonoski szlak, w tle widać przepaść Śnieżnych Kotłów, na ścieżce stoję ja, a przede mną na skale legendarny Duch Gór: w kapeluszu, z długą brodą i podróżną laską, opatulony szalikiem, z kieszeni wystają mu garście dzwonków karkonoskich. Patrzymy sobie w oczy z ufnością, ale też powagą – bo to ważne spotkanie, które przesądzi o całym moim dalszym życiu. Władca Karkonoszy pochyla się i podaje mi pisarskie pióro i słoik z atramentem.

Czuję się szczęśliwy, jakbym wypełnił misję powierzoną mi przez Ducha Gór. A rocznik? To budzi u mnie poczucie dodatkowego zobowiązania – bo wiem, że w Karkonoszach wciąż czeka wiele historii, które powinny zostać opowiedziane.

Pan poznał Ducha Gór osobiście?

To była wyjątkowa przygoda! Jest ona jednak zarezerwowana do opowiadania wyłącznie na spotkaniach autorskich z czytelnikami. (*śmiech*)

To proszę chociaż zdradzić przepis na sukces. Ostatnio polski rynek cieszył się, gdy „Chłopki" przekroczyły pół miliona sprzedanych egzemplarzy.

Trzeba być upartym, cierpliwym i sumiennym w pracy, wierzyć w nią i jej wartość, ale też mieć świadomość, że z takimi sukcesami jest jak z wędrówką po Karkonoszach. Piękne widoki i radość ze zdobycia szczytu nie spadają jak gwiazdka z nieba. Najpierw jest długa, samotna wędrówka pełna wątpliwości, czy człowiek ma zapas sił i motywację. I kiedy naiwnie uwierzy się, że tam, za zakrętem, zrobi się już trochę bardziej płasko, a może nawet pokaże się jakiś krajobraz albo schronisko, mija się ten nieszczęsny zakręt, za nim natomiast okazuje się, że dopiero teraz zacznie się prawdziwe podejście, a to, co dotychczas się przeszło, to była tylko rozgrzewka. U mnie było podobnie – pierwsza książka powstawała przez dwa lata i gdy skończyłem ją pisać, pomyślałem, że to już ostatni zakręt przed szczytem. A zaraz potem wyszło, że dopiero zaczynam wędrówkę. Okazało się bowiem, że nie ma żadnego wydawcy zainteresowanego moją powieścią. Dziś wydaje się to niewiarygodne, ale maile z propozycją „Schroniska, które przestało istnieć" wysłałem do kilkudziesięciu wydawnictw. Większość nigdy nie odpowiedziała, inne przysłały lakoniczne odmowy. Dzwoniłem więc, pytałem, przekonywałem; wreszcie zacząłem pracę nad kolejnym tomem, potem założyłem bloga – wszystko, byleby znalazł się wydawca, który uwierzy, że warto dać mi szansę. Przez blisko trzy lata nie znalazł się żaden.

To pana nie zniechęciło?

Zniechęciło – na tyle, że po ponad roku takich starań zarzuciłem pracę nad drugim tomem i pomyślałem, że nigdy go już nie dokończę, bo i po co, skoro nikt nie chce wydać nawet pierwszego tomu. Został blog – moje jedyne medium, za pośrednictwem którego mogłem wtedy

© GRZEGORZ BUDZICH

eprasa.pl 22434338fa

podzielić się swoją pracą i pasją z czytelnikami. Pisałem więc co tydzień krótkie teksty o historii karkonoskich schronisk, zapraszając ludzi na „piątkowe wieczory zagubionych w Karkonoszach". Zamysł był taki, żeby w tym miejscu, na blogu – a był to czas pandemii – zebrać ludzi tęskniących za Karkonoszami, wędrówkami i otwartymi dla turystów schroniskami. I żeby trochę sobie nawzajem w tej tęsknocie ulżyć, wymieniając się zdjęciami i opowieściami o górach.

Skąd pomysł, żeby umieszczać akcję kryminałów właśnie w Karkonoszach?

Posłużę się tu myślą zapożyczoną od Remka Mroza: należy pisać o tym, co człowiek zna, czuje i kocha. A że mi w duszy grają Karkonosze, to wybór tematu powieści mógł być tylko jeden.

A co pana prywatnie w Karkonoszach pociąga?

Ich niebagatelna i bardzo długa historia. To góry w samym sercu Europy, na styku kultur; obiekt odwiecznych sporów Polaków, Niemców i Czechów, oczko w głowie kolejnych książąt, królów i cesarzy. Góry, przez które jeden z istniejących do dziś szlaków – Drogę Śląską – ponoć wytyczył sam Bolesław Krzywousty. Polski władca – niczym Hannibal przeprawiający się przez Alpy – skutecznie zaskoczył atakiem z tej strony Czechów i zwyciężył potem w bitwie nad Trutiną. To także góry, do których od wczesnego średniowiecza ściągali ludzie w poszukiwaniu cennych kruszców i minerałów. Mało kto wie, że według niektórych teorii to właśnie udane „wyprawy po skarby" w Karkonosze leżały u podłoża przyszłej potęgi finansowej i politycznej pewnego bardzo znanego rodu – Medyceuszów. Tak, tych Medyceuszów. I wreszcie – Karkonosze to góry, w których do dziś istnieje kilkadziesiąt schronisk. Wiele z nich liczy sobie czterysta lat i więcej, można więc śmiało stwierdzić, że to prawdziwe domy z duszą. Lubię myśleć o Karkonoszach jako o magicznej, jedynej w swoim rodzaju krainie starych schronisk – w żadnym innym paśmie górskim na świecie nie występują w takim zagęszczeniu.

Czy w hotelu Sanssouci w Karpaczu rozstrzygnęła się druga wojna światowa? Jak pan wpadł na trop tego miejsca?

Nie powiedziałbym, że wojna rozstrzygnęła się w hotelu, ale raczej że niektórzy tam właśnie przypieczętowali swój moralny upadek. Z tego miejsca bije też pewna oburzająca prawda o naszym świecie – że sprawcy potężnych zbrodni zazwyczaj pozostają bezkarni. Gdy prześledzi się losy dyplomatów, którzy w 1944 r. wzięli udział w tajnej konferencji dotyczącej propagandy antyżydowskiej w hotelu Sanssouci, okazuje się, że zdecydowana większość nie tylko nigdy nie poniosła konsekwencji swoich działań, ale też zrobiła po wojnie wielkie kariery. Przeraża mnie też, że konferencja w hotelu Sanssouci to taki obrzydliwy spektakl, stary jak świat, odgrywany co ileś lat w różnych miejscach na świecie: eleganccy ludzie w garniturach spotykają się, żeby przypieczętować ludobójstwo, ubrać je w piękne słowa i uzasadnić jego konieczność. Bezmyślnie klaszczą sobie nawzajem, wyrażając podziw dla kolejnych beznadziejnych przemów. Zmieniają się miejsca, oprawcy i ofiary – schemat moralnej degrengolady pozostaje ten sam. Myślę, że każdy wie, gdzie w obecnych czasach upatruję nowej odsłony „konferencji".

Pisanie, a może czytanie, pomaga znieść ten spektakl?

To spektakl tak ohydny, że trudno byłoby mi o czymkolwiek powiedzieć, że pomaga mi to „znieść". Niemniej pisanie daje mi poczucie, że dzięki książce mam szansę dotrzeć do ludzi z opowieścią o tych zapomnianych, bulwersujących wydarzeniach. I chociaż w ten symboliczny sposób – przez opowieść – „rozliczyć" sprawców, którzy pozostali bezkarni. Skoro wymiar sprawiedliwości zawiódł, niech chociaż literatura sprawi, żeby ludzie pamiętali.

To pytanie i zarazem cytat z posłowia „Schroniska, które zostało zapomniane": „Co zasługuje na większe potępienie: zbrodnia czy próba jej usprawiedliwiania?". Znalazł pan już odpowiedź?

Nie lubię stawiać się w roli sędziego i podejmować oceniania bohaterów swoich książek, dlatego też czasem zostawiam czytelników z pytaniami, dając im przestrzeń do samodzielnego szukania odpowiedzi. Ja swoją znalazłem, ale to moja odpowiedź, a nie prawda objawiona, którą inni mają przyjąć za jedyną obowiązującą.

Pana bohaterowie i pan sam pisze, że Karkonosze mają pewnego rodzaju zakopiański kompleks. Na czym to polega i czy da się to zatrzymać?

Oj nie, w żadnym wypadku tak nie napisałem! Kompleksy to domena smutnych miejsc i ludzi, Karkonosze natomiast uważam za wyjątkowo piękne ▶

REKLAMA



eprasa.pl 22434338fa

▶ i szczęśliwe miejsce. Kompletne. Problem zakopiańszczyzny polega na czymś innym; na transferze tatrzańskich tradycji, strojów, smaków i nazw w Karkonosze. I – żeby była jasność – w pełni szanuję kulturę górali. Uważam jednak, że jej miejsce jest w Tatrach. Gdy zaś widzę, jak Karkonosze zalewa fala ciupag, jak łąki nazywa się halami, jak opycha się ludziom na straganach oscypki określane mianem „karkonoskich" i w gospodach o tatrzańskich nazwach serwuje się „góralskie jadło", to ręce mi opadają. Litości! To tak, jakby promować roladę i kluski śląskie jako tradycję Kaszub! Potem trafi do nas turysta z drugiego końca Polski, który nie zna tych gór, i wyjedzie stąd z przeświadczeniem, że Karkonosze to taka podróbka Tatr. A Karkonosze mają swoje krajobrazy, nazwy, smaki, tradycje. I próba zalania ich zakopiańszczyzną jest według mnie szkodą – zarówno dla kultury Tatr, jak i Karkonoszy.

W posłowiach oddziela pan fakty od pisarskiej fantazji. Nie myślał pan o pisaniu reportaży?

Nie tylko myślałem, ale nawet wróciłem do przerwanych jakiś czas temu prac nad reportażem o karkonoskich schroniskach. Coś więcej będę mógł o nim powiedzieć jesienią.

Czy kolejne książki też będą się rozgrywać w górach i górskich schroniskach?

Na razie powiem tylko, że kończę pracę nad kolejną powieścią i tak – ja i moi bohaterowie zostajemy w Karkonoszach. Szczegóły, mam nadzieję, będę mógł zdradzić w połowie lutego.

W „Gazecie Wyborczej" można było niedawno przeczytać opinię, że to Remigiusz Mróz przeorał polski rynek książki, narzucił tempo. Twórcom kryminałów nie wypada milczeć dłużej niż rok, może krócej. Jak pan to widzi?

Szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem – i chyba nawet nie chcę zrozumieć – konieczności niektórych osób piszących do nieustannego porównywania się. Dziwi mnie, jak niektórzy z niegasnącą pasją wieszają na nieszczęsnym Remku psy; jak oznaczają go w swoich postach, porównują się, narzekają, że pisze tak, a nie inaczej; w takim, a nie innym tempie. Matko! Lepiej skupić tę energię na swoim biurku, na swoich czytelniczkach i czytelnikach. A nie pokazywać wszem wobec swoje kompleksy. Ja nie czuję konieczności brania udziału w jakimś wyścigu albo narzucania sobie tempa tak, żeby dostosować je do innego pisarza. Remigiusza lubię bardzo – jako człowieka i jako pisarza. I szanuję to, że potrafi robić swoje i nie wdawać się w jakieś dziwne internetowe burze. To jest klasa, którą uważam za wartą naśladowania.

A jakie tempo pracy pan sobie narzuca?

Różne, a przede wszystkim: odpowiednie dla okoliczności życiowych – zdrowia, natłoku innych obowiązków, w tym spotkań autorskich. Odpowiednie dla weny i historii, nad którą pracuję. Są przecież takie rozdziały czy całe książki, które pisze się szybko, jak i te, które tworzy się wyjątkowo powoli. Grunt to napisać tak, żeby potem mieć poczucie, że zrobiło się to najlepiej, jak się potrafiło. I nie katować się myślą o utrzymaniu jakiegoś tempa, ale po prostu pracować i dać książce tyle czasu, ile będzie potrzebować.

Coś jeszcze pana łączy z Remigiuszem Mrozem – drugi zawód. A może pierwszy? Mróz jest prawnikiem, pan stomatologiem. Jak stomatolog staje się pisarzem? Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że łatwo być pisarzem, kiedy ma się dobrze płatną pracę.

Tutaj znów musiałbym opowiedzieć pewną dość długą anegdotę – o braku dobrej woli u pewnej pani z dziekanatu, czeskich kelnerach, efekcie motyla i o tym, jak dzięki temu wszystkiemu zacząłem pisać pierwszą książkę. Znów więc: zapraszam gorąco na spotkania autorskie. Co do złośliwych – nie czuję potrzeby wdawania się z nimi w polemikę i tłumaczenia im, że ani być stomatologiem, ani pisarzem nie jest tak łatwo. A tym bardziej dwoma naraz.

Pacjenci pana rozpoznają?

Od roku mam urlop od stomatologii, ale gdy jeszcze pracowałem, spotkała mnie dwa razy dość zabawna sytuacja. Raz na wizycie pacjent opowiadał mi o Śnieżnych Kotłach, w których okolicy przeżył porażenie piorunem. Szczegółowo opisywał mi topografię miejsca, odparłem więc, że znam je dość dobrze. Pacjent jednak nadal tłumaczył mi, że na pewno nie znam go aż tak dobrze, bo on chodzi tamtędy często i musi uszczegółowić mi opis miejsca, w którym doszło do wypadku. W końcu, nieco zniecierpliwiony, odparłem, że naprawdę dobrze je znam, byłem tam więcej niż kilka razy, co więcej, napisałem o Śnieżnych Kotłach książkę, a w zasadzie trzy. Pacjent spojrzał na mnie oburzony i powiedział: „Tak? To do widzenia". I wyszedł. Wrócił na kontrolę jakiś miesiąc później i wyjaśnił, że wtedy się zirytował, bo pomyślał, że mówiąc o napisaniu książki, blefowałem i po prostu chciałem go wyprosić z gabinetu. Coś jednak nie dawało mu spokoju, sprawdził moje nazwisko na recepcie, zaczął szperać w internecie i odkrył, że mówiłem prawdę. Dlatego na kontroli pojawił się już uśmiechnięty, z książką pod pachą i prośbą o autograf. A druga sytuacja – pacjent był dość mocno przejęty wizytą, nie przepadał za stomatologami. Wszystko udało mi się jednak zrobić dość sprawnie, pacjent – uśmiechnięty, że już po wszystkim – zbiera się do wyjścia i spogląda na moją plakietkę, mówiąc: „Och, nazywa się pan jak ten znany pisarz". Odpowiedziałem: „No tak, bo to ja". „Niemożliwe!". W końcu jednak uwierzył.

Umieścił pan już akcję książki w swoim ulubionym górskim schronisku? Zdradzi je pan?

No pewnie, że tak: schronisko Odrodzenie! Ta nazwa mówi o tym miejscu bardzo wiele – tam naprawdę można się odrodzić. Z Odrodzeniem wiąże mnie wiele pięknych wspomnień z czasów licealnych i studenckich (a więc nie tak dawnych!), jest też świetnie położone – na Przełęczy Karkonoskiej, w samym centrum gór – daje więc doskonałe możliwości wypadowe, jeśli chodzi o wędrówki najpiękniejszymi szlakami polskich i czeskich Karkonoszy. Jednocześnie to wyjątkowo gościnne miejsce – właśnie w Odrodzeniu odbywały się spotkania autorskie po premierze wszystkich moich dotychczas wydanych książek.

Byłam. Pięknie stamtąd widać rozgwieżdżone niebo.

Czyli przeżyła pani odrodzenie w Odrodzeniu!

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Sławek Gortych (ur. 1997 r.) – pisarz, z wykształcenia i zawodu stomatolog, autor bloga „Zagubiony w Karkonoszach", miłośnik gór. Laureat Karkonoskiej Nagrody Literackiej. W jego cyklu karkonoskim ukazały się dotychczas cztery tomy. „Schronisko, które przestało istnieć" otrzymało tytuł Książki Roku 2022 portalu lubimyczytać.pl, a „Schronisko, które przetrwało" i „Schronisko, które spowijał mrok" zostały Książkami Roku 2023 i 2024. „Schronisko, które zostało zapomniane" uzyskało podwójną nominację do Bestsellerów Empiku 2025 – jako kryminał i superprodukcja audio.

© GRZEGORZ GOŁĘBIOWSKI

eprasa.pl 22434338fa

Marzenia na trudne czasy. Polacy nie chcą więcej, a bliżej

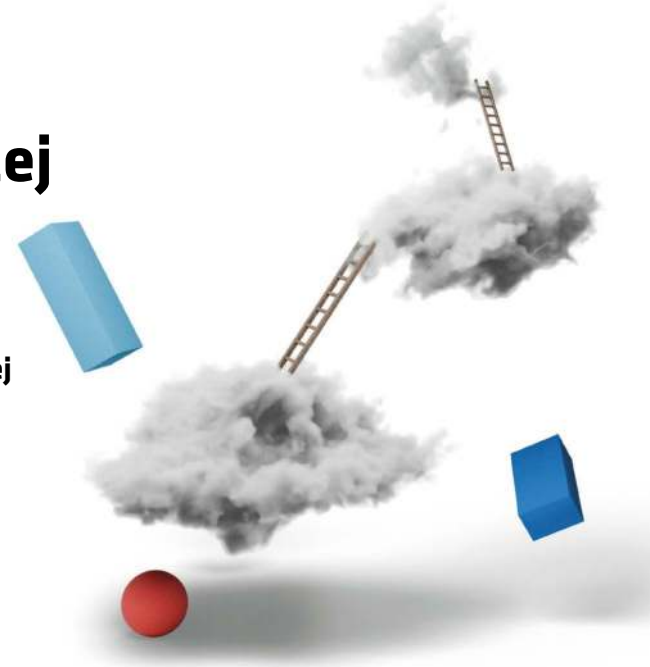

Powinniśmy być z siebie zadowoleni. Raport „Czy Polacy potrafią marzyć?", przygotowany przez Fundację PZU, pokazuje społeczeństwo skupione na rzeczach podstawowych: zdrowiu, stabilności finansowej i bliskości z innymi. W świecie narastających napięć marzenie o „zwykłym, dobrym życiu" okazuje się nie prywatną fanaberią, lecz wspólnym punktem odniesienia.

Aż 93,5 procent Polek i Polaków deklaruje, że marzy. To zaskakująco wysoki wynik w kraju, który od lat opisuje się jako zmęczony, spolaryzowany i nieufny. Jeszcze ciekawsze jest jednak to, o czym marzymy. Najczęściej o stabilizacji finansowej, zdrowiu oraz relacjach i bliskości. Te same obszary okazują się jednocześnie największym źródłem lęku. Marzenia nie są więc ucieczką od rzeczywistości, lecz próbą oswojenia codzienności.

Raport „Czy Polacy potrafią marzyć?", przygotowany przez Fundację PZU we współpracy z infuture.institute Natalii Hatalskiej, pokazuje wyraźnie, że marzenia pełnią dziś funkcję społeczną. Stają się mechanizmem adaptacyjnym. Pomagają zachować poczucie sensu w rzeczywistości, w której coraz trudniej planować długofalowo.



fot. Rami Shaya

Często marzymy o dobrym zdrowiu – deklaruje to ponad 20 procent badanych – choć jednocześnie jest ono jednym z najczęściej wskazywanych źródeł niepokoju.

W szerszym ujęciu największą wagę respondenci przywiązują do stabilizacji materialno-osobistej, na którą składają się marzenia o domu lub mieszkaniu (18,8%), finansach i bezpieczeństwie finansowym (15,4%) oraz pracy i karierze (7,1%). Łącznie ten obszar wskazuje ponad 40 procent badanych, a niemal co czwarty obawia się jego utraty.

Bliskość i relacje pozostają ważnym punktem odniesienia, jednak wśród młodych dorosłych (18-24 lata) lęk przed samotnością coraz częściej staje się jednym z kluczowych doświadczeń.

To kontrastuje z dominującymi narracjami kulturowymi. Zamiast promowanego przez media obrazu luksusu, spektakularnego sukcesu i życia ponad miarę, Polacy preferują język potrzeby równowagi i bezpieczeństwa. To nie tyle zmiana mody, ile korekta aspiracji wobec realnych warunków życia.

Wbrew stereotypom Polacy nie traktują marzeń jako fantazji oderwanych od rzeczywistości. Blisko 60 procent badanych widzi w nich realne cele, a ponad połowa źródło codziennej motywacji. Tylko co piąty respondent uznaje marzenia za coś nierealistycznego.

Ten realizm szczególnie wyraźnie widać wśród najmłodszych dorosłych. Ponad 85 procent osób w wieku 18–24 lata uważa, że marzenia są osiągalne. To pokolenie, które bywa opisywane jako kruche i zagubione, okazuje się jednocześnie niezwykle pragmatyczne. Szuka sensu, relacji i stabilności, a nie iluzorycznego blichtru.

Najmłodsi są najbardziej emocjonalnie spolaryzowaną grupą w badaniu. Z jednej strony dominują wśród nich nadzieja i motywacja, z drugiej silnie obecne są niepokój i frustracja. To pokolenie, które otwarcie mówi o lęku przed samotnością, cyfrową izolacją i rozpadem więzi społecznych.

Jednocześnie młodzi wierzą, że marzenia mogą być narzędziem odbudowy relacji. Nie tylko tych intymnych, ale także wspólnotowych. To ważny sygnał w czasach, gdy debata publiczna coraz częściej koncentruje się na konfliktach, a rzadziej na tym, co może łączyć.

Najmocniejszym wnioskiem raportu jest powrót do prostoty. Polacy nie marzą o „więcej", lecz o „lepiej". O domu, w którym jest spokojnie. O pracy, która daje stabilność. O relacjach, które nie rozpadają się pod wpływem kolejnego kryzysu.

Najczęściej powtarzanym marzeniem jest po prostu „zwykłe, dobre życie". To zdanie, które jeszcze dekadę temu mogłoby brzmieć banalnie, dziś nabiera ciężaru. Jest odpowiedzią na globalne zmęczenie, poczucie zagrożenia wojną, inflacją, rozpadem zaufania do instytucji i mediów.

Czy to źle, że marzymy przyziemnie? A może właśnie w tym kryje się potencjał? Raport Fundacji PZU sugeruje, że marzenia mogą stać się fundamentem nowej wspólnoty, opartej nie na wielkich hasłach, lecz na wspólnych potrzebach.

Jak podkreśla prezeska Fundacji PZU, Maja Mazurkiewicz, marzenia nie są dziś luksusem ani ucieczką od rzeczywistości. Są sposobem radzenia sobie z nią. Być może w kraju pełnym podziałów to właśnie one, paradoksalnie, okazują się jednym z niewielu doświadczeń naprawdę wspólnych.

Tekst na podstawie raportu „Czy Polacy potrafią marzyć?". Pełna publikacja dostępna na stronie Fundacji PZU.

PZU FUNDACJA

eprasa.pl 22434338fa



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Najpopularniejszymi polskimi politykami na YouTube są Sławomir Mentzen, Dariusz Matecki i Jan Kanthak. Gratulacje. To wielki sukces Rafała Trzaskowskiego. Wreszcie nie jest drugi.

●

Nareszcie sukces Polski. Nazwisko Sandry Kubickiej pojawiło się w odtajnionych dokumentach afery Jeffreya Epsteina. Karol Nawrocki obiecywał, że nasze relacje z USA będą silne jak nigdy wcześniej.

●

Media demaskują: „Maciej Dowbor jest młodszy od Joanny Koroniewskiej. Różnica wieku zaskakuje". Różnica to siedem miesięcy. Autorka tego newsa skończyła studia dziennikarskie. Nie ma podstaw, aby jej nie wierzyć.

●

Mateusz Damięcki wraz z żoną pokazali swoje nagie zdjęcie z podpisem: „Wcale nie jesteśmy tacy nudni". Jest taki cytat z Woody'ego Allena: „Robicie tu operacje powiększania członków? – Nie mamy miejsca. – Tylko kilka centymetrów".

●

Wrocławska prokuratura sprawdza, czy Patryk Vega oszukał inwestorów, obiecując 700 proc. zysków z filmu „Putin". Patryk jest tak dobry we wszystkim, że wygrałby w konkursie na szczupłą kobietę.

●

Szok. Aleksandra Mirosław, rekordzistka świata we wspinaczce sportowej, kończy karierę. I bardzo dobrze. Ciężko jest długo uprawiać sześciosekundowy sport.

„Czasami ktoś myśli, że robi czystkę. A w praktyce robi casting konkurencji. Historia to rozliczy". To Tomasz Kammel o TVP. Wolę inną teorię: to my tworzymy historię. Inni muszą na nią czekać.

●

Plotek w formie: „Bardowska żałuje tych rozwiązań w kuchni. Podpadł jej nowoczesny piekarnik. Trzeba nacisnąć kilka razy". Jeśli kiedykolwiek czułeś się bezużyteczny, to pomyśl o autorze tej sensacji.



Szymon Hołownia podjął poważną decyzję. Z okazji 50. urodzin kupił sobie kapelusz. Według sennika zakup kapelusza oznacza nagłą wizytę wierzycieli. Czyli się zgadza.

Wojciech Cejrowski znów połączył siły z Michałem Rachoniem, tym razem w Telewizji Republika. Naukowcy niedawno odkryli, że połączenie wirusów grypy typu A i wirusów RSV może stworzyć groźną hybrydę.

●

Monika Jarosińska ma nowe zęby, które zrobiła u fachowca, którego zaatakował Filip Chajzer. Ciekawe. Zakład Pogrzebowy A.S. Bytom też ma oryginalną reklamę: „Klienci ciągle odchodzą, a pracy nie ubywa".

●

Daniel Martyniuk wezwał swojego ojca do pojedynku na pięści: „Rozje*** cię. Przez dwa lata nie zaśpiewasz nic". Ruth Benedict dzieliła wzory kultury na dionizyjskie i apollińskie. Tu mamy przykład kultury al dente.

●

Jest oferta franczyzowa biznesu kebabowego Filipa Chajzera. 15 tys. wpisowego i 3 tys. co miesiąc. Wszystko wskazuje na to, że opieki dentystycznej w pakiecie brak.

●

Media plotkarskie w natarciu. Ostatnio zdemaskowały, że Rafał Mroczek prawdopodobnie dużo zapłaci za oświetlenie swojego domu. Czasem, żeby pokazać czyjąś jasność, trzeba sięgnąć po swoją ciemność.

●

9 kwietnia odbędzie się rozprawa Ryszarda Rynkowskiego dotycząca przestępstwa z artykułu 178 paragraf 1 Kodeksu karnego. Dla kogoś nierozumiejącego tych liczb prostszy komunikat: 1,84 promila.

●

Wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak powitał na świecie swoje czwarte dziecko – trzeciego syna, Stefana Jerzego. Życzę zdrowia. Co po likwidacji przez tatusia PIT, CIT, ZUS, NFZ, FP i FGŚP nie będzie proste.

© INSTAGRAM.COM/SZYMON.HOLOWNIA

eprasa.pl 22434338fa



Orły białe, rybki złote

Szanowni państwo, na wstępie chciałbym przeprosić wszystkich, którzy poczuli się urażeni. Postanowiłem zmienić swoje życie i rozpocząć terapię. Honorarium za niniejszy felieton przeznaczę na cele charytatywne. A czy wspominałem już, że kocham pieski?

Dobrze, trochę konfabuluję. Nie zrobiłem chyba dotąd niczego, za co powinienem publicznie przepraszać. Jeśliby się przydarzyło, to starałbym się nie podpierać wszystkimi urażonymi. Terapię rzeczywiście rozpocząłem, ale już dawno temu, gdyż – cytując reżyserkę Barbarę Białowąs z wywiadu dla serwisu Filmweb – „inaczej się już teraz nie da". A honorarium przeznaczę na to, na co przeznaczę. Pieski rzeczywiście kocham, tu nie mam już żadnych usprawiedliwień. Tak czy siak, powyższe deklaracje różnią mnie od jakichś 90 proc. polskiej klasy publikująco-występującej.

Wyświechtane zdanie „w Polsce nie da się skompromitować" z każdym kolejnym rokiem nabrzmiewa, ale i blednie. „Nic już nie można powiedzieć!" – krzyczą rodzimi kawalerzy politycznej niepoprawności. „E tam, wszystko ujdzie" – odpowiada świat. My, Polacy, to bowiem orły białe, ale i rybki złote, przynajmniej jeśli chodzi o pamięć. Załóżmy, że w kołysce będąc, przywróciłeś z niebytu przedwojenną faszyzującą organizację i pracowałeś na rzecz dezintegracji z Unią Europejską (to oczywiście czysto hipotetyczna sytuacja!). Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś jakiś czas później został najbardziej demokratycznym demokratą w historii demokracji. Dwumetrową nadzieją na to, że nie wpadniemy w sidła prawicy, że Polska i UE równa się „wielka szalona miłość". Łezka się w oku kręci na wspomnienie tego, jak przybijaliśmy sobie piątki na ateńskiej agorze.

Załóżmy też, brnąc dalej w hipotezy, że jesteś internetowym influencerem, który stworzył wokół siebie kilkusettysięczną społeczność i wielomilionowy biznes, związany głównie z organizowaniem walk innych influencerów. Oraz byłych – i obecnych – kryminalistów. W tak zwanym międzyczasie wychodzi na jaw, że będąc już pełnoletnim mężczyzną, wysyłałeś nieobyczajne zdjęcia dzieciom. Banicja? Raczej limbo w wersji instant: nagrasz smutne wideo, przeprosisz wszystkich (którzy poczuli się urażeni), zapewnisz o swojej przemianie i po sprawie. Każdy ma swoją Kanossę, niektórzy mogą jednak liczyć na podwózkę pod samą bramę.

Chyba nie ma dziś przyjemniejszego zawodu niż specjalista od PR pracujący dla polskiego celebryty/influencera/polityka. Wystarczy upewnić się raz na jakiś czas, że w oświadczeniu opublikowanym w mediach społecznościowych nie ma błędów ortograficznych i tyle, fajrant. Często nie warto nawet formułować przeprosin: skoro ktoś nie przeprasza, to nie ma mu czego wybaczać. Są inne sposoby.

Jesteś magnatem nowych mediów i zapraszasz do studia przestępców? Znęcasz się, ku uciesze publiczności, nad ideologicznym oponentem? Owszem, ale: „mają tu państwo zbiórkę na chorego (wstaw zdrobniałe imię dziecka)". Hola, hola, my tu czynimy dobro! Możesz też, głosując za zmniejszeniem wydatków na służbę zdrowia, angażować się całym sercem w akcję, która rokrocznie gwarantuje około promila całej kwoty. Nie mam nic przeciwko Wielkiej Orkiestrze, samemu zdarza mi się dorzucić coś z własnej kieszeni, a nawet „wystawić się" na aukcję. Znajmy jednak proporcjum i nie traćmy z oczu spraw najistotniejszych. Działalność charytatywna to zresztą nie tylko listek figowy przykrywający brak rozwiązań systemowych (oraz niechęć do wdrożenia tychże). To również najbardziej poręczne narzędzie, jeśli chodzi o tzw. sygnalizowanie cnoty. A gdy w grę wchodzą jeszcze pieski? No to nie ma dyskusji.

Wspomniany *charity washing* należy – na równi z nadmiarowym vibrato – do specjalności pewnej znanej wokalistki. Jedna z najbardziej konfliktowych osób w polskim show-biznesie od dawna wikłała się w akcje charytatywne, np. te wymierzone we wszechobecną nienawiść. Tym razem postanowiła poprawić los zwierząt z „patoschroniska" w Sobolewie i podobnych placówek. Naprawdę wierzę, że artystce zależy na zaniedbanych psach. W roli rzeczniczki sprawy wypada zresztą bardzo przekonująco. Jakkolwiek paskudnie by to jednak brzmiało, trudno nie zauważyć, że to natężenie działań odbywa się w cieniu demaskatorskiego materiału Kuby Wątora oraz – od niedawna już prawomocnego – wyroku w sprawie nękania byłego partnera. O wspomnianych kontrowersjach wiedzieliśmy zresztą od dawna, a i tak w żaden sposób nie przeszkadzały największym mediom w zapraszaniu artystki na duże imprezy. Dziś możemy stwierdzić z całą pewnością, że nie będą przeszkadzać dalej.

I tak się żyje w tej naszej Polsce: zapominamy, wybaczamy, zapraszamy, machamy ręką. Na naszych oczach przesuwa się granica podłości, przez którą można przejść suchą stopą, bez jakiegokolwiek karierowego szwanku. Pełna moralnej wyższości cancel culture to ślepa uliczka, ale kultura „mniejsza z tym" jako alternatywa sprawdza się niespecjalnie. Choć dobrze, jeżeli przynajmniej uda się pomóc pieskom.

MATEUSZ WITKOWSKI

Mateusz Witkowski – podkaster, dziennikarz, krytyk muzyczny i popkulturowy. Współtworzy Podcastex i portal popmoderna.pl, wierzy wyłącznie w Alessandro Del Piero.

eprasa.pl 22434338fa

FELIETON

Sulej



Punkowe wzgórza

Popkultura kocha Jane Austen. Może dlatego, że kultura masowa musi być bezpieczna, mieszczańska, rodzinna. A mimo rozmaitych perypetii u Austen wszystko zawsze kończy się dobrze, dobranym małżeństwem. To przepis na każdą komedię romantyczną. Fantazja jest ta sama – i konserwatywna. Popkultura ma za to problem z „Wichrowymi Wzgórzami" Emily Brontë. Od pierwszego wydania w 1847 r. aż po film z Margot Robbie i Jacobem Elordim w 2026 r. książka ta sprawia kłopot wszystkim recenzentom i interpretatorom. Dlaczego ta książka jest tak poruszająca?

Są teorie marksistowskie: Heathcliff mści się na swoich ciemiężycielach jako klasa pracująca, której uniemożliwiany jest społeczny awans. Są teorie socjologiczne: to opowieść o rodzącej się klasie średniej, o nowoczesnym człowieku demokracji, który nie jest skazany na swój los – i o lęku przed tym. Jest i taka teoria, że autorka wymyśliła Heathcliffa zauroczona Byronem i jego wizją męskości, że to książka romantyczna, ale nie w popularnym znaczeniu tego słowa, tylko odnosząca się do wrażliwości tej epoki.

Według influencerek z TikToka jest to książka o tym, że kobiety zawsze zakochują się w bad boyu, choć wiedzą, że lepiej byłoby zostać z miłym, poukładanym chłopcem z dobrego domu, jak Linton. Psychoanalitycy stwierdzą, że to książka o międzypokoleniowej traumie przemocy i opuszczenia oraz o konsekwencjach PTSD. Literaturoznawcy powiedzą, że to książka gotycka, gdzie zanikają granice między życiem a śmiercią, rozumem a szaleństwem, gdzie mroczny jest zarówno krajobraz, jak i dusze.

> Emily Brontë wiedziała, że możesz wierzgać, ale nie wyjdziesz z systemu. A każda miłość w patriarchacie jest tragiczna.

To moja ukochana książka. Także dlatego, że żadna z tych teorii nie wyczerpuje mnogości interpretacji. Najbardziej samotnicza z sióstr pisarek, uwielbiająca włóczenie się po wrzosowiskach, dotyka tu sedna natury człowieka. Nie żartuję. Jasne, książka jest osadzona w swojej epoce, ale to przede wszystkim alegoria naszego świata. Dwa domy, dwie rodziny, sojusznicy i wrogowie, biblijny wręcz oddech – to filozoficzna przypowieść, a nie żaden tam „romans wszech czasów".

Taka lektura ma ją oswajać, odbiera jej anarchiczną moc. Emily mówi dobitnie, że stworzyliśmy sobie kulturę, która nas unieszczęśliwia. W tym świecie żadne prawdziwe porozumienie się, połączenie nie jest możliwe. Dzieciaki biegające po wrzosowiskach wyrastają na dorosłych, którzy nie wiedzą, jak żyć, żeby być szczęśliwym. Ta kultura z pozoru jest dobra, bo ma ogarniać przemoc, żebyśmy się nawzajem nie pozabijali. Ale czy rzeczywiście to robi? Czy służąca Nelly jest taka kochana, kiedy nie pomaga Catherine i Heathcliffowi, bo ważniejsze jest dla niej własne „święte przekonanie"? Albo Linton i Isabella, którzy robią z Catherine damę, żeby mieć z tego korzyść? Nikt nie pozostaje poza przemocą, jest wszechogarniająca niczym wiatr dudniący przez wzgórza. W kulturze, jaką sobie stworzyliśmy, każdy jest okrutny. Tylko przyroda okazuje się gościnna, choćby to były wrzosowiska.

To nie jest wygodna, mieszczańska wizja życia. Emily rozumie, że za wszystkimi konsensami kryje się władza i każdy, kto jest słabszy, ląduje na przegranej pozycji. Słabsza jest kobieta bez majątku. Słabszy jest mężczyzna bez pochodzenia. Catherine i Heathcliff przeglądają się w sobie i rozpoznają siebie nawzajem. Jak napisze wiek później Simone de Beauvoir, kobieta jest Inną w kulturze. Heathcliff jest Obcy. Jako wyrzutkowie systemu są do siebie podobni, mają nadzieję na własny świat i własne reguły. Nie dają rady jednak wygrać z porządkiem, w jakim dorastają. Romantyczni to sobie mogą być Edgar i Isabella, mają pieniądze i rodowód, mogą kaprysić. Catherine i jej ukochany walczą o przetrwanie.

Romantyzujemy wszystkie te straszne rzeczy w „Wichrowych Wzgórzach", żeby były piękniejsze, bardziej miękkie, mniej nas niepokoiły. Jesteśmy jak Linton i Isabella. A przypominam, że romantyzujemy: przemoc, chorobę psychiczną, traumę, nadużycia, upokorzenie, samotność, okrucieństwo, mściwość, zaborczość, zazdrość, zawiść. To jest głęboko, gorzko feministyczna książka, ale nie na powierzchownym poziomie – że niby Cathy jest taka sprawcza i charakterna. Wcale nie jest. Ani ona, ani Heathcliff. Są bezradni, tak jak bezradni są więźniowie. Zamiast w system, celują w siebie. Emily Brontë napisała najlepszą książkę o patriarchalnym, kapitalistycznym świecie, w którym żyjemy, *avant la lettre*.

W książce jest taka bardzo poruszająca scena, w której Catherine mówi Lintonowi i Heathcliffowi, że są siebie warci, że obaj ją rozczarowali. Zauważa też, jaką hipokrytką sama się stała. Nie jest w stanie tego znieść. Szaleństwo i śmierć to dla niej jedyne wyjście. „Wichrowe Wzgórza" to granat wrzucony w sam środek cywilizacji, jaką sobie wymyśliliśmy. Jedna z najbardziej anarchistycznych opowieści, jaką sobie opowiadamy. Emily Brontë była punkówą do cna. Wiedziała, że możesz wierzgać wobec systemu, szokować, ale nie możesz z niego wyjść. A każda miłość w patriarchacie jest tragiczna. No future.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 22434338fa



Co jest nie tak z mężczyznami

Na ekrany i ekraniki wjechał właśnie nowy odcinek thrillera „Z Archiwum Epsteina". W dzisiejszej kulturze dopaminy o takich produkcjach pisze się na zachętę, że miażdżą, mielą mózg, wywalają w kosmos itd. Nakręcony z hollywoodzkim rozmachem serial dla dorosłych, następca kultowego „Z Archiwum X", przenosi hitchcockowską sztukę suspensu na wyższy poziom: nie tylko nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy, ale też ile odcinków pozostało do końca, jaka jest pełna obsada i kiedy spodziewać się następnych premier. Grafik emisji zdaje się korelować z intensywnością płomieni pod *pleno titulo* siedzeniem pewnej wielkiej i pięknej zaatlantyckiej figury, którą ostatnio mocno parzy ICE. Krążą też przypuszczenia, że współproducentem „Z Archiwum Epsteina" może być tajemniczy gracz kryjący się za trzyliterowym skrótem FSB.

Fabuła „Z Archiwum Epsteina" wykorzystuje teorie spiskowe podobnie jak „Z Archiwum X". W serialu z lat 90. agenci federalni Fox Mulder (David Duchovny) i Dana Scully (Gillian Anderson) tropili spisek służb, które w tajemnicy eksperymentują na kosmitach, by doskonalić technologie wojskowe. Komu to służy, nie jest jasne, ale czy teorie spiskowe nie są właśnie po to, żeby się wciąż gmatwały? „Z Archiwum Epsteina" eksploatuje z kolei teorie o spisku skorumpowanych liberalnych elit, w tym teoryjkę o międzynarodowej siatce pedofilskiej, do której mieliby należeć czołowi przedstawiciele amerykańskich Demokratów.

> Słychać o „ludziach", „osobach" i „nazwiskach". Ale w archiwum alfonsa-krezusa są na ogół mężczyźni.

Na początku się wydawało, że archiwum Epsteina będzie działać na korzyść zwolenników Donalda Trumpa, jednak tak nie jest: Trump pojawia się w nim dużo częściej niż Bill Clinton. Najbardziej zajadli członkowie wojujących plemion skaczą sobie do gardeł, próbując dowieść, że sprawa Epsteina zaorała tych drugich, jednak powoli przeważa opinia, że „Z Archiwum Epsteina" demaskuje cały establishment. Wrzucone do sieci pliki tekstowe i zdjęcia wywołują wściekłość na bogatych udziałowców władzy. Pal sześć, że materiały te nie zostały zweryfikowane pod kątem użycia AI, chociaż nie od dzisiaj wiadomo, że firma producencka na trzy litery jest dobra w te klocki. I właśnie jej najbardziej zależy na podważaniu zaufania zachodnich społeczeństw do państwa i zwiększaniu chaosu. To ona zasila i podkręca ruchy antysystemowe, tuczące się społeczną nieufnością, strachem i resentymentem. I bardzo komfortowym przekonaniem, że zdemoralizowane mogą być i są wyłącznie te bydlaki ze świecznika.

Kiedy minister cyfryzacji zaproponował wymianę określeń „kobieta i mężczyzna" na „małżonek 1 i małżonek 2" w drukach stanu cywilnego, Polacy masowo kładli się Rejtanem (niektórzy nadal leżą). Ciekawe, że nie oburza ich neutralność płciowa w odniesieniu do plików Epsteina. Na okrągło słuchamy o umoczonych „ludziach", „osobach" i „nazwiskach", ale nigdy o „mężczyznach". A przecież archiwum alfonsa-krezusa pokazuje przede wszystkim to: mężczyzn, mężczyzn, mężczyzn. Połączonych samczą lojalnością i przekonaniem, że etyka i prawo są dla dzieci, kobiet i frajerów. Pewnych, że wolno im zaspokoić każdą zachciankę nawet kosztem pogwałcenia granic innej osoby, nawet kosztem jej śmierci.

Usłyszałam kiedyś od znajomego, że dla niego najlepszym przyjacielem jest facet, do którego może zadzwonić, gdyby któregoś ranka obudził się obok martwej kobiety i potrzebował pozbyć się ciała. Wśród koleżków dla kobiet przewidziane są dwie role: można być lizuską naganiaczką i czerpać satysfakcję z odwetu na młodszych kobietach za własne upokorzenia albo świeżym mięsem dla seksualnych drapieżników, z datą przydatności wyznaczoną na dzień 21. urodzin, ale bez dolnej granicy wieku.

Mężczyźni z kręgu Epsteina opływają w aktywa i realną władzę, ale nie to ma decydujące znaczenie. Wystarczyłby kapitał symboliczny – poczucie uprzywilejowania wobec kobiet płynące z samego faktu bycia mężczyzną. W literaturze przedmiotu nazywa się to „patriarchalną dywidendą". „Szukam zwyrola, który zgwałci moją śpiącą żonę" – ogłaszał się w sieci Dominique Pelicot, zwyczajny mąż z niższej klasy średniej. Faszerował żonę psychotropami i udostępniał jej nieprzytomne ciało obcym mężczyznom, co nagrywał, klasyfikował i archiwizował. Chętnych znajdował w takiej liczbie, że interes kręcił się przez lata. Kiedy wpadł, kilkudziesięciu zwyroli udało się zidentyfikować i ci stanęli przed sądem. Na prośbę Gisèle Pelicot proces był jawny, więc można się było naocznie przekonać, że wszyscy wyglądali jak facet z sąsiedztwa. Zamiast prywatnej wyspy na Karaibach Pelicot miał tylko sypialnię na francuskiej prowincji. Zamiast ludzkiej „cielęcinki" oferował jedynie starzejące się ciało żony. Ale poczucie władzy miał takie samo i tak samo był zdemoralizowany. Jak zauważa Manon Garcia w książce „Żyć z mężczyznami. Refleksje wokół sprawy Gisèle Pelicot", nie chodzi o to, co jest nie tak z elitami. Chodzi o to, co jest nie tak z mężczyznami.

RENATA LIS

eprasa.pl 22434338fa



Zagrożenie dla Polski

W Zamościu (woj. lubelskie) odbył się koncert artysty Maleńczuka, który w opinii radnej Martyniuk z PiS „nigdy nie powinien się wydarzyć". Fakt, że mimo to się wydarzył, jest dla tej radnej oburzający, co w ogóle mnie nie dziwi; w końcu od Lubelszczyzny – matecznika posła Czarnka i reprezentowanych przez niego wartości – mamy prawo wymagać, żeby wydarzały się tam tylko rzeczy, które powinny się wydarzyć, a inne, takie jak koncerty rozmaitych Maleńczuków, niech wydarzają się gdzie indziej.

Szczególnie oburzające było, że Maleńczuka zaproszono na Podsumowanie Roku Kulturalnego 2025, mimo że w opinii radnej Martyniuk jego sztuka z panującą na Lubelszczyźnie kulturą nie ma nic wspólnego, gdyż jest pozbawiona pisowskich wartości oraz opiera się na używkach i wulgarnych wyrazach, których artysta użył, pozdrawiając podczas koncertu osoby posiadające poglądy zbieżne z poglądami radnej Martyniuk okrzykiem: „Czołem, pisiory!".

W odróżnieniu od Maleńczuka, który na razie zagraża tylko Lubelszczyźnie, dysponujący „podejrzanymi wschodnimi kontaktami" marszałek Czarzasty stanowi zagrożenie dla całej Polski. W celu walki z tym zagrożeniem prezydent Nawrocki zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego, z pomocą Polsce ruszył też ambasador USA, który ogłosił, że zrywa z Czarzastym stosunki. Doceniam ten gest, chociaż moim zdaniem kara jest zbyt łagodna; biorąc pod uwagę to, co spotkało wenezuelskiego tyrana Maduro, uważam, że Stany Zjednoczone stać na więcej.

Nałożenie amerykańskich sankcji na Czarzastego ma związek z obraźliwym niepopieraniem przez niego kandydatury Donalda Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, którą Trump bardzo chce mieć. Ambasador Rose ostro sprzeciwił się niezasługiwaniu Trumpa na nominowanie przez Czarzastego i dał do zrozumienia, że to nienominowanie może zaszkodzić stosunkom polsko-amerykańskim oraz dalszej obecności wojsk USA w Polsce.

Zgadzam się, że dziecinny upór prezydenta USA w domaganiu się dla siebie Nagrody Nobla to istotny powód, żeby Czarzasty go nominował. Uważam, że dla świętego spokoju i dobra Polski powinien to zrobić, ale – jak wicepremier Gowin – nie cieszyć się. Z drugiej strony tym nieciesz eniem się mógłby jeszcze bardziej Trumpa obrazić, dlatego może niechby już lepiej się cieszył, ale inteligentnie, tak żeby Trump i Rose byli zadowoleni, a wszyscy inni mieli jasność, że to nie było na poważnie. Pozostaje mieć nadzieję, że odmawiając Donaldowi Trumpowi nominacji, Czarzasty nie naraził Polski na to, że Trump, który zrobił dla Polski tak wiele dobrego, zdenerwuje się i zrobi w końcu coś złego.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit Leipa

eprasa.pl 22434338fa



Zaangażowana

W Gałkowie na Mazurach zmarła w wieku 91 lat **Renate Marsch-Potocka**, przez 30 lat korespondentka w Warszawie niemieckiej agencji prasowej DPA. Relacjonowała polskie spory wokół listu biskupów w 1965 r., wizytę Willy'ego Brandta, zbliżenie polsko-niemieckie w czasach Gierka, powstanie Solidarności i polską transformację roku 1989. W czasie stanu wojennego Renate Marsch poznała cała Polska z rzeczowych, krytycznych pytań na konferencjach rzecznika rządu Jerzego Urbana. Po przejściu na emeryturę osiadła na Mazurach; działała na rzecz ochrony środowiska i rozwoju turystyki. Miała dwoje dzieci. W 2006 r. wraz z synem Aleksandrem stworzyła w Gałkowie nastrojowy salon upamiętniający zasłużoną dla polsko-niemieckiego dialogu hrabinę Marion Dönhoff, wieloletnią wydawczynię tygodnika „Die Zeit", gromadząc pokaźny zbiór niemieckich i polskich książek. W 2013 r. prezydent Komorowski odznaczył Renate Marsch-Potocką Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski, a w 2019 r. otrzymała za swoją pracę dziennikarską Nagrodę im. Biskupa Ignacego Krasickiego.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia.

ZESPÓŁ POLITYKI

Kto i dlaczego polecał Epsteinowi film POLITYKI

Ze zdumieniem odkryłem, że i moje nazwisko trafiło do akt Epsteina. Ale to wina POLITYKI. Dekadę temu publikowaliśmy autorskie filmy dokumentalne o frapujących umysłach, w tym o matematyku Gregorym Chaitinie. To postać na tyle ciekawa, że i Robert Lawrence Kuhn, amerykański „intelektualista publiczny", zapraszał go do swojego cyklu „Closer to Truth", hojnie finansowanego przez struktury filantropijne i darowizny Epsteina. W mailu z 1 kwietnia 2019 r. Kuhn pisze do „jeffreya E." o Chaitinie, a matematyk odsyła panów do źródła wiedzy o nim – mojego filmu „Wbrew metodzie". I byłaby to tylko błaha anegdota, gdyby nie ilustrowała powodów, dla których Epstein wspierał producentów i popularyzatorów wiedzy: w kolosalnej większości ludzi o nieposzlakowanej opinii, jak Chaitin i Kuhn. Po pierwsze – co ujawniła m.in. jego kuriozalna rozmowa ze Steve'em Bannonem – przypisywał nauce alchemiczną moc wyjaśniania mrocznych zagadek psychiki i rynków. Po drugie, inwestując w ludzi o wysokim kapitale symbolicznym, zaskakująco sprawnie realizował wielomilionowy projekt prania własnej reputacji.

KAROL JAŁOCHOWSKI

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

50 lat temu, a dokładnie w numerze 7. z 1976 r., Janusz Zielonacki w tekście „Gra na olimpijskie numery" opisywał stan polskiego sportu w związku z zimowymi igrzyskami olimpijskimi w Innsbrucku.

„Jeździli Polacy na zimowe olimpiady od początku, czyli od 52 lat. Bywało, że w łatanych portkach, za cudze pieniądze i tylko po to, żeby zamanifestować swoją obecność. (...) Nikt nie liczył na dobre wyniki. (...) Dobrze się więc też stało, że pojechaliśmy i do Innsbrucka. Ale czy potrzeba nas tam było aż tylu? Do tej pory zdobyliśmy punkt za elegancki wygląd. I jeszcze jeden – za pewne szóste miejsce hokeistów. Ile to wypada na wszystkich zawodników i towarzyszące im osoby? (...). Ile osób w Polsce wie, że np. na starcie mistrzostw kraju w łyżwiarstwie bywa z górą kilkanaście zawodniczek? Kto wie, że w ub. roku podczas 50-ych Jubileuszowych Mistrzostw Polski w narciarstwie w biegu na 30 km startowało mniej niż 20 zawodników, w dwuboju klasycznym chyba 10 (...). Nie lepiej sytuacja wygląda w narciarskich konkurencjach alpejskich. (...)


POLITYKA
O kulturze państwowej

Kto wie, ilu działaczy między olimpiadami zrezygnowało z życia sportowego? Powód, dla przykładu, podam tylko jeden: sędzia piłkarski otrzymuje za mecz 300 zł; sędzia narciarski, stojąc często po pas w śniegu, na mrozie – 40 zł. (...) Kto widział naszych alpejczyków tłukących się pociągami (każdy dźwigał kilka par nart naraz) z zawodów na zawody, z kraju do kraju? (...) Kto potrafi wreszcie zrozumieć, że w kraju, w którym jeździ ponad milion narciarzy, nie ma narciarstwa wyczynowego z prawdziwego zdarzenia?".

Kasacja po polsku

W artykule „Żart, nie wyrok" (POLITYKA 6) podałam, że rocznie do Rzecznika Praw Obywatelskich wpływa ponad 200 wniosków o kasację niesprawiedliwych wyroków, tymczasem wpływa ich ponad 2 tys. Warto też dodać, że średnio 1930 wniosków trafia do prokuratora generalnego, który obok RPO też może występować z kasacją od niesprawiedliwych wyroków. Sąd Najwyższy w 2025 r. rozpoznał 297 kasacji (spośród 430 skierowanych), z których oddalił jako niezasadne tylko dwie. Co pokazuje skalę nieprawidłowości w sądownictwie.

VIOLETTA KRASNOWSKA

© WOODY OCHNIO/PAP

eprasa.pl 22434338fa

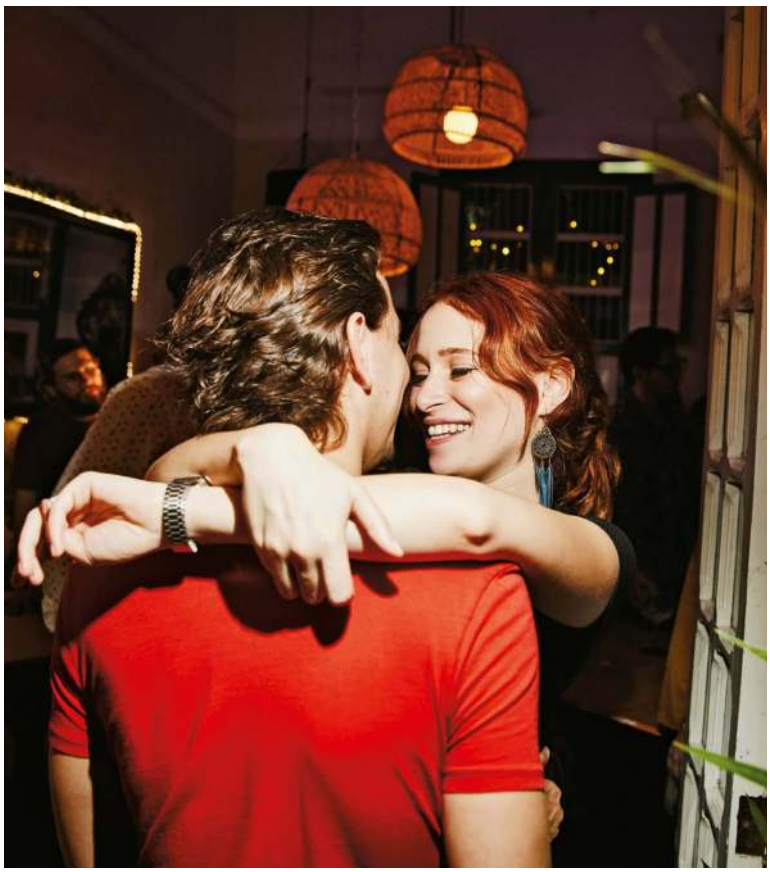

TREND

Same czerwone flagi

Powstał nowy alfabet miłosny: B jak bezpieczny, L jak lękowy, U jak unikowy. Nowe etykiety mają chronić przed bólem, stratą czasu i kolejnym rozczarowaniem.

Teoria przywiązania funkcjonuje dziś w kulturze popularnej jako narzędzie do wyliczania tzw. red flagów, czyli sygnałów ostrzegawczych. Nie odpisuje od razu – pewnie jest unikowy; potrzebuje zapewnień – musi być lękowa; ciągle domaga się bliskości – atencjuszka, też red flag. – *Wiedza o stylach przywiązania powinna nam ułatwiać budowanie dojrzalszych więzi, jednak coraz częściej bywa wykorzystywana przez poppsychologię do etykietowania i odstraszania* – uważa psycholożka Karolina Szklanny. Typologię stworzyła Mary Ainsworth, amerykańsko-kanadyjska psycholożka rozwoju człowieka. Doprowadziła do wyodrębnienia powtarzalnych wzorców: bezpiecznego, lękowo-ambiwalentnego, unikowego (w latach 80. dodano do tego zestawu jeszcze styl zdezorganizowany), wykorzystując ustalenia brytyjskiego psychoanalityka Johna Bowlby'ego na temat tego, jak wczesne więzi dziecka z opiekunem mogą kształtować jego późniejszą zdolność do tworzenia relacji i budowania intymności.

– *Tyle że dziś to jednak nie psychologowie, lecz algorytmy TikToka, quizy w aplikacjach randkowych i lifestylowe newslettery decydują o tym, jak ustalenia Bowlby'ego zostaną przedstawione odbiorcom. Łatwo o przekłamania* – ostrzega Szklanny.

Instagramowe karuzele z opisami poszczególnych stylów przywiązania przypominają charakterystyki znaków zodiaku. Spójrzmy: „osoby z bezpiecznym stylem przywiązania są ufne, potrafią prosić o wsparcie, to osoby, które nie boją się bliskości". Lękowo-ambiwalentni „obawiają się odrzucenia, kurczowo trzymają się partnera, nawet toksycznego". Unikowi „trzymają dystans i unikają zależności, żeby nie zostać skrzywdzonymi". Wreszcie osoby ze stylem zdezorganizowanym „doświadczają wewnętrznego konfliktu, pragną bliskości, ale jednocześnie się jej boją".

Pomija się w tym przekazie rzecz najważniejszą, czyli to, że style przywiązania to niejedyny fundament relacji. Na zachowanie w związkach wpływ mają także indywidualne cechy osobowości, temperament, umiejętność regulacji emocji, schematy poznawcze. A style mogą ulegać zmianie pod wpływem terapii czy funkcjonowania w bezpiecznych relacjach.

Mechanizm odpowiedzialny za nasze podejście do więzi też jest bardziej złożony, niż myślimy. W ubiegłym roku opublikowano wyniki badań, w których analizowano, jak relacje dzieci z rodzicami i rówieśnikami wpływają na ich związki w dorosłości. Jak się okazało, niemniej istotne od relacji z głównym opiekunem są dziecięce przyjaźnie. „To one w dużym stopniu kształtowały sposób, w jaki badani wchodzili później w bliskie relacje" – tłumaczyła w wywiadzie dla „Scientific American" autorka badania Keely Dugan, psycholożka z Uniwersytetu Missouri.

W dzisiejszej „kulturze randkowania" istnieje jednak potrzeba prostych sygnałów ostrzegawczych, a teoria przywiązania idealnie się do takiego wykorzystania nadaje: brzmi naukowo, daje poczucie kontroli i łatwą interpretację zachowań. Style przywiązania zostały wciągnięte w logikę zarządzania ryzykiem emocjonalnym: mają nas chronić przed bólem, stratą czasu, kolejnym rozczarowaniem. I ostatecznie chronią przede wszystkim przed nawiązywaniem relacji, tylko dlatego że coś w nich wymyka się sztywnym normom. A teoria przywiązania miała służyć pogłębianiu relacji. – *Miała pomagać zrozumieć, że trudne zachowania w relacjach rzadko są świadome i złośliwe, częściej są obronne* – przypomina Karolina Szklanny.

Obecnie zaś im więcej mówimy o epidemii samotności, potrzebie przywiązania i budowania dojrzałych związków, tym mniej jesteśmy skłonni akceptować jakąkolwiek niepewność w relacji. A bez niepewności i odrobiny lęku nie ma ani miłości, ani bliskości. Są tylko „checklisty" i „flagi". ■



Grażyna Morek – dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

© THOMAS BARICK/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, INSTAGRAM.COM/THECUT, KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES

eprasa.pl 22434338fa

WIRAL

Lepsza pierwsza para

Internet pokochał nowego burmistrza Nowego Jorku. Zohran Mamdani to antyteza Donalda Trumpa. Rocznik 1991 (milenials), demokratyczny socjalista. Wyborów nie wygrał dzięki wiralowej piosence z TikToka – chociaż krążył remiks jego stanowczego „Nazywam się Mamdani" skierowanego do rasistowskiego oponenta – ale dzięki umiejętnemu opanowaniu rzeczywistości rozszerzonej. Czyli: obecności na ulicach i w nowojorskich przestrzeniach wirtualnych, takich jak programy talk-show „Subway Takes", „Gaydar" czy stream hiphopowego człowieka orkiestry @ARIatHOME. Nie zabrakło go też w czasie strajku pracowników kawiarni Starbucks (wcześniej wspierał protesty taksówkarzy).

Mamdani urodził się w Ugandzie, ale od siódmego roku życia mieszka w Queens. Nowojorskość podkreślano w jego kampanii – w identyfikacji wizualnej wykorzystano intensywne kolory i logotypy, które nawiązywały do ikon poszczególnych dzielnic, a hasła stawiały na rozwiązanie konkretnych problemów mieszkańców. W równie bezpośredni sposób Mamdani tłumaczy w internetowych filmikach decyzje urzędowe czy wyjaśnia, jak działa miejski budżet. Podczas gdy w kinach straszy dokumentalny film o Melanii Trump (więcej w ubiegłotygodniowej POLITYCE i na polityka.pl), w magazynie „The Cut" ukazał się wywiad, któremu towarzyszyła sesja zdjęciowa pierwszej damy

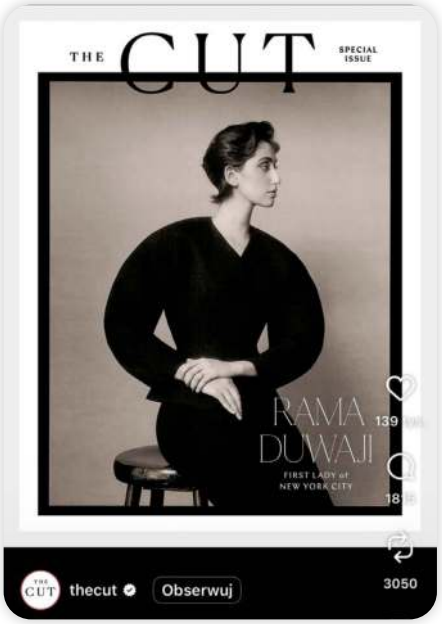

Nowego Jorku. „Zohran niby taki socjalista, a jego żona wygląda jak milion dolarów", żartowali internauci.

Rama Duwaji, rocznik 1997 (gen. Z), jest artystką, ilustratorką. Trudno o większy kontrast: puste życie Melanii zamknięte w nieciekawym luksusie kontra osobista ekspresja Duwaji, styl vintage, wspieranie lokalnych twórczyń czerpiących z bogactwa kulturowego nowojorskiego tygla. Na wiralowych fotkach z czasów kampanii wydaje się duszą Nowego Jorku; jest cool w niewymuszony sposób. Osobowości nie można kupić, nawet za największe pieniądze.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Unc uncowi nierówny



Nie chodzi tu o jednostkę masy, czyli uncję. Choć unc choćby ze względów wiekowych nie jest najlżejszy, a poza tym – jak uncja – może się kojarzyć z krajami anglosaskimi. Rzecz wzięła się od słowa uncle, które po angielsku oznacza wujka, choć środowiskowo (w krajach afrykańskich i azjatyckich – nawet regularnie) bywa używane także do opisania dowolnego starszego mężczyzny. A generacja Alfa, czyli ci urodzeni po 2010 r., zaczęła słowem „unc" opisywać wszystkich tych, których poprzednie pokolenia nazywały wapniakami lub boomerami. Czyli ludzi może niekoniecznie starych, ale raczej już nienadążających za światem młodych, nierozumiejących ich zainteresowań ani języka.

Gdzie leży magiczna granica wiekowa? Tak jak przy buncie lat 60. z jego hasłem: „Nie wierz nikomu po trzydziestce", to okolice 30 lat. Być może dlatego gwiazdor filmowy **Timothée Chalamet** w grudniu ubiegłego roku napisał w mediach, że „oficjalnie jest uncem", przekraczając tę właśnie wiekową barierę. Są tacy, którzy mentalnie przygotowują się na to wcześniej. „Mimo skończenia dzisiaj 22 lat nie będę tzw. uncem i dalej będę cool i niszowy" – czytamy w jednym z twitterowych wpisów opisujących pierwsze chwile godzenia się z dorosłością.

Trzydziestka rzadko oznacza obecnie rodzinne wujostwo, ale figura wąsatego wujka (dziś wąs przychodzi nawet wcześniej) wydaje się mocno utrwalona w polskiej kulturze. Z jednej strony pojawiające się na platformach społecznościowych hasła „unc vibes" (energia unca) albo „unc status" odnoszą się więc zapewne do tego nowego terminu, z drugiej – mogą się kojarzyć z unc-unc, czyli onomatopeją oddającą mocne, klubowe rytmy, pejoratywnie określane mianem „łupanki". To z kolei bardzo często odnosiło się do hałaśliwego, nieznośnego trybu życia dresiarzy, chodzących do unc klubów i jeżdżących unc mobilami (jak podaje słownik miejski.pl, najczęściej chodziło o Poloneza).

Jedno z drugim się jednak w naszym klimacie połączyło. Bo dziś, jeśli w bloku słychać głośne unc-unc, przestajemy szukać winowajców wśród najmłodszych mieszkańców. Ci siedzą zapewne w słuchawkach, izolując się od otoczenia. A unc-unc może puszczać jakiś unc.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Widzę ogień na Insta,
Bo się nie da bez storiska wyjść z ogniska
Kamil Pivot, Viral (styczeń), 2026 r.
storisek – stories, relacja na Insta

eprasa.pl 22434338fa

W górach Harzu w sercu Niemiec od 25 lat trwa jeden z najbardziej udanych programów reintrodukcji rysi w Europie. Właśnie rozpoczyna się jego nowy rozdział.

Gdzie rysie harcują

Spora działka ma kształt prostokąta. Otacza ją kilkumetrowe ogrodzenie z metalowej siatki, porastają świerczki, jarzębina, buki i jeżyny oplatające wykroty. Mówiąc wprost, to kilkaset metrów kwadratowych chaszczy. Ole Anders wiąże z nimi wielkie nadzieje. – *Taki gąszcz to raj dla rysi* – twierdzi. – *Tu spotka się nasza para.*

On nazywa się Reto, trafił do Harzu ze Szwajcarii. – *Na razie jest nieśmiały. Liczymy, że rozkręci się przy partnerce* – opowiada Anders. Gdy spotkaliśmy się we wrześniu, jeszcze na nią czekali – w nerwach, bo Rikki miała przyjechać do Niemiec z Kijowa. Rozpłodowe rysice i rysie to towar wybitnie deficytowy, więc gdy pojawiła się dostępna samica z ogarniętej wojną Ukrainy – pasująca genetycznie do potencjalnego partnera – nie wahali się ani chwili. Logistycznie podróż była wyzwaniem, ale ostatecznie jesienią Rikki i Reto spotkali się w zagrodzie na Kruczej Skale. Mieli czas, by dobrze się poznać, nim nadszedł luty i czas godów. Ole Anders liczy, że otworzą nowy rozdział w dziejach Rabenklippe.

Ośrodek na północy Harzu to serce trwającego od ćwierćwiecza projektu reintrodukcji rysi – najbardziej udanego w Niemczech. Dzikie koty powróciły w niewysokie góry po dwóch wiekach przerwy. O reintrodukcji zaczęto przebąkiwać w latach 70. Wtedy jednak Harz przecinała żelazna kurtyna, w górach stacjonowali czerwonoarmiści. – *Poza tym rysie traktowano jak bestie, bano się ich jak lwów albo tygrysów* – twierdzi Anders.

Łaskawsze czasy nastały dla nich na przełomie tysiącleci: Niemcy się zjednoczyły, w Harzu powołano park narodowy. Ale przyrodnicy i tak musieli wykonać pracę u podstaw, zwłaszcza wśród hodowców i myśliwych. – *Postanowiliśmy, że będziemy nadawać rysiom numery, a nie imiona* – tłumaczy Anders. – *Chcieliśmy dogadać się z ludźmi, którzy mają do zwierząt fachowe, techniczne podejście, więc musieliśmy mówić do nich ich językiem.*

Latem 2000 r. pośród górskich torfowisk w sercu masywu na wolność wypuszczono dwa samce i samicę. Był to radosny moment, ale w pierwszych latach zdarzały się i trudne: jeden z rysi zginął potrącony przez samochód, innego trzeba było odłowić, bo chorował. Latem 2002 r. w okolicy zauważono samicę z młodymi – pierwszymi rysiami urodzonymi w Harzu od prawie 200 lat.

Zwierzętom jest tu dobrze. – *Mają wszystko, czego potrzebują: przede wszystkim lasy, no i obfitość pożywienia, głównie jeleni i saren* – wyjaśnia Andres. Dziś rysie stały się wręcz symbolem gór. – *Mieszkańcy regionu są z nich dumni* – twierdzi Paul Bridge, Brytyjczyk opiekujący się trójką zwierząt z zagrody pokazowej, bo i taką funkcję pełni ośrodek na Kruczej Skale. Na publiczne karmienie dwa razy w tygodniu przychodzi tu nawet po 200–300 osób.

Na wolności żyje w Harzu około 90 rysi. Dla porównania: w Polsce ich liczebność ocenia się na od 170 do 370 osobników; największe populacje – naturalne – żyją na północnym wschodzie kraju i Karpatach, poza tym drapieżniki reintrodukowano w kilku miejscach, m.in. w puszczach Kampinoskiej i Noteckiej. Anders ocenia, że liczba rysi w Harzu jest stabilna i optymalna jak na powierzchnię gór. – *Nasze samce próbują nawet dokonywać ekspansji* – dodaje. – *Mieliśmy osobnika, który przewędrował aż 100 km do Turyngii.*

Tu pojawia się problem. – *Poza naszą populacją, największą w kraju, w Niemczech jest jeszcze spora w Lesie Bawarskim, mniejsza w Palatynacie i kilka osobników w Szwarcwaldzie* – pokazuje Anders na mapie. Pomiędzy zaznaczonymi na zielono rewirami rysi zieją na niej białe plamy – za duże, by zwierzęta mogły się pomiędzy nimi bezpiecznie przemieszczać. Populacje są izolowane, a to grozi chowem wsobnym. Temu mają zaradzić Rikki i Reto: jeśli wiosną doczekają się potomstwa, w przyszłym roku na wolność zostaną wypuszczone młode, a wraz z nimi nowe geny.

– *Zamierzamy przekazać też osobniki kolegom z Turyngii i Saksonii, gdzie trwają właśnie projekty reintrodukcji* – dodaje Anders. Z nimi też wiąże wielkie nadzieje. Gdyby i tam udało się stworzyć stabilne populacje, zwierzęta mogłyby wędrować z Harzu aż po granice Czech i Austrii. Powstałby wielki rysi szlak. ■



Bartek Kaftan – dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.



PODRÓŻE

© ARCHIWUM PRYWATNE (2), JULIANA STRATENSCHULTE/EPA/PAP, TOMEK MĘDREK

eprasa.pl 22434338fa

Nasze drożdżowe wypieki podajemy z ciepłym sosem serowym, posypane szczypiorkiem.

Pączki z kimchi

KUCHNIA

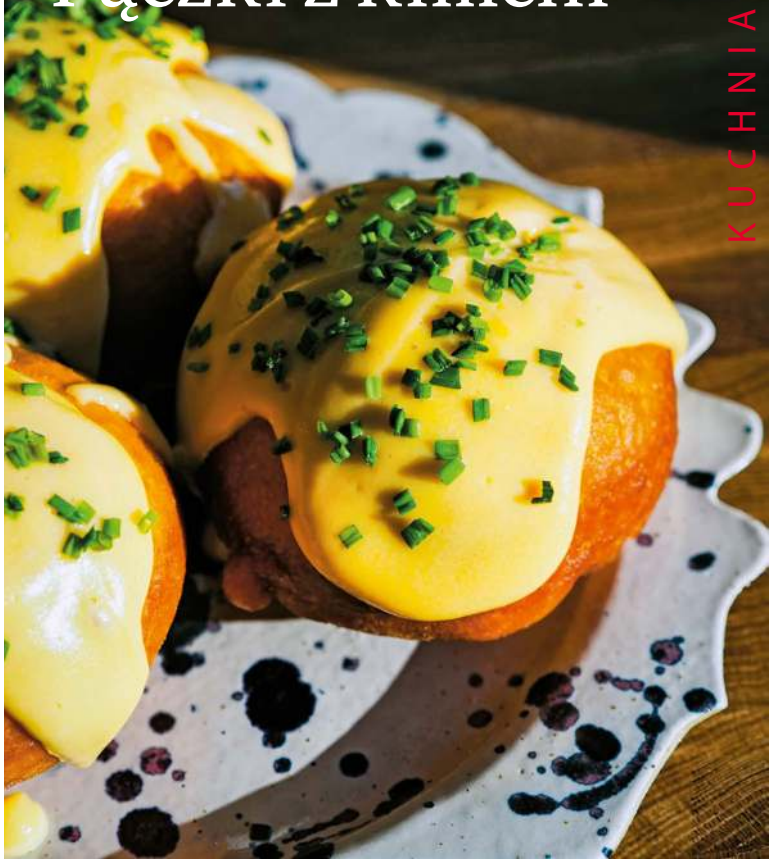

Tłusty Czwartek jest jednym z moich ulubionych świąt. Mogę wtedy dać się ponieść wodzom fantazji i spróbować stworzyć coś naprawdę szalonego. Jak przepis na wegańskiego kebaba w pączku z lukrem mieszanym, „loaded racuchy" z ketchupowym tofu, nieprzyzwoite KFC z boczniaków w pączku czy burgera z masłem orzechowym, bananem i lukrem gochujang. W tym roku serwuję domownikom i gościom cebularzowe rollsy, czyli (prawie) klasyczne lubelskie cebularze zawinięte w drożdżowe ciasto niczym amerykańskie cynamonki. Mariaż słonego i słodkiego, a nawet nieco tłustego smaku najlepiej uosabia tłustoczwartkową aurę.

Dlaczego słodko-słone połączenie działa wyjątkowo na nasze kubki smakowe? Jak wiadomo, jesteśmy ewolucyjnie przystosowani do zjadania każdej kalorii, jaką znajdziemy, i przerabiania jej na szybką energię. Dla naszych przodków dojrzałe owoce czy miód mogły być rarytasem niewidywanym miesiącami; prostych cukrów nie znali przecież w innej formie. To wyjaśnia naszą ochotę na słodycze i czasem przesadę w ich zjadaniu. Gdy dołożymy do tego smaku słony (wystarczą kryształki soli na tabliczce czekolady), dzieje się magia. Mineralność soli, która podbija słodki, pożądany przez nas smak, balansuje i wygładza słodycz, sprawia, że nie jest nadto mocna. Umami, zawarte choćby w kimchi, boczniakach czy kebabowych przyprawach, sprawia, że danie staje się bardziej złożone, satysfakcjonujące, a zarazem nie jest monotonne. Każdy kęs to coś nowego. Nasz układ nagrody jest pobudzany zarówno smakiem słodkim, słonym, ilością dostarczanych kalorii, jak i różnorodnymi teksturami (miękkie nadzienie, chrupiące boczniaki, lejący się sos, gęsty lukier). Słowem: jest to doświadczenie, którego pragniemy wszystkimi zmysłami.

W tym przepisie zestawiłem pączki z marmoladą kimchi. Wyszły słodko-kwaśne, lekko pikantne i pełne umami. Zamiast lukru występuje mój najlepszy (jak na razie) sos serowy i szczypiorek. I to wystarczy, żeby zadziała się magia. ■



Tomek Mędrek
– bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu Veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Wegańskie pączki z marmoladą kimchi i sosem serowym (10–12 pączków):

- pączki z zeszłorocznego przepisu (POLITYKA 10/25) lub inne „puste" pączki
- wegański sos serowy z przepisu na moim blogu
- 200–250 g kimchi (bez zalewy), do tego 50–100 ml zalewy podanej osobno
- 40–50 g wegańskiego masła (ok. 3 łyżek) plus 2–3 małe porcje (po 5–10 g) trzymane w lodówce
- 50–100 g cukru kryształu (zależnie od tego, jak słodkie chcemy mieć nadzienie – ja używam 75 g, czyli ok. 5–6 łyżek)
- szczypiorek do dekoracji

Wykonanie
(ok. 20 min, jeżeli mamy gotowe pączki i sos serowy, plus minimum 15 min w lodówce):

- Na szerokiej patelni, na średnim ogniu rozgrzewamy 40–50 g wegańskiego masła. Kiedy się rozpuści, dodajemy kimchi i przesmażamy (3–5 min). Dodajemy cukier, trochę zalewy kimchi i znów smażymy, ale na większym ogniu, mieszając przez ok. 10 min, aż cukier się rozpuści.
- Gdy na patelni zobaczymy większe bąble, a całość się zagęści, przekładamy jeszcze gorące lub lekko wystudzone, ale nadal ciepłe kimchi do blendera lub malaksera. Blendujemy i stopniowo dodajemy zimne kosteczki masła. Gdy uzyskamy gładką, pomarańczową, dosyć gęstą masę, przekładamy ją do miseczki i lodówki.
- Po ok. 15 min marmolada kimchi powinna się zagęścić, ale najlepiej potrzymać ją w lodówce trochę dłużej (jeżeli jednak ma stać np. całą noc, trzeba ją przykryć, by nie wyschła).
- Nadziewamy pączki dowolną metodą (u mnie rękaw i tylka), podajemy polane ciepłym sosem serowym i posypane drobno posiekanym szczypiorkiem. Wszystkiego tłustego!

eprasa.pl 22434338fa

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Świat na zakręcie

Kim pan tak naprawdę był, panie Epstein? Na to pytanie szukamy odpowiedzi w pierwszym odcinku najnowszego podkastu POLITYKI „Świat na zakręcie”. Prowadzą go w duecie Agnieszka Lichnerowicz i Mateusz Mazzini, specjaliści od spraw międzynarodowych. Interesują nas afery, niuanse, kulisy dyplomatyczne i zagadki geopolityki. Nowe odcinki co poniedziałek o godz. 19. Do słuchania i oglądania na polityka.pl i naszych kanałach społecznościowych.





Ukraina wykrwawia się dla nas

„Powiedzmy sobie szczerze: Ukraina traci swoich żołnierzy i to jest nam na rękę” – mówi Mateusz Lachowski, reporter, który trochę przypadkiem został korespondentem wojennym. Do Ukrainy jeździ regularnie od czterech lat. Traci przyjaciół i sam przyznaje, że oglądał rzeczy, których „nie da się odwidzieć”. Lachowski jest gościem „Polskiego demo”, podkastu POLITYKI i Fundacji Batorego. To rozmowa dla ludzi o mocnych nerwach.



Braun jak rycerz na białym koniu

Dlaczego Grzegorz Braun zaczął się liczyć w polskiej polityce i komu bardziej zagraża: PiS czy Konfederacji? **Prof. Marcin Matczak, gość Karoliny Lewickiej w podkaście „Temat tygodnia”, ostrzega przed populizmem.** Jak mówi, Braun kreuje się na zbawcę i rycerza, również dosłownie. I to działa. Rozmawiamy też o praworządności (dlaczego jest istotna?) i o polskiej religijności (czy faktycznie jest bez pardonu atakowana?). Można się nie zgadzać, warto obejrzeć.

Największa fuzja świata



Spółka kosmiczna SpaceX przejmuje spółkę sztucznej inteligencji xAI – tak Elon Musk reżyseruje największą fuzję na świecie. W sumie nowa firma będzie warta 1,25 bln dol. „Wow! Tylko po co to?” – pyta na polityka.pl Adam Grzeszak. I zapowiada: „Niebo zaroi się od muskowych satelitów, które będą zasilały muskowego Groka, czyli chatbota AI, który zasłynął ostatnio generowaniem fejkowych rozebranych zdjęć prawdziwych osób”. Więc strach się bać.



Godek będzie rozliczać

Działaczka antyaborcyjna Kaja Godek razem ze swoimi stronnikami wzięła na celownik Szpital św. Wojciecha na gdańskiej Zaspie. Wszystko dlatego, że wykonuje się tutaj legalne aborcje. „Pikieta pod szpitalem to będzie wkrótce Wasz najmniejszy problem”, wygraża Godek w social mediach i zapowiada rozliczenia (kobiet i lekarzy) po powrocie prawicy do władzy. Na polityka.pl wyjaśniamy, dlaczego czuje się tak pewnie i bezkarnie.

© BE&W, LESZEK ZYCH (2), SERGEY BOBYLEV/IMAGO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 22434338fa

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 22434338fa



Rozgrzej głowę!

Do nabycia w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 22434338fa